



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

### **Usage guidelines**

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

### **About Google Book Search**

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



~~168 c 31~~



PG 7160.55.03 (1)



302820786-











P I S M A

HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM VI.

---

OGNIEM I MIECZEM.

TOM I.

WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

—  
1885.





*H. Sienkiewicz*

HENRYK SIENKIEWICZ.

---

# OGNIEM I MIECZEM

POWIEŚĆ Z LAT DAWNYCH.

---

*Wydanie trzecie przejrzone i poprawione.*

---

TOM I.

WARSZAWA,  
Nakład Gebethnera i Wolffa.

—  
1885.



Дозволено Цензурою.  
Ва рщ ва 10 Января 1885 г.

---

Друк Браци Жеżyńskich (dawniej J. Unger) Warszawa,  
Nowolipki Nr 8.

## ROZDZIAŁ I.

Rok 1647 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia.

Współcześni kronikarze wspominają, iż z wiosny szarańcza w niesłychanej ilości wyrośla się z Dzikich pól, i zniszczyła zasiewy i trawy, co było przepowiednią napadów tatarskich. Latem zdarzyło się wielkie zaćmienie słońca, a wkrótce potem kometa pojawiła się na niebie. W Warszawie widywano też nad miastem mogiłę i krzyż ognisty w obłokach; odprawiano więc posty i dawano jałmużny, gdyż niektórzy twierdzili, że zaraza spadnie na kraj i wygubi rodzaj ludzki. Nareszcie zima nastąpiła tak lekka, że najstarsi ludzie nie pamiętali podobnej. W południowych województwach lody nie popętały wcale wód, które, podsycane topniejącym każdego ranka śniegiem, wystąpiły z łożysk i pozalewały brzegi. Padały częste deszcze. Step rozmokł i zmienił się w wielką kałużę, słońce zaś w południe dogrzewało tak mocno, że—dziw nad dziwy!—w województwie braclawskim i na Dzikich polach zielona ruń okryła stopy i rozłogi już w połowie grudnia. Roje po pasiekach poczęły się burzyć i huczeć, było ry-

czało po zagrodach. Gdy więc tak porządek przyrodzenia zdawał się być wcale odwróconym, wszyscy na Rusi, oczekując niezwykłych zdarzeń, zwracali niepokojny umysł i oczy szczególnie ku Dzikim-polom, od których łatwiej niżli zkadinał mogło się ukazać niebezpieczeństwo.

Tymczasem na polach nie działo się nic nadzwyczajnego i nie było innych walk i potyczek jak te, które się odprawiały tam zwykle, a o których wiedziały tylko orły, jastrzębie, kruki i zwierz polny.

Bo takie to już były te pola. Ostatnie ślady osiadłego życia kończyły się, idąc ku południowi, niedaleko za Czehrynem ode Dniepru, a od Dniestru, niedaleko za Umaniem, a potem już hen ku limanom i morzu, step i step w dwie rzeki, jakby w ramę ujęty. Na łuku Dnieprowym, na Niżu, wrzało jeszcze kozacze życie za porohami, ale w samych polach nikt nie mieszkał i chyba po brzegach tkwiły gdzieś „polanki,” jakoby wyspy wśród morza. Ziemia była de nomine Rzeczypospolitój, ale pustynna, na której pastwisk Rzeczypospolita tatarom pozwalała, wszakże, gdy kozacy często bronili, więc to pastwisko było i pobojo-wiskiem zarazem.

Ile tam walk stoczono, ilu ludzi legło, nikt nie zliczył, nikt nie spamiętał. Orły, jastrzębie i kruki jedne widziały, a kto zdaleka usłyszał szum skrzydeł i krakanie, kto ujrzał wiry ptasie, nad jednym kołującym miejscem, to wiedział, że tam trupy lub kości nieopgrzebane leżą... Polowano w trawach na ludzi, jakby na wilki lub suhaki. Polował kto chciał. Człek prawem ścigan chronił się w dzikie stepy, orężny pasterz trzód strzegł, rycerz przygód tam szukał, łotrzyk łupu,

kozak tatar, tatar kozaka. Bywało, że i całe watahy broniły trzód przed tłumami napastników. Step to był pusty i pełny zarazem, cichy i groźny, spokojny i pełen zasadzek, dziki od dzikich pól, ale i od dzikich dusz.

Czasem też napełniała go wielka wojna. Wówczas płynęły po nim, jak fale, czambuły tatarskie, pułki kozackie, to chorągwie polskie lub wołoskie; nocami rżenie koni wtórowało wyciom wilków, głos kotłów i trąb mosiężnych leciał aż do Owidowego jeziora i ku morzu, a na Czarnym szlaku, na Kuczmańskim—rzekłbyś powódź ludzka. Granic Rzeczypospolitej strzegły od Kamieńca aż do Dniepru stаницe i „polanki“—i gdy szlaki miały się zaroić, poznawano właśnie po niezliczonych stadach ptactwa, które płoszone przez czambuły leciały na północ. Ale tatar, byle wychylił się z Czarnego lasu lub Dniestr przebył od strony wołoskiej, to stepem równo z ptakami stawał w południowych województwach.

Wszelako zimy owej ptactwo nie ciągnęło z wrzaskiem ku Rzeczypospolitej. Na stepie było ciszej, niż zwykle. W chwili, gdy rozpoczyna się powieść nasza, słońce zachodziło właśnie, a czerwone jego promienie rozświecały okolicę pustą zupełnie. Na północnym krańcu Dzikich pól, nad Omelniczkim, aż do jego ujścia, najbystrzejszy wzrok nie mógłby odkryć jednej żywej duszy, ani nawet żadnego ruchu w ciemnych, zeschniętych i zwiędłych burzanach. Słońce połową tylko tarczy wyglądało jeszcze z za widnokregu. Niebo było już ciemne, a potem i step zwolna mroczył się coraz bardziej. Na lewym brzegu, na niewielkiej wyniosłości, podobniejszej do mogiły niż do wzgórza, świe-



ciły tylko resztki murowanej stanic, którą niegdyś jeszcze Teodoryk Buczański wystawił, a którą potem napady starły. Od ruiny owej padł długi cień. Opo-  
dał świeciły wody szeroko rozlanego Omelniczka, któ-  
ry w tem miejscu skręca się ku Dnieprowi. Ale blaski  
gasły coraz bardziej na niebie i na ziemi. Z nieba  
dochodziły tylko klangory żórawi, ciągnących ku mo-  
rzu, zresztą ciszy nie przerywał żaden głos.

Noc zapadła nad pustynią, a z nią nastąpiła go-  
dzina duchów. Czuwający w stanicach rycerze opo-  
wiadali sobie w owych czasach, że nocami wstają na  
Dzikich polach cienie poległych, którzy zeszli tam na-  
głą śmiercią w grzechu, i odprowadzają swoje korowody,  
w czem im żaden krzyż ani kościół nie przeszkadza.  
To też, gdy sznury, wskazujące północ, poczynają się  
dopalać, odmawiano po stanicach modlitwy za umarłych.  
Mówiono także, że one cienie jeźdźców, snując się po  
pustyni, zastępują drogę podróżnym, jęcząc i prosząc  
o znak krzyża świętego. Między niemi trafiły się  
i upiory, które goniły za ludźmi, wyjąc. Wprawne ucho  
zdaleka już rozoznawało wycie upiorów od wilczego.  
Widywano również całe wojska cieniów, które czasem  
zbliżały się tak do stanic, że strażę grały larum. Za-  
powiadało to zwykle wielką wojnę. Spotkanie pojedy-  
nyczych cieniów nie znaczyło również nic dobrego,  
ale nie zawsze należało sobie źle wróżyć, bo i człek  
żywy zjawiał się nieraz i niknął jak cień przed po-  
dróżnymi, dlatego często i snadnie za ducha mógł być  
poczytany.

Skoro więc noc zapadła nad Omelniczkiem, nie  
było w tem nic dziwnego, że zaraz koło opustoszałej sta-  
nicy pojawił się duch czy człowiek. Miesiące wychynał

właśnie z za Dniepru i obielił pustkę, głowy bodiaków i dal stepową. Wtem niżej na stepie ukazały się i inne jakieś nocne istoty. Przelatujące chmurki przesłaniały co chwila blask księżyca, więc owe postacie, to wyblyskiwały z cienia, to znowu gasły. Chwilami nikły zupełnie i zdawały się topnieć w cieniu. Posuwając się ku wyniosłości, na której stał pierwszy jeździec, skradały się cicho, ostrożnie, zwolna, zatrzymując się co chwila.

W ruchach ich było coś przerażającego, jak i w całym tym stepie, tak spokojnym na pozór. Wiatr chwilami podmuchiwał ode Dniepru, sprawując żaloszny szelest w zeschniętych bodiakach, które pochylały się i trzęsły, jakby przerażone. Nakoniec postacie znikły, schroniły się w cień ruiny. W bladym świetle nocy widać było tylko jednego jeźdźca, stojącego na wyniosłości.

Wreszcie szelest ów zwrócił jego uwagę. Zbliżywszy się do skraju wzgórza, począł wpatrywać się w step uważnie. W tej chwili wiatr przestał wiać, szelest ustał, zrobiła się cisza zupełna.

Nagle dał się słyszeć przeraźliwy świst. Zmieszane głosy poczęły wrzeszczeć przeraźliwie: „Ha! ha! ha! Jezu Chryste! ratuj! bij!” Rozległ się huk samoparów, czerwone światła rozdarły ciemność. Tętent koni zmieszał się ze szczęką żelaza. Nowi jacyś jeźdźce wyrosli jakby z pod ziemi na stepie. Rzekłbyś burza zawrzała nagle w tej cichej, złowrogiej pustyni. Potem jęki ludzkie zawtórowały wrzaskom strasznym, wreszcie ucichło wszystko, walka była skończona.

Widocznie rozgrywała się jedna ze zwykłych scen na Dzikich polach.

Jeźdźcy zgrupowali się na wyniosłości, niektórzy posiadali z koni, przypatrując się czemuś pilnie.

Wtem w ciemnościach ozwał się silny i rozkazujący głos:

— Hej, tam! skrzesać ognia i zapalić!

Po chwili posypały się naprzód iskry, a potem buchnął płomień suchych oczeretów i łuczywa, które podróżujący przez Dzikie pola wozili zawsze ze sobą.

Wnet wbito w ziemię drąg od kaganka i jaskrawe, padające zgóry światło, oświeciło wyraźnie kilkunastu ludzi, pochylonych nad jakąś postacią, leżącą bez ruchu na ziemi.

Byli to żołnierze, ubrani w barwę czerwoną, dworską i w wilcze kapuzy. Z tych jeden, siedzący na dzielnym koniu, zdawał się reszcie przewodzić. Zsiadłszy z konia, zbliżył się do owej leżącej postaci i spytał:

— A co, wachmistrzu, żyje, czy nie żyje?

— Żyje, panie namiestniku, ale charcze; arkan go zdławił.

— Co zasz jest?

— Nie tatar; znaczny ktoś.

— To i Bogu dziękować.

Tu namiestnik popatrzył uważniej na leżącego męża.

— Cóż jakby hetman—rzekł.

— I koń pod nim tatar zacny, jak lepszego u chana nie znaleźć—odpowiedział wachmistrz.—A ot tam go trzymają.

Porucznik spojrział i twarz mu się rozjaśniła. Obok dwóch szeregowych trzymało rzeczywiście dzielnego rumaka, który, tuląc uszy i rozdymając chrapy, wyciągał głowę i poglądał przerażonemi oczyma na swego pana.

— Ale koń, panie namiestniku, będzie nasz?—  
wtrącił tonem pytania wachmistrz.

— A ty psiawiaro, chciałbyś chrześcianinowi konia w stepie odjąć?

— Bo zdobyczny...

Dalszą rozmowę przerwało silniejsze chrapanie zduszonego męża.

— Włać mu gorzałki w gębę — rzekł pan namiestnik—pas odpiąć.

— Czy zostaniemy tu na nocleg?

— Tak jest, konie rozkubaczyć, stos zapalić.

Żołnierze skoczyli co żywo. Jedni poczęli cucić i rozcierać leżącego, drudzy ruszyli po oczerety, inni rozestali na ziemi skóry wielbłądzie i niedźwiedzie na nocleg.

Pan namiestnik, nie troszcząc się więcej o zduszonego męża, odpiął pas i rozciągnął się na burce przy ognisku. Był to młody bardzo człowiek, suchy, czar-niawy, wielce przystojny, ze szczupłą twarzą i wydatnym orlim nosem. W oczach jego malowała się okrutna fantazyja i zadzierzystość, ale w obliczu miał wyraz uczciwy. Wąs dość obfity i niegolona widocznie oddawna broda dodawały mu nad wiek powagi.

Tymczasem dwaj pachołkowie zajęli się przyrządzaniem wieczerzy. Położono na ogniu gotowe ćwierci baranie; zdjęto też z koni kilka dropiów, upolowanych w czasie dnia, kilka pardew i jednego suhaka, którego pachoł wnet zaczął obłupywać ze skóry. Stos płonął, rzucając na step ogromne czerwone koło światła. Zduszony człowiek zaczął z wolna przychodzić do siebie.

Przez czas jakiś wodził nabiegłemi krwią oczy-

ma po obcych, badając ich twarze, następnie usiłował powstać. Żołnierz, który poprzednio rozmawiał z namiestnikiem, dźwignął go w górę pod pachy; drugi włożył mu obuszek w dłoń, na którym nieznajomy wsparł się z całej siły. Twarz jego była jeszcze czerwona, żyły jej nabrzmiały. Nakoniec przyduszonym głosem wykrztusił pierwszy wyraz:

— Wody!

Podano mu gorzałki, którą pił i pił, co mu widocznie dobrze zrobiło, bo odjąwszy wreszcie flaszę od ust, czystym już głosem spytał:

— W czyich jestem ręku?

Naczelnik powstał i zbliżył się ku niemu:

— W ręku tych, co waści salwowali.

— Przeto nie waszmościowie schwycili mnie na arkan?

— Mosanie, nasza rzecz szabla, nie arkan. Krzywdzisz waść dobrych żołnierzów podejrzeniem. Złapali cię jakowis łotrzykowie, udający tatarów, których jeśliś ciekaw, oglądać możesz, bo oto leżą tam porznięci, jak barany.

To mówiąc, wskazał ręką na kilka ciemnych ciał, leżących poniżej wyniosłości.

A nieznajomy na to:

— To pozwólcie mi spocząć.

Podłożono mu wołokową kulbakę, na której siadł i pograżył się w milczeniu.

Był to mąż w sile wieku, średniego wzrostu, szerokich ramion, prawie olbrzymiej budowy ciała i uderzających rysów. Głowę miał ogromną, cerę zawiedłą, bardzo ogorzałą, oczy czarne i nieco ukośne, jak u tatarów, a nad wążkami ustami zwieszał mu się cienki

wąs, rozchodzący się dopiero przy końcach w dwie szerokie kiście. Twarz jego potężna zwiastowała odwagę i dumę. Było w niej coś pociągającego i odpychającego zarazem — powaga hetmańska, ożeniona z tatarską chytrą, dobrotliwość i dzikość.

Posiedziawszy nieco na kulbace, wstał i nad wszelkie spodziewanie, zamiast dziękować, poszedł oglądać trupy.

— Prostack! — mruknął namiestnik.

Nieznajomy tymczasem przypatrywał się uważnie każdej twarzy, kiwając głową, jak człowiek, który odgadł wszystko, poczem wracał zwolna do namiestnika, klepiąc się po bokach i szukając mimowolnie pasa, za który widocznie chciał zatknąć rękę.

Nie podobała się młodemu namiestnikowi ta powaga w człeku, oderzniętym przed chwilą od powroza; więc rzekł z przekąsem:

— Rzekłby kto, że wasze znajomych szukasz między owymi łotrzykami, albo że pacierz za ich duszę odmawiasz.

Nieznajomy odparł z powagą:

— I nie mylisz się waś i mylisz: nie mylisz się, bom szukał znajomych, a mylisz się, bo to nie łotrzykowie, jeno słudzy pewnego szlachcica, mego sąsiada.

— Tedy widocznie nie z jednej studni pijacie z onym sąsiadem.

Dziwny jakiś uśmiech przeleciał po cienkich wargach nieznajomego.

— I w tem się waś mylisz — mruknął przez zęby. Po chwili dodał głośniejsze:

— Ale wybacz waszmość pan, żem mu naprzód powinnej nie złożył dzięki za *auxilium* i skuteczny ratunek, który mnie od tak nagłej śmierci wybawił. Waści meztwo stanęło za moję nieostrożność, bom się od ludzi swoich odłączył, ale też wdzięczność moja wyrównywa waszmościej o chacie.

To rzekłszy, wyciągnął ku namiestnikowi rękę.

Ale butny młodzieńczyk nie ruszył się z miejsca i nie śpieszył z podaniem swojej, natomiast rzekł:

— Chciałbym naprzód wiedzieć, jeżeli ze szlachcicem mam sprawę, bo chociaż o tem nie wątpię, jednakże bezimiennych podzięków przyjmować mi się nie godzi.

— Widzę w waszmości prawdziwie kawalerską fantazyą—i słusznie mówisz. Powiniennem był zacząć od nazwiska mój dyskurs i moję podziękę. Jestem Zenobi Abdank, herbu Abdank z krzyżykiem, szlachcic z województwa kijowskiego, osiadły i pułkownik kozackiej chorągwi księcia Dominika Zasławskiego.

— A ja Jan Skrzetuski, namiestnik chorągwi pancerniej J. O. Ks. Jeremiego Wiśniowieckiego.

— Pod sławnym wojownikiem wać służysz. Przyjmże teraz moję wdzięczność i rękę.

Namiestnik nie wahał się dłużej. Towarzysze pancerni z góry wprawdzie patrzyli na żołnierów z pod innych chorągwi, ale pan Skrzetuski był na stepie, na Dzikich polach, gdzie takie rzeczy mniej szły pod uwagę. Zresztą miał do czynienia z pułkownikiem, o czem zaraz naocznie się przekonał, bo gdy jego żołnierze przynieśli p. Abdankowi pas i szablę, z których go rozpasano dla cucenia, podali mu zarazem i krótką buławę o osadzie z kości, o głowie z ślinowatego rogu, jakich zażywali zwykle pułkownicy kozacy. Przytem ubiór

imci Zenobiego Abdanka był dostatni, a mowa kształtna znamionowała umysł bystry i otarcie się w świecie.

Więc pan Skrzetuski zaprosił go do kompanii. Zapach pieczonych mięs jął właśnie rozchodzić się od stosu, łechcąc nozdrza i podniebienie. Pachół wydobył je z żaru i podał na latercynowej misie. Poczęli jeść, a gdy przyniesiono spory worek mołdawskiego wina, uszyty z kozłój skóry, wnet zawiązała się żywa rozmowa.

— Oby się nam szczęśliwie do domu wróciło! — rzekł pan Skrzetuski.

— To waszmość wracasz? skądże, proszę? — spytał Abdank.

— Zdaleka, bo z Krymu.

— A cożeś waszmość tam robił? z wykupnem jeździłeś?

— Nie, mości pułkowniku; jeździłem do samego chana.

Abdank nastawił ciekawie ucha.

— Ano to proszę, w piękną waść wszedłeś komitywę. I z czemże do chana jeździłeś?

— Z listem J. O. Ks. Jeremiego.

— To waść posłował! O cóż jegomość ksiązę do chana pisał?

Namiestnik popatrzył bystro na towarzysza.

— Mości pułkowniku — rzekł — zaglądałeś w oczy lotrzykom, którzy cię na arkan ujeli — to twoja sprawa; ale co ksiązę do chana pisał, to ani twoja, ani moja, jeno ich obydwóch.

— Dziwiłem się przed chwilą — odparł chytrze Abdank — że jegomość ksiązę tak młodego człowieka posłem do chana obrał, ale po waścinej odpowiedzi



już się nie dziwię, bo widzę, żeś młody laty, ale stary eksperyencyą i rozumem.

Namiestnik połknął gładko pochlebne słówko, pokręcił tylko młodego węża i pytał:

— A powiedz-że mi waszmość, co porabiasz nad Omelniczkim i jakieś się tu wziął sam jeden?

— Nie jestem sam jeden, jenom ludzi zostawił po drodze, a jadę do Kudaku, do pana Groźnickiego, który jest tam przełożonym nad prezydyum i do którego jegomość hetman W. wysłał mnie z listami.

— A czemu waść nie bajdakiem, wodą?

— Taki był ordynans, od którego odstąpić mi się nie godzi.

— To dziw, że jegomość hetman taki wydał ordynans, gdyż właśnie na stepie w tak ciężkie popadłeś terminy, których, wodą jadąc, pewno byłbyś uniknął.

— Mosanie, stepy teraz spokojne; znam ja się z niemi nie od dziś, a to, co mnie spotkało, to jest złość ludzka i invidia.

— I kto na jegomości tak nastaje?

— Długoby gadać. Sąsiad to zły, mości namiestniku, który substancją mi zniszczył, z włości mnie ruguje, syna mi zbił—i ot—widziałeś waść, tu jeszcze na szyję moje nastawał.

— A to waść nie nosisz szabli przy boku?

W potężnej twarzy Abdanka zabłysła nienawiść, oczy zaświeciły mu posepnie i odrzekł zwolna, a dobitnie:

— Noszę, i tak mi dopomóż Bóg, jako innych rekursów przeciw wrogom moim szukać już nie będę.

Porucznik chciał coś mówić, gdy nagle na stepie rozległ się tętent koni, a raczej pośpieszne chlupotanie

końskich nóg po rozmięklej trawie. Wnet téż i czeladnik namiestnika, trzymający straż, nadbiegł z wieścią, że jakowś ludzie się zbliżają.

— To pewnie moi—rzekł Abdank—którzy zaraz za Taśminą zostali. Jam téż, nie spodziewając się zdrady, tu na nich czekać obiecał.

Jakoż po chwili gromada jeźdźców otoczyła półokręgiem wzgórze. Przy blasku ognia ukazały się głowy końskie z otwartymi chrapami, prychające ze zmęczenia, a nad niemi pochylone twarze jeźdźców, którzy, przysłaniając rękoma od blasku oczy, patrzyli bystro w światło.

— Hej ludzie! kto wy?—spytał Abdank.

— Raby boże!—odpowiedziały głosy z ciemności.

— Tak, to moi mołojce — powtórzył Abdank, zwracając się do namiestnika.—Bywajcie! bywajcie! Niektórzy zeszedli z koni i zbliżyli się do ognia.

— A my śpieszyli, śpieszyli, batku. S z c z o z t o b o j u ?

— Zasadzka była. Chwedko zdrajca wiedział o miejscu i tu już czekał z innymi. Musiał podążyć dobrze przedemną. Na arkan mnie ujęli!

— Spasi Bih! Spasi Bih! A to co za laszek koło ciebie?

Tak mówiąc, spoglądali groźnie na pana Skrzetuskiego i jego towarzyszków.

— To druhy dobre—rzekł Abdank.—Sława Bogu, całym i żyw. Zaraz będziemy ruszać dalej.

— Sława Bogu! my gotowi.

Nowoprzybyli poczęli rozgrzewać dłonie nad ogniem, bo noc była zimna, choć pogodna. Było ich ze czterdziestu, ludzi rosłych i dobrze zbrojnych. Nie wygłą-

dali wcale na kozaków rejestrowych, co nie pomalu zdziwiło pana Skrzetuskiego, zwłaszcza, że była ich garść tak spora. Wszystko to wydało się namiestnikowi mocno podejrzanem. Gdyby hetman W. wysłał imci Abdanka do Kudaku, dałby mu przecie strażę z rejestrowych, a powtóre, z jakiejżeby racyi kazał mu iść stepem od Czehryna, nie wodą? Konieczność przeprowiania się przez wszystkie rzeki, idące Dziakimi polami do Dniepru, mogła tylko pochód opóźnić. Wyglądało to raczej tak, jakby imé p. Abdank chciał właśnie Kudak ominąć.

Alé zarówno i sama osoba p. Abdanka zastanawiała wielce młodego namiestnika. Zauważył wraz, że kozacy, którzy ze swymi pułkownikami obchodzili się dość poufale, jego otaczali czcią niezwyczajną, jakby prawego hetmana. Musiał to być jakiś rycerz dużej ręki, co tem dziwniejsze było panu Skrzetuskiemu, że znając Ukrainę i z tej i z tamtej strony Dniepru, o takim przesławnym Abdanku nie nie słyszał. Było przytem w twarzy tego męża coś szczególnego—jakaś moc utajona, która tak biła z oblicza, jak żar od płomienia, jakaś wola nieugięta, znamionująca, że człek ten przed nikim i niczem się nie cofnie. Taką właśnie wolę w obliczu miał ksiązę Jeremi Wiśniowiecki, ale co w księciu było przyrodzonym natury darem, właściwym wielkiemu urodzeniu i władzy, to mogło zastanowić w mężu nieznanego nazwiska, zabłąkanym w głuchym stepie.

Pan Skrzetuski długo deliberował. Chodziło mu po głowie, że to może jaki potężny banita, który wyrokiem ścigan chronił się w Dzikie pola—to znów, że to watażka watahy zbójckiej, ale to ostatnie nie było prawdopodobne. I ubiór i mowa tego człowieka poka-

zywały co innego. Zgoła więc nie wiedział namiestnik, czego się trzymać, miał się tylko na baczności, a tymczasem Abdank kazał konia sobie podawać.

— Mości namiestniku — rzekł — komu w drogę, temu czas. Pozwólże podziękować sobie raz jeszcze za ratunek. Oby Bóg pozwolił mi odplacić ci równą usługą.

— Nie wiedziałem, kogo ratuję, przetom i na wdzięczność nie zasłużył.

— Modestya to twoja tak mówi, która jest mężtwu równa. Przyjmij-że odemnie ten pierścień.

Namiestnik zmarszczył się i krok w tył odstąpił, mierząc oczyma Abdanka, ten zaś mówił dalej i z ojcowską niemal powagą w głosie i postawie:

— Spójrzyj jeno. Nie bogactwo tego pierścienia, ale inne cnoty ci zalecam. Za młodych jeszcze lat, w bisurmańskiej niewoli będąc, dostałem go od pątnika, który z ziemi Świętej powracał. W tem oczku zamknięty jest proch z grobu Chrystusa. Takiego daru odmawiać się nie godzi, choćby i z osądzonych rąk pochodził. Jesteś waśc młodym człowiekiem i żołnierzem, a gdy nawet i starość blizka grobu nie wie, co ją przed ostateczną godziną spotkać może, cóż dopiero adolescencya, która mając przed sobą wiek długi, na większą liczbę przygód trafić musi. Pierścień ten ustrzeże cię od przygody i obroni, gdy dzień sądu nadejdzie, a to ci powiadam, że dzień ten idzie już przez Dzikie pola.

Nastala chwila ciszy; słychać było tylko syczenie płomienia i parskanie koni.

Z dalekich oczeretów dochodziło żalosne wycie wilków. Nagle Abdank powtórzył raz jeszcze, jakby do siebie:

— Dzień sądu idzie już przez Dzikie pola, a gdy nadejdzie—z a d y w y t s i a w s i j s w i t b o ż y j...  
Namiestnik przyjął pierścień machinalnie, tak był zdumiały słowami tego dziwnego męża.

A ten zapatrzył się w dal stepową ciemną.

Potem zwrócił się zwolna i siadł na koń. — Mołojcy jego czekali już u stóp wzgórza.

— W drogę! w drogę! Bywaj zdrów, druhu żołnierzu—rzekł do namiestnika.—Czasy teraz takie, że brat bratu nie ufa, przeto i nie wiesz, kogoś ocalił, bom ci nazwiska swego nie powiedział.

— Więc waść nie Abdank?

— To klejnot mój...

— A nazwisko?

— Bohdan Zenobi Chmielnicki.

To rzekłszy, zjechał ze wzgórza, a za nim ruszyli mołojcy. Wkrótce okryły ich tuman i noc. Dopiero gdy odjechali już z pół stajania, wiatr przyniósł od nich słowa kozackiej pieśni:

„Oj wyzwoły Boże nas wsich bidnych newilnykiw,

„Z tiazkoj newoli,

„Z wiry bisurmanskoj,—

„Na jasni zori,

„Na tychi wody,

„U kraj weselnyj,

„U mir chreszczennyj.—

„Wysłuchaj Boże u prośbach naszych,

„U neszczasnych mołytwach,

„Nas bidnych newilnykiw.

Głosy cichły zwolna, potem stopiły się z powiewem, szumiącym po oczeretach.

## ROZDZIAŁ II.

---

Nazajutrz z rana przybywszy do Czehryna, pan Skrzetuski stanął w mieście, w domu księcia Jeremiego, gdzie też miał kęs czasu zabawić, aby ludziom i koniom dać wytechnienie po długiej z Krymu podróży, którą z przyczyny wezbrania i nadzwyczaj bystrych prądów na Dnieprze, trzeba było łodem odbywać, gdyż żaden bajdak nie mógł owej zimy płynąć pod wodę. Sam też Skrzetuski zażył nieco wczasu, a potem szedł do pana Zaćwilichowskiego, byłego komisarza Rzplitej, żołnierza dobrego, który nie służąc u księcia, był jednak jego zaufanym i przyjacielem. Namiestnik pragnął się go wypytać, czy nie ma jakich z Łubniów dyspozycji. Książę wszelako nie szczególnego nie polecił: kazał Skrzetuskiemu w razie, gdyby odpowiedź chanowa była pomyślna, wolno iść, tak, aby ludzie i konie mieli się dobrze. Z chanem zaś miał książę taką sprawę, że chodziło mu o ukaranie kilku murzów tatarskich, którzy własnowolnie puścili mu w jego zadnieprzańskie państwo zagony, a których sam zresztą srodze zbił. Chan rzeczywiście dał odpowiedź pomyślną: obiecał przysłać osobnego posła na kwiecień, ukarać nieposłusznych, a chcąc sobie zyskać życzliwość tak wsławionego, jak

książę, wojownika, posłał mu przez Skrzetuskiego konia wielkiej krwi i szłyk soboli. Pan Skrzetuski, wywiązawszy się z niemałym zaszczytem z poselstwa, które już samo było dowodem wielkiego książęcego faworu, bardzo był rad, że mu w Czehrynie zabawić pozwolono i nie naglono z powrotem. Natomiast stary Zaćwilichowski wielce był zafrasowany tem, co działo się od niejakiego czasu w Czehrynie. Poszli tedy razem do Dopuła, Wołocha, który w mieście zajazd i winiarnię trzymał, i tam, choć była godzina jeszcze wczesna, zastali szlachty huk, gdyż to był dzień targowy, a oprócz tego w tymże dniu wypadał w Czehrynie postój bydła pędzonego ku obozowi wojsk koronnych, przyczem ludzi nazbierało się mnóstwo. Szlachta zaś gromadziła się zwykle w rynku, w tak zwanym Dzwonickim kącie, u Dopuła. Byli tam więc i dzierżawcy Koniecpolskich, i urzędnicy czehryńscy, i właściciele ziem pobliskich, siedzący na przywilejach, szlachta osiadła i od nikogo niezależna, dalej urzędnicy ekonomii, trochę starszyzny kozackiej i pomniejszych drobiazg szlachecki, bądź-to na kondycjach żyjący, bądź na swoich futorach.

Ci i tamci pozajmowali ławy, stojące wedle długich dębowych stołów i rozprawiali głośno, a wszyscy o ucieczce Chmielnickiego, która była największym w mieście ewenementem. Skrzetuski więc z Zaćwilichowskim siedli sobie w kącie osobno i namiestnik począł wypytywać, coby to za feniks był ten Chmielnicki, o którym wszyscy mówili.

— To waśc nie wiesz?—odpowiedział stary żołnierz.—To jest pisarz wojska zaporozkiego, dziedzic Subotowa i—dodał ciszej—mój kum. Znamy się dawno.

Bywaliśmy w różnych potrzebach, w których nie-mało dokazywał, szczególnie pod Cecorą. Żołnierza takiej eksperyencji w wojskowych rzeczach nie masz może w całej Rzeczypospolitej. Tego się głośno nie mówi, ale to hetmańska głowa: człek wielkiej ręki i wielkiego rozumu; jego całe kozactwo słucha więcej niż koszowych i atamanów, człek niepozbawiony dobrych stron, ale hardy, niespokojny i gdy nienawiść weźmie w nim górę—może być straszny.

— Co mu się stało, że z Czehryna umknął?

-- Koty ze starostką Czaplńskim darli, ale to furda! Zwyczajnie szlachcie szlachcicowi z nieprzyjaźni sadła zalewał. Nie jeden on, i nie jednemu jemu. Mówią przytem, że żonę starostce bałamucił, starostka mu kochanicę odebrał i z nią się ożenił, a on mu ją zato później bałamucił, a to jest podobna rzecz, bo zwyczajnie... kobieta lekka. Ale to są tylko pozory, pod któremi głębsze jakieś praktyki się ukrywają. Widzisz waść, rzecz jest taka: w Czerkasach mieszka stary Barabasza, pułkownik kozacki, nasz przyjaciel. Miał on przywileje i jakoweś pisma królewskie, o których mówiono, że kozaków do oporu przeciw szlachcie zachęcały. Ale że to ludzki, dobry człek, trzymał je u siebie i nie publikował. Owóż Chmielnicki, Barabasha na ucztę zaprosiwszy, tu do Czehryna, do swego domu, potem posłał ludzi do jego futuru, którzy pisma i przywileje u żony podebrali—i z niemi umknął. Strach, by z nich jaka rebelia, jako była ostranicowa, nie korzystała, bo repeto: że to człek straszny, a umknął niewiadomo gdzie.

Na to pan Skrzetuski:

— A to lis! w pole mnie wywiódł. Powiadał się



pułkownikiem kozackim ks. D. Zaslawnickiego. Toć ja jego tej nocy na stepie spotkałem i od arkana uwolniłem.

Zaćwilichowski aż się za głowę porwał.

— Na Boga, co wać powiadasz? Nie może to być.

— Może być, kiedy było. Powiadał mi się pułkownikiem u ks. D. Zaslawnickiego i że do Kudaku, do pana Grodzickiego od Hetmana Wielkiego jest posłany, alem już temu nie wierzył, gdyż nie wodą jechał, jeno się stepem przekradał.

— To człek chytry; jak Ulisses! I gdzieżeś go wać spotkał?

— Nad Omelniczkiem, po prawej stronie Dnieprowej. Widno do Siczy jechał.

— Kudak chciał minąć. Teraz intelligo. Ludzi siła było przy nim?

— Było ze czterdziestu. Ale zapóźno przyjechali. Gdyby nie moi, byliby go słudzy starostki zdławili.

— Czekażże waszmość. To jest ważna rzecz. Słudzy starostki, mówisz?

— Tak sam powiadał.

— Skądże starostka mógł wiedzieć, gdzie jego szukać, kiedy tu w mieście wszyscy głowy tracą, nie wiedząc, gdzie się podział?

— Tego i ja wiedzieć nie mogę. Może też Chmielnicki zełgał i zwykłych łotrzyków na sług starostki kierował, by swoje krzywdy tem mocniej afirmować.

— Nie może to być. Ale to jest dziwna rzecz. Czy waszmość wie, że są listy hetmańskie, przykazujące Chmielnickiego łapać i in fund o zadzierżyć?

Namiestnik nie zdążył odpowiedzieć, bo w tej chwili wszedł do izby jakiś szlachcic z ogromnym hałasem.

Drzwiami trzasnął raz i drugi, a spojrzawszy hardo po izbie, zawołał:

— Czołem waszmościom!

Był-to człek czterdziestoletni, nizki, z twarzą zapalczywą, której-to zapalczywości przydawały jeszcze bardziej oczy, jakby śliwy na wierzchu głowy siedzące, ruchliwe—człek widocznie bardzo żywy, wichrowaty i do gniewu skory.

— Czołem waszmościom! — powtórzył głośniej i ostrzej, gdy mu zrazu nie odpowiadano.

— Czołem, czołem—ozwało się kilka głosów.

Był-to pan Czapliński, podstarości czehryński, sługa zaufany młodego pana chorążego Koniecpolskiego.

W Czehrynie nie lubiono go, bo był zawadyka wielki, piniacz, prześladowca, ale miał niemniej wielkie plecy, przeto ten i ów z nim politykował.

Zaćwilichowskiego jednego szanował, jak i wszyscy, dla jego powagi, cnoty i mężstwa. Ujrzawszy go, wnet też zbliżył się ku niemu, i skłoniwszy się dość dumnie Skrzetuskiemu, zasiadł przy nich ze swoją lampką miodu.

— Mości starosto — spytał Zaćwilichowski— czy wiesz, co się dzieje z Chmielnickim?

— Wisi, mości chorąży, jakem Czapliński, wisi, a jeśli dotąd nie wisi, to będzie wisiał. Teraz gdy są listy hetmańskie, niech jedno go dostanę w swoje ręce.

To mówiąc, uderzył pięścią w stół, aż płyn rozlał się ze szklenic.

— Nie wylewaj waćpan wina! — rzekł p. Skrzetuski.

Zaćwilichowski przerwał:

— A czy go wać dostaniesz? Przecie uciekł i nikt nie wie, gdzie jest?

— Nikt nie wie? Ja wiem — jakem Czaplński! Waszmość, panie chorąży, znasz Chwedka. Owóz Chwedko jemu służy, ale i mnie. Będzie on Judaszem Chmielowi. Siła mówić. Wdał się Chwedko w komitywę z mołojcami Chmielnickiego. Człek sprytny. Wie o każdym kroku. Podjął się mi dostawić żywym czy zmarłym i wyjechał w step równo przed Chmielnickim, wiedząc, gdzie ma go czekać!—A didków syn przeklęty!

To mówiąc, znowu w stół uderzył.

— Nie wylewaj waćpan wina!—powtórzył z przyskiskiem pan Skrzetuski, który dziwną jakąś awersją uczuł do tego podstarościego od pierwszego spojrzenia.

Szlachcic zaczerwienił się, błysnął swemi wypukłemi oczyma, sądząc, że mu dają okazyją, i spojrzał zapalczywie na Skrzetuskiego, ale ujrzawszy na nim barwę Wiśniowieckich, zmitygował się, gdyż jakkolwiek chorąży Koniecpolski wadził się wówczas z księciem, wszelako Czehryn zbyt był blisko Łubniów i niebezpiecznie było barwy książęcej nie uszanować.

Książę też i ludzi dobierał takich, że każdy dwa razy pomyślał, nim z którym zadarł.

— Więc to Chwedko podjął się waci Chmielnickiego dostawić?—pytał znów Zaćwilichowski.

— Chwedko. I dostawi—jakem Czaplński.

— A ja waci mówię, że nie dostawi—Chmielnicki zasadzki uszedł i na Sicz podążył, o czem trzeba pana Krakowskiego dziś jeszcze zawiadomić. Z Chmielnickim niema żartów. Krótko mówiąc, lepszy on ma rozum, tętszą rękę i większe szczęście od waci, który zbyt się zapalasz. Chmielnicki odjechał bezpiecznie, powtarzam waci, a jeśli może nie wierzysz, to ci

to ten kawaler powtórzy, który go wczoraj na stepie widział i zdrowym go pożegnał.

— Nie może być, nie może być! — wrzeszczał, targając się za czuprynę, Czaplinski.

— I co więcej—dodał Zaćwilichowski—to ten kawaler tu obecny sam go salwował i waścinych sług wygubił, w czem, mimo listów hetmańskich, nie jest winien, bo z Krymu z poselstwa wraca i o listach nie wiedział, a widząc człeka przez łotrzyków, jak sądził, w stepie oprymowanego, przyszedł mu z pomocą. O którym-to wyratowaniu się Chmielnickiego wcześniej waci zawiadamiam, bo gotów cię z Zaporozcami w twojej ekonomii odwiedzić, a znać nie byłbyś mu rad bardzo. Nadtoś się z nim warcholił. Tfu do licha!

Zaćwilichowski nie lubił także Czaplinskiego.

Czaplinski zerwał się z miejsca i aż mu mowę ze złości odjęło, twarz tylko sponsowiała mu zupełnie, a oczy coraz bardziej na wierzch wylazily. Tak stojąc przed Skrzetuskim, puszczał tylko urywane wyrazy:

— Jakto! waść mimo listów hetmańskich!... Ja waści... ja waści...

A pan Skrzetuski nie wstał nawet z ławy, jeno wsparłszy się na łokciu, patrzył na podskakującego Czaplinskiego, jak raróg na uwiązanego wróbla.

— Czego się waść mnie czepiasz, jak rzep psiego ogona?—spytał.

— Ja waści do grodu ze sobą... Waść mimo listów... Ja waści kozakami!..

Krzyczał tak, że w izbie uciszyło się trochę. Obecni poczęli zwracać głowy w stronę Czaplinskiego. Szukał on okazji zawsze, bo taka była jego natura, robił burdy każdemu, kogo napotkał, ale to zastanowiło

wszystkich, że teraz zaczął przy Zaćwilichowskim, ktorego jednego się obawiał, i że zaczął z żołnierzem, noszącym barwę Wiśniowieckich.

— Zamilknij-no waszeć—rzekł stary chorąży.— Ten kawaler jest ze mną.

— Ja wa... wa... waści do grodu... w dyby! — wrzeszczał dalej Czapliński, nie uważając już na nic i na nikogo.

Teraz pan Skrzetuski podniósł się także całą wysokością swego wzrostu, ale nie wyjmował szabli z pochew, tylko, jak ją miał spuszczoną nizko na rąpciach, chwycił w środku i podsunął w górę tak, że rękojeść wraz z krzyżykiem poszła pod sam nos Czaplińskiemu.

— Powąchaj no to waść!—rzekł zimno.

— Bij, kto w Boga... Służba!—krzyknął Czapliński, chwytając za rękojeść.

Ale nie zdążył szabli wydobyć. Młody namiestnik obrócił go w palcach, chwycił jedną ręką za kark, drugą za hajdawery poniżej krzyża, podniósł w górę rzucającego się jak cyga i idąc ku drzwiom między ławami, wołał:

— Panowie bracia, miejsce dla rogala, bo pobodzie!

To rzekłszy, doszedł do drzwi, uderzył w nie Czaplińskim, roztworzył i wyrzucił podstarościego na ulicę.

Poczem spokojnie usiadł na dawnym miejscu obok Zaćwilichowskiego.

W izbie przez chwilę zapanowała cisza. Siła, jakiej dowód złożył pan Skrzetuski, zaimponowała zebranej szlachcie. Po chwili jednak cała izba zatrzęsła się od śmiechu.

— Vivant Wiśniowieczycy!—wołali jedni.

— Omdlał, omdlał i krwią oblan—krzyczeli inni, którzy zaglądali przezedrzwi, ciekawi, co też pocznie Czaplinski.—Słudzy go podnoszą!

Mała tylko liczba stronników podstarościego milczała i nie mając odwagi ująć się za nim, spoglądała ponuro na namiestnika.

— Prawdę rzekłszy, w piętkę goni ten ogar -- rzekł Zaćwilichowski.

— Kundys to, nie ogar—rzekł zbliżając się gruby szlachcic, który miał bielmo na jednym oku, a na czole dziurę wielkości talara, przez którą świeciła naga kość.— Kundys to, nie ogar! Pozwól waść—mówił dalej, zwracając się do Skrzetuskiego—abym mu służby moje ofiarował. Jan Zagłoba, herbu Wczele, co każdy snadno poznać może, choćby po onej dziurze, którą w czele kula rozbójnika mi zrobiła, gdym się do Ziemi Świętej za grzechy młodości ofiarował.

— Dajże waść pokój—rzekł Zaćwilichowski;—powiadałeś kiedyindziej, że ci ją kuflem w Radomiu wybito.

— Kula rozbójnika, jakom żyw. W Radomiu było co innego.

— Ofiarowałeś się waść do Ziemi Świętej... może aleś w niej nie był, to pewno.

— Nie byłem, bom już w Galacie palmę męczeńską otrzymał. Jeśli lżę, jestem arcypies, nie szlachcic.

— A taki breszesz i breszesz!

— Szelmą jestem bez uszów. W wasze ręce panie namiestniku.

Tymczasem przychodzili i inni, zabierając z panem Skrzetuskim znajomość i affekt mu swój oświadczając, nie lubili bowiem ogólnie Czaplinskiego i radzi byli, że go taka spotkała konfuzya. Rzecz dziwna

i trudna dziś do zrozumienia, że tak cała szlachta w okolicach Czehryna, jak i pomniejsi właściciele słobód, dzierżawcy ekonomii, ba, nawet ze służby Konięcpolskich, wszyscy wiedząc, jako zwyczajnie w sąsiedztwie, o zatargach Czaplńskiego z Chmielnickim, byli po stronie tego ostatniego. Chmielnicki bowiem miał sławę znamienitego żołnierza, który niemałe zasługi w różnych wojnach położył. Wiedzano także, że sam król się z nim znosił i wysoce jego zdanie cenił, na całe zaś zajście patrzano tylko, jak na zwykłą burdę szlachcica ze szlachcicem, jakich-to burd na tyśiące się liczyło, zwłaszcza w ziemiach ruskich. Stawano więc po stronie tego, kto sobie więcej przychylności zjednać umiał, nie przewidując, by z tego takie straszliwe skutki wyniknąć miały. Później dopiero zapłonęły serca nienawiścią ku Chmielnickiemu, ale zarówno serca szlachty i duchowieństwa obydwóch obrządków.

Przychodzili tedy do pana Skrzetuskiego z kwartami, mówiąc: „Pij, panie bracie! Wypij i ze mną!— Niech żyją Wiśniowieczycy! Taki młody, a już porucznik u księcia. Vivat księżę Jeremi, hetman nad hetmany!—Z księciem Jeremim pójdziemy na kraj świata!—Na turków i tatarów!—Do Stambułu! Niech żyje miłościwie nam panujący Władysław IV!” Najgłośniej zaś krzyczał pan Zagłoba, który sam jeden gotów był cały regiment przepić i przegadać.

— Mości panowie!— wrzeszczał, aż szyby w oknach dzwoniły— pozwalam ja już jegomości sułtana do grodu za gwałt, którego się na mnie w Galacie dopuścił.

— Nie powiadajże waćpan lada czego, żeby ci się gęba nie wystrzepiła.

— Jakto, mości panie? quator articuli iudicii castrensis: stuprum, incendium, latrocinium et vis armata alienis aedibus illata, a czyż nie była to właśnie vis armata?

— Krzykliwy z waści głuszec.

— I choćby do trybunału pójde.

— Przestańże wasze...

— I kondemnatę uzyskam, i bezecnym go ogłoszę, a potem wojna, ale już z infamisem.

— Zdrowie waszmościów!

Niektórzy wszelako śmieli się, a z nimi pan Skrzetuski, bo mu się z czupryny trochę kurzyło, szlachcie zaś tokował dalej, naprawdę jak głuszec, który się własnym głosem upaja. Na szczęście, dyskurs jego przerwany został przez innego szlachcica, który zbliżywszy się, pociągnął go za rękaw i rzekł śpiewnym litewskim akcentem:

— Poznajomij-że waćpan, mości Zagłobo, i mnie z panem namiestnikiem Skrzetuskim—poznajomij-że!

— A i owszem, i owszem. Mości namiestniku, oto jest pan Powsinoga.

-- Podbipięta—poprawił szlachcie.

— Wszystko jedno! herbu Zerwipludry...

— Zerwikaptur—poprawił szlachcie.

— Wszystko jedno. Z Psychkiszek.

— Z Mysikiszek—poprawił szlachcie.

— Wszystko jedno. Ne scio, cobym wolał, czy mysie, czy psie kiszki. Ale to pewna, żebym w żadnych mieszkać nie chciał, bo to i osiedzieć się tam nie łatwo i wychodzić nie politycznie. Mości panie—mówił dalej do Skrzetuskiego, ukazując na litwina—Oto tydzień już piję wino za pieniądze tego szlachcica, któ-



ry ma miecz za pasem równie ciężki jak trzos, a trzos równie ciężki jak dowcip. Ale jeśliś pił kiedy wino za pieniądze większego cudaka, to pozwolę się nazwać takim kpem, jak ten, co mi wino kupuje.

— A to go objechał! — wołała, śmiejąc się, szlachta.

Ale litwin nie gniewał się, kiwał tylko ręką, uśmiechał się łagodnie i powtarzał:

— At dałbyś waćpan pokój—słuchać hadko!

Pan Skrzetuski przypatrywał się ciekawie tej nowej figurze, która istotnie zasługiwała na nazwę cudaka. Przedewszystkiem był to mąż wzrostu tak wysokiego, że głową prawie powały dosięgał, a chudość nadzwyczajna wydawała go wyższym jeszcze. Szerokie jego ramiona i żyłasty kark zwiastowały niepospolitą siłę, ale była na nim tylko skóra i kości. Brzuch miał tak wpadły pod piersią, że możnaby go wziąć za gładomorę, lubo ubrany był dostatnio, w szarą opiętą kurtę ze swiebodzińskiego sukna, z wążkami rękawami, i wysokie szwedzkie buty, które na Litwie zaczynały wchodzić w użycie. Szeroki i dobrze wypchany losiowy pas, nie mając na czem się trzymać, opadał mu aż na biodra, a do pasa przywiązany był krzyżacki miecz, tak długi, że temu olbrzymiemu mężowi prawie do pachy dochodził.

Ale ktoby się miecza przeląkł, wnetby się uspokoił, spojrzawszy na twarz jego właściciela. Była to twarz chuda, również jak i cała osoba, ozdobiona dwiema zwiśniętymi ku dołowi brwiami i parą tak samo zwisłych konopnego koloru wąsów, ale tak poczciwa, tak szczera, jak u dziecka. Owa obwisłość wąsów i brwi nadawała jej wyraz stroskany, smutny i śmie-

szny zarazem. Wyglądał na człeka, którego ludzie popychają, ale panu Skrzetuskiemu podobał się z pierwszego wejrzenia za ową szczerotę twarzy i doskonały moderunek żołnierski.

— Panie namiestniku — rzekł — to waszmość od księcia pana Wiśniowieckiego?

— Tak jest.

Litwin ręce złożył, jako do modlitwy i oczy podniósł w górę.

— Ach, co to za wielki wojownik, co to za rycerz, co to za wódz!

— Daj Boże Rzeczypospolitej takich jaknajwięcej.

— I pewno, i pewno. A czyby nie można do niego pod znak?

— Będzie waści rad.

Tu pan Zagłoba wtrącił się do rozmowy:

— Będzie miał książkę dwa różny do kuchni, jeden z waćpana, drugi z jego miecza, albo najmie waści za mistrza, ale każe na wasanu zbójów wieszać, lub sukno na barwę będzie waspanem mierzył! Tfu, jak się waćpan nie wstydzisz, będąc człowiekiem i katolikiem, być tak długim jak serpens, lub jak pogańska włócznia.

— Słuchać hadko — rzekł cierpliwie litwin.

— Jakże też godność waszeci? — spytał pan Skrzetuski — bo gdys mówił, pan Zagłoba tak waści podrywał, że z przeproszeniem nic nie mogłem zrozumieć.

— Podbipięta.

— Powsinoga.

— Zerwikaptur z Mysikiszek.

— Masz babo pociechę. Piję jego wino, ale kpem jestem, jeśli to nie pogańskie imiona.

— Dawno waść z Litwy?—pytał namiestnik.

— Ot już dwie niedziele w Czehrynie. Dowiedziawszy się od pana Zaćwilichowskiego, że waść tędy ciągnąć będziesz, czekam, by pod jego opieką księciu moje prośby przedstawić.

— Powiedzże mi waszmość, proszę, bom ciekaw, czemu też taki katowski miecz pod pachą nosisz?

— Nie katowski to, mości namiestniku, ale krzyżacki, a noszę, bo zdobyczny i dawno w rodzie. Już pod Chojnicami służył w litewskich rękach—tak i noszę.

— Ale to sroga machina i ciężka być musi okrutnie—chyba do obu rąk?

— Można do obu, można do jednej.

— Pokaż-że wasze.

Litwin wy dobył i podał, ale panu Skrzetuskiemu ręka zwiśla odrazu. Ni się złożyć, ni cięcia wymierzyć swobodnie. Na dwie ręce poradził, ale jeszcze było ciężko. Więc pan Skrzetuski zawstydził się trochę i zwróciwszy się do obecnych:

— No, mości panowie—rzekł—kto krzyż uczyni?

— My już próbowali—odrzekło kilka głosów.— Jeden pan komisarz Zaćwilichowski podniesie, ale krzyża i on nie uczyni.

— No, a waćpan?—pytał pan Skrzetuski, zwracając się do litwina.

Szlachcic podniósł miecz, jak trzcinę i machnął nim kilkanaście razy z największą łatwością, aż powietrze warczało w izbie, a wiatr powiał po twarzach.

— A niechże waści Bóg sekunduje! — zawołał Skrzetuski.—Pewną masz służbę u księcia pana.

— Bóg widzi, że jej pragnę, bo mi miecz w niej nie zardzewieje.

— Ale dowcip do reszty—rzekł pan Zagłoba—  
gdyż nie umiesz waść tak samo nim obracać.

Zaćwilichowski wstał i obaj z namiestnikiem za-  
bierali się do odejścia, gdy na raz wszedł do izby  
biały jak gołąb człowiek i spostrzegłszy Zaćwilichow-  
skiego, rzekł:

— Mości chorąży, komisarzu, ja tu do pana umy-  
ślnie!

Był to Barabasz, pułkownik czerkaski.

— To chodźże waszmość do mnie na kwaterę—  
rzekł Zaćwilichowski.—Tu już się tak ze łbów kurzy,  
że i światła nie widać.

Wyszli razem, a Skrzetuski z nimi. Zaraz za  
progiem Barabasz spytał:

— Czy niema wieści o Chmielnickim?

— Są. Uciekł na Sicz. Oto ten oficer spotkał  
go wczoraj na stepie.

— To nie wodą pojechał? Pchnąłem gońca do  
Kudaku, by go łapano, ale jeśli tak, to napróżno.

To rzekłszy, Barabasz zatknął rękami oczy i po-  
czął powtarzać:

— Ej! spasi Chryste! spasi Chryste!

— Czego waść trwożysz?

— A czy waszmość wiesz, co on mi zdradą wy-  
darł? Czy wiesz, co to znaczy takie dokumenta w Si-  
czy opublikować? Spasi Chryste! Jeśli król wojny  
z bisurmanem nie uczyni, to iskra na prochy...

— Rebelią waszmość przepowiadasz?

— Nie przepowiadam, bo ją widzę, a Chmielnicki  
lepszy od Nalewajki i od Łobody.

— A kto za nim pójdzie?

— Kto? Zaporozie, rejestrowi, mieszczanie, czerń, futornicy—i tacy ot!

Tu pan Barabasz wskazał na rynek i na uwijających się po nim ludzi. Cały rynek zapchany był wielkimi siwemi wołami, pędzonymi ku Korsuniowi dla wojska, a przy wołach szedł mnogi lud pastuszy tak zwani czabanowie, którzy całe życie w stepach i pustyniach spędzali — ludzie zupełnie dzicy, niewyznający żadnej religii—religionis nullius, jak mówił wojewoda Kisiel. Spozrzęgałeś między nimi postacie podobniejsze do zbójów, niż do pasterzy, okrutne, straszne, pokryte łachmanami rozmaitych ubiorów. Większa ich część przybrana była w tołuby baranie, albo w niewyprawne skóry, wełną na wierzch, rozchełstane na przedzie i ukazujące, choć była to zima, nagą pierś spaloną od wiatrów stepowych. Każdy zbrojny, ale w najrozmaitszą broń: jedni mieli łuki i sajdaki na plecach, niektórzy samopały, albo tak zwane z kozacka „piszczele,” inni szable tatarskie, inni kosy lub wrzście tylko kije z przywiązaną na końcu szczęką końską. Między nimi kręcili się niemniej dzicy, choć lepiej zbrojni niżowcy, wiozący do obozu na sprzedaż rybę suszoną, zwierzynę i tłuszcz barani, dalej czumacy z solą, stepowi i leśni pasiecznicy, oraz woskoboje z miodem, osadnicy leśni ze smołą i dziegciem; dalej chłopci z podwodami, kozacy rejestrowi, tatarzy z Białogrodu i Bóg wie kto—włóczęgi—„siromachy” z końca świata. W całym mieście pełno było pijanych, w Czehrynie bowiem wypadła nocleg, więc i hulatyka przed nocą. Na rynku rozkładano ognie, gdzieś palila się beczka ze smołą. Zewsząd dochodził gwar i wrzaski. Preraźliwy głos piszczałek tatarskich i bębenków

mieszał się z ryczeniem bydła i z łagodniejszemi głosami lir, przy których wtórze ślepcy śpiewali ulubioną wówczas pieśń:

„Sokołe jasnyj,  
Brate mij ridnyj,  
Ty wysoko letiesz,  
Ty daleko widziesz.”

A obok tego rozlegały się dzikie okrzyki: „hu! ha!—hu! ha!” kozaków, tańczących na rynku tropaka, pomazanych dziegciem i pijanych zupełnie. Wszystko to razem było dzikie i rozszalałe. Dość było Zaówwili-chowskiemu jednego spojrzenia, by się przekonać, że Barabasza miał słusność, że lada podmuch mógł rozpętać te niesforne żywioły, skłonne do grabieży, a przywykłe do boju, których pełno było na całej Ukrainie, A poza temi tłumami stała jeszcze Sicz, stało Zaporozże, od niedawna okiełznane i w karby po Masłowym stawie ujęte, ale gryzące niecierpliwie munsztuk, pomne dawnych przywilejów, nienawidzące komisarzy, a stanowiące uorganizowaną siłę. Siła ta miała przecie za sobą sympatyę niezmiernych mas chłopstwa, mniej cierpliwego, niż w innych Rzplitej stronach, bo mającego pod bokiem Czertomelik, a na nim bezpaństwo, rozbój i wolę. Więc pan chorąży, choć sam rusin i gorliwy wschodniego obrządku stronnik, zadumał się smutno.

Jako człek stary, pamiętał dobrze czasy Nalewajki, Łobody, Kremskiego, znał ukraińskie rozbójnictwo lepiej może, niż ktokolwiek na Rusi, a znając jednocześnie Chmielnickiego, wiedział, że on wart dwudziestu Łobodów i Nalewajków. Zrozumiał tedy całe niebezpieczeństwo jego na Sicz ucieczki, zwłaszcza z listami królewskimi, o których pan Barabasza po-

wiadał, że były pełne obietnic dla kozaków i zachęcające ich do oporu.

— Mości pułkowniku Czerkaski—rzekł do Barabasza—powinienbyś waszmość na Sicz jechać, wpływy Chmielnickiego równoważyć i pacyfikować, pacyfikować!

— Mości chorąży — odparł Barabasz — powiem tylko tyle waszmości, że na samą wieść o ucieczce Chmielnickiego z papierami, połowa moich czerkaskich ludzi dzisiejszej nocy także na Sicz za nim zbiegła. Moje czasy już minęły—mnie mogiła, nie buława!

Rzeczywiście, Barabasz był żołnierz dobry, ale człowiek stary i bez wpływu.

Tymczasem doszli do kwatery Zaćwilichowskiego; stary chorąży odzyskał już trochę pogody umysłu, właściwej jego gołębiej duszy, i gdy zasiedli nad półgarncówką miodu, rzekł raźniej:

— Wszystko to furda, jeśli, jak mówią, wojna z bisurmanem preparatur, a podobno że tak i jest, bo choć Rzeczpospolita wojny nie chce i nie mała już sejmy królowi krwi napsuły, wszelako król może na swoim postawić. Cały ten ogień można będzie na Turka obrócić, a w każdym razie mamy przed sobą czas. Ja sam pojedę do pana Krakowskiego i zdam mu sprawę i będę prosił, by się jako najbliżej ku nam z wojskiem przymknął. Czy co wskóram, nie wiem, bo chociaż to pan mężny i wojownik doświadczony, ale okrutnie w swoim zdaniu i swoim wojsku dufny. Waść, mości pułkowniku Czerkaski, trzymaj w ryzie kozaków — a waszeć, mości namiestniku, po przybyciu do Łubniów, ostrzeż księcia, by na Sicz baczność obrócił. Choćby mieli co począć—repeto: mamy czas. Na Sicz teraz ludzi niewiele: za rybą i za zwierzem się

porozchodzili, i po całej Ukrainie we wsiach siedzą. Nim się ściągną, dużo wody w Dnieprze upłynie. Przytem imię księcia straszne i gdy się zwiedzą, że na Czertomelik oczy ma obrócone, może będą cicho siedzieć.

— Ja z Czehryna choćby we dwóch dniach ruszyć gotowy—rzekł namiestnik.

— To i dobrze. Dwa i trzy dni nie nie znaczą. Waszmość, panie Czerkaski, pchnij też gońców z oznajmieniem sprawy do pana Chorążego koronnego i do księcia Dominika. Ale waszmość już śpisz, jak widzę?

Rzeczywiście Barabas złożył ręce na brzuchu i zdrzemnął się głęboko; po chwili nawet chrapać zaczęła. Stary pułkownik, gdy nie jadł i nie pił co oboje nad wszystko lubił, to spał.

— Patrz waszeć — rzekł cicho do namiestnika Zaćwilichowski—i przez takiego to starca warszawscy statyści chcieliby kozaków w ryzie utrzymać. Bóg z nimi. Ufali też i samemu Chmielnickiemu, z którym kanclerz w jakoweś układy wchodził, a który podobno srodze ufność zawiedzie.

Namiestnik westchnął na znak współczucia.<sup>o</sup> Barabas zaś chrapał silniej, a potem mruknął przez sen:

— Spasi Chryste! spasi Chryste!

— Kiedyż waść myślisz z Czehryna ruszyć? — spytał Chorąży.

— Wypada mi ze dwa dni Czaplńskiemu poczekać, który pewnie będzie chciał konfuzyi, jaka go spotkała, dochodzić.

— Nie uczyni tego. Prędeżby na waści sług swoich nasłał, gdybyś barwy książęcej nie nosił—ale z księciem zdrzeć straszna rzecz — nawet dla sługi Koniecpolskich.



— Oznajmię mu, że czekam, a w dwa lub w trzy dni ruszę. Zasadzki też nie obawiam się, mając przy boku szablę i garść ludzi.

To rzekłszy, namiestnik pożegnał starego Chorążego i wyszedł.

Nad miastem świeciła tak jasna luna od stosów nałożonych na rynku, że rzekłbyś cały Czehryn się pali, a gwar i krzyki wzmogły się jeszcze z nastaniem nocy. Żydzi nie wychylali się wcale ze swych domostw. W jednym kącie tłumy czabanów wyły posępne pieśni stepowe. Dzieci Zaporozcy tańczyli koło ognisk, rzucając w górę czapki, paląc z „piszczeli” i pijąc kwartami gorzałkę. Tu i owdzie zrywała się bijatyka, którą uśmierzali ludzie starostki. Namiestnik musiał torować sobie drogę rękojęcią szabli i słuchając tych wrzasków i szumu kozaczego, chwilami myślał sobie, że to już rebelia tak przemawia. Zdawało mu się także, że widzi groźne spojrzenia i słyszy ciche, zwracane ku sobie klątwy. W uszach brzęczały mu jeszcze słowa Barabasza: „spasi Chryste, spasi Chryste!” i serce biło mu żywiej.

A tymczasem w mieście czabanowie zawodzili coraz głośniejsze chorowody, a Zaporozcy palili z samopałów i kapali się w gorzałce.

Strzelanina i dzikie „u-ha! u-ha!” dochodziły do uszu namiestnika nawet wówczas, gdy już położył się spać w swojej kwaterze.

### ROZDZIAŁ III.

W kilka dni później, poczet naszego namiestnika posuwał się rażno w stronę Łubniów. Po przeprawie przez Dniepr, szli szeroką drogą stepową, która łączyła Czehryn z Łubniami, idąc na Żuki, Semi-Mogiły i Chorol. Drugi taki gościniec wiódł ze stolicy książęcej do Kijowa. Za dawniejszych czasów, przed rozprawą hetmana Żółkiewskiego pod Sołonicą, dróg tych nie było wcale. Do Kijowa jechało się z Łubniów stepem i puszcza; do Czehryna była droga wodna—z powrotem zaś jeżdżono na Chorol. W ogóle zaś, owe naddnieprzańskie państwo—stara ziemia połowiecka—było pustynią, mało co więcej od Dzikich pól zamieszkałą, przez Tatarów często zwiedzaną, dla watah zaporozkich otwartą.

Nad brzegami Suły szumiały ogromne, prawie stopą ludzką niedotykane lasy — miejscami po zapadłych brzegach Suły, Rudej, Śleporodu, Korowaja, Orzawca, Pszoły i innych większych i mniejszych rzek i przytoków, tworzyły się mokradła, zarośnięte częścią gęstwiną krzów i borów, częścią odkryte, pod postacią łąk. W tych borach i bagniskach znajdował łatwy przytułek zwierz wszelkiego rodzaju; w najgłębszych mrokach leśnych żyła moc niezmierna turów brodatych,

niedźwiedzi i dzikich świń, a obok nich liczna szara gawieź wilków, rysiów, kun, stada sarn i kraśnych suhaków; w bagniskach i w lachach rzecznych bobry zakładały swoje żeremia, o których-to bobrach chodziły wieści na Zaporozżu, że są między niemi stuletnie starce, białe jak śnieg ze starości.

Na wysokich, suchych stepach bujały stada koni dzikich, o kudłatych głowach i krwawych oczach. Rzeki roily się rybą i ptactwem wodnem. Dziwna to była ziemia, na wpół uśpiona, ale nosząca ślady dawniejszego życia ludzkiego. Wszędzie pełno popieliszczyz jakichś przedwiecznych grodach; same Łubnie i Chorol były z takich popieliszczyz podniesione; wszędzie pełno mogił, nowszych i starszych, porośniętych już borem. I tu, jak na Dzikich polach, nocami wstawiały duchy i upiory, a starzy zaporozcy opowiadali sobie przy ogniskach dziwy o tem, co się czasami działo w owych głębinach leśnych, z których dochodziły wycia wiadomo jakich zwierząt, krzyki pół-ludzkie, pół-zwierzęce, gwary straszne, jakoby bitew lub łowów. Pod wodami odzywały się dzwony potopionych miast. Ziemia była mało gościnna i mało dostępna, miejscami zbyt rozmiękła, miejscami cierpiąca na brak wód, spalona, sucha, a do mieszkania niebezpieczna, osadników bowiem, gdy się jako tako osiedli i zagospodarowali, ścierały napady tatarskie. Odwiedzali ją tylko często zaporozcy dla gonów bobrowych, dla zwierzca i ryby, w czasie bowiem pokoju większa część niżowców rozlaźla się z Siczy na łowy, czyli jak mówiono na „przemysł” po wszystkich rzekach, jarach, lasach i komyśzach, bobrując w miejscach, o których istnieniu nawet mało kto wiedział.

Jednakże i życie osiadłe próbowało uwiązać się do tych ziem, jak roślina, która próbuje, gdzie może, chwycić się gruntu korzonkami i raz wraz wyrwana, gdzie może, odrasta.

Powstawały na pustkach grody, osady, kolonie, slobody i futory. Ziemia była miejscami żywna, a nęciła swoboda. Ale wtedy dopiero zakwitło życie, gdy ziemie te przeszły w ręce kniaziów Wiśniowieckich. Książ Michał, po ożenieniu się z Mohilanką, począł starowniej urządzać swoje zadnieprzańskie państwo; ściągał ludzi, osadzał pustki, zapewniał swobody do lat trzydziestu, budował monastery i wprowadzał prawo swoje książęce. Nawet taki osadnik, który przymknął do tych ziem niewiadomo kiedy i sądził, że siedzi na własnym gruncie, chętnie schodził do roli kniaziewego czynszownika, gdyż za ów czynsz szedł pod potężną książęcą opiekę, która go ochraniała, broniła od tatarów i gorszych nieraz od tatarów niżowców. Ale prawdziwe życie zakwitło dopiero pod żelazną ręką młodego księcia Jeremiego. Za Czehrynem zaraz zaczęła się jego państwo, a kończyło het aż pod Konotopem i Romnami. Nie stanowiło ono całej kniaziewej fortuny, bo od województwa sandomierskiego począwszy, ziemie jego leżały w województwach wołyńskim, ruskiem, kijowskiem, ale naddnieprzańskie państwo było okiem w głowie zwycięzcy z pod Putywła.

Tatar długo czyhał nad Orłem, nad Worskłą i wietrzył, jak wilk, nim ośmielił się na północ konia popędzić—niżowcy nie próbowali zatargu. Miejscowe nie spokojne watahy poszły w służbę. Dziki i rozbójniczy lud, żyjący dawniej z gwałtów i napadów, teraz ujęty w karby, zajmował „polanki” na rubieżach i leżąc na

granicach państwa, jak brytan na łańcuchu, groził zębem najeźdźcy.

Toż zakwitło i zaroilo się wszystko. Pobudowano drogi na śladach dawnych gościńców; rzeki ujęto groblami, które sypał niewolnik tatar lub niżowiec, schwytany z bronią w rękę na rozboju. Tam, gdzie niegdyś wiatr grywał dziko nocami na oczeretach i wyły wilki i topielcy, teraz hurkotały młyny. Przeszło czterysta kół, nie licząc rżęsiście rozsianych wiatraków, męło zboże na samem Zadnieprzu. Czterdzieści tysięcy czynszowników wносиło czynsz do kas książeńcych, lasy zaroily się pasiekami, na rubieżach powstawały wsie coraz nowe, futory, slobody. Na stepach, obok tabunów dzikich, pasły się całe stada swojskiego bydła i koni. Nieprzejrzany, jednostajny widok borów i stepów ubarwił się dymami chał, złoconemi wieżami cerkwi i kościołów—pustynia zamieniła się w kraj dość ludny.

Jechał tedy pan namiestnik Skrzetuski wesoło i nie śpiesząc się, jakoby swoją ziemią, mając po drodze wszelkie wczasy zapewnione. Był to dopiero początek stycznia 48 roku, ale dziwna, wyjątkowa zima nie dawała się wcale we znaki. W powietrzu tchnęła wiosna; ziemia rozmiękła i przeświecała wodą roztopów; na polach zieleniała ruń, a słońce dogrzewało tak mocno, że w podróży o południu kozuchy prażyły grzbiet, jak latem.

Orszak namiestnika zwiększył się znacznie, w Czehrynie bowiem przyłączyło się do niego poselstwo wołoskie, które gospodar do Łubniów wysłał w osobie p. Rozwana Ursu. Przy poselstwie było kilkunastu karalaszów eskorty i wozy z czeladzią. Prócz tego z namiestnikiem jechał nasz znajomy pan Longinus

Podbipięta, herbu Zerwikaptur, ze swoim długim mieczem pod pachą i z kilkoma czeladzi służbowej.

Słońce, cudna pogoda i woń zbliżającej się wiosny, napawały wesołością serca, a namiestnik tem był weselszy, że wracał z długiej podróży pod dach książęcy, który był zarazem jego dachem, wracał, sprawiwszy się dobrze, więc i przyjęcia dobrego pewny.

Ale wesołość jego miała i inne powody.

Oprócz łaski księcia, którego namiestnik z całej duszy kochał, czekały go w Łubniach jeszcze i pewne czarne oczy, tak słodkie, jak miód.

Oczy te należały do Anusi Borzobohatej-Krasieńskiej, panienki respektowej księżnej Gryzeldy, najpiękniejszej dziewczyny z całego fraucymeru, balamutki wielkiej, za którą przepadali wszyscy w Łubniach, a ona za nikim. U księżnej Gryzeldy mores był wielki i surowość obyczajów niepomiarowa, co jednak nie przeszkadzało młodemu spoglądać na nią jarzącymi oczyma i wzdychać. Pan Skrzetuski posyłał tedy swoje westchnienia ku czarnym oczom na równi z innymi, a gdy bywało zostawał sam w swojej kwaterze, wówczas chwycił lutnię w rękę i śpiewywał:

„Tyś jest specyał nad specyały.”

lub też:

„Jak tatarska orda,  
Bierzcz w jasyr corda!”

Ale że to był człek wesoły i przytem żołnierz wielce w swym zawodzie zamiłowany, więc nie brał zbyt do serca tego, że Anusia uśmiechała się tak samo do niego, jak i do pana Bychowca z chorągwi wołoskiej, jak do pana Wurela z artyleryi, jak do pana Wołodyjowskiego z dragonów, a nawet do pana Ba-

ranowskiego z husaryi, chociaż ten ostatni był już dobrze szpakowaty i szeplenił, mając podniebienie potrząskane kulą z samopału. Nasz namiestnik bił się już nawet raz z panem Wołodyjowskim w szablę o Anusię, ale gdy przyszło zadługo siedzieć w Łubniach bez jakowejś wyprawy na tatarów, to sobie nawet i przy Anusi przykrzył, a gdy przyszło ciągnąć — to ciągnął z ochotą, bez żalu, bez wspominków.

Za to też i witał z radością. Teraz więc oto, wracając z Krymu po pomyślnem rzeczy załatwieniu, podśpiewywał wesoło i czwanił koniem, jadąc obok pana Longinusa, który, siedząc na ogromnej inflanckiej kobyle, strapiiony był i smutny, jak zawsze. Wozy poselstwa, karalasz, eskorta, zostały znacznie za nimi.

— Jegomość poseł leży na wozie, jak kawał drzewa i śpi ciągle — rzekł namiestnik. — Cudów mi naprawił o swojej Wołoszczyźnie, aż i ustał. Jam też słuchał z ciekawością. Niema co! kraj bogaty, klima przednie, złota, wina, bakaliów i bydła dostatek. Pomyślałem sobie tedy, że nasz książę rodzi się z Mohilanki i że ma takie dobre prawo do hospodarskiego tronu, jak kto inny, których praw przecie książę Michał dochodził. Nie nowina to naszym paniętom Wołoszczyzna. Bijali już tam i turków, i tatarów, i wołochów, i siedmiogrodzian...

— Ale lud tam miękniejszy niż u nas, o czem mi i pan Zagłoba w Czehrynie opowiadał — rzekł pan Longinus — a gdybym jemu nie wierzył, to wtedy w książkach od nabożeństwa potwierdzenie tej prawdy się znajduje.

— Jakto w książkach?

— Ja sam mam taką i mogę ją waszmości pokazać, bo ją zawsze wożę ze sobą.

To rzekłszy, odpiął troki przy terlicy i wydobyszy niewielką książeczkę, starannie w ciele oprawioną, naprzód ucałował ją pobożnie, potem przewróciwszy kilkanaście kartek, rzekł:

— Czytaj waść.

Pan Skrzetuski rozpoczął:

— „Pod twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko”... Gdzież zaś tu jest o wołochach? co waść mówisz!—to antyfona!

— Czytaj waść dalej.

— „...Abyśmy się stali godnymi obietnic pana Chrystusowych. Amen.”

— No, a teraz pytanie...

Skrzetuski czytał:

— „Pytanie: Dlaczego jazda wołoska zowie się lekką? Odpowiedź: Bo lekko ucieka. Amen.”—Hm! prawda! Wszelako w tej książce dziwne jest matery pomieszanie.

— Bo to jest książka żołnierska, gdzie obok modlitw, rozmaite instructiones militares są przyłączone, z których nauczysz się waść o wszystkich nacyach, która z nich zacniejsza, która podła; co do wołochów zaś, to się pokazuje, iż tchórzliwe z nich pacholki, a przytem zdrajcy wielcy.

— Że zdrajcy, to pewno, bo pokazuje się to i z przygód księcia Michała. Co prawda, to i ja slyszalem, iż żołnierz to z przyrodzenia nieszczególny. Ma przecie książę jegomość chorągiew wołoską bardzo przednią, w której pan Bychowiec porucznikuje, ale stricte, to w owej wołoskiej chorągwi nie wiem, czy i dwudziestu wołochów się znajduje.



Jak też waszmość myślisz, panie namiestniku, siła ksiązę ma ludzi pod bronią:

— Będzie z ośm tysięcy, nie licząc kozaków, co po pałankach stoją. Ale powiadał mi Zaćwilichowski, że teraz nowe zaciągi są czynione.

— To może Bóg da jakąwą wyprawę pod księciem panem?

— Tak mówią, że wielka wojna z tureczynem się gotuje i że sam król z całą potęgą Rzplitej ma ruszyć. Wiem też, że upominki tatarom są wstrzymane, którzy przecie od strachu nie śmiają zagonu ruszyć. O tem słyszałem i w Krymie, gdzie bodaj dlatego przyjmowano mnie tak honeste, bo jest wieść, że gdy król z hetmany pociągnie, ksiązę ma na Krym uderzyć i całkiem tatarów zetrzeć. Jakoż to jest pewna, że takowej imprezy innemu nie powierzą.

Pan Longinus podniósł do góry ręce i oczy.

— Dajże Boże miłosierny, daj takową świętą wojnę, na chwałę chrześcijaństwu i naszemu narodowi, a mnie grzesznemu pozwól w niej vota moje spełnić, abym in luctu mógł być pocieszony, albo też śmierć chwalebną znaleźć.

— To waść ślub wedle wojny uczynił?

— Tak zacnemu kawalerowi wszystkie arkana duszy mojej otworzę, choć siła mówić, ale gdy waćpan ucha chętnego skłaniasz, przeto incipiam: Wiesz waszmość, że herb mój zwie się Zerwikaptur, co z takowej przyczyny pochodzi, że gdy jeszcze pod Grunwaldem przodek mój, Stowejko Podbipięta, ujrzał trzech rycerzy w mniszych kapturach, w szeregu jadących, zajęchawszy ich, ściął wszystkich trzech odrazu, o którym-to sławnym czynie stare kroniki piszą, z wielką dla przodka mego chwałą...

— Nie lżejszą miał on przodek od waści rękę, ale i słusznie Zerwikapturem go nazwali.

— Któremu też król herb nadał, a w nim trzy kozie głowy w srebrnym polu, na pamiątkę owych rycerzy, gdyż takie same głowy były na ich tarczach wyobrażone. Ten herb, wraz z tym tu oto mieczem, przodek mój Stowejko Podbipięta przekazał potomkom swoim z zaleceniem, by starali się splendor rodu i miecza podtrzymać.

— Niema co mówić, z grzecznego rodu waszmość pochodzisz!

Tu pan Longinus zaczął wzdychać rzewnie, a gdy nakoniec ulżyło mu trochę, tak mówił dalej:

— Będąc tedy z rodu ostatni, ślubowałem w Trokach Najświętszej Panie żyć w czystości i nie prędeż stanąć na ślubnym kobiercu, póki za sławnym przykładem przodka mego, Stowejki Podbipięty, trzech głów tymże samym mieczem od jednego zamachu nie zetnę. O Boże miłosierny, widzisz, zem wszystko uczynił, co było w mocy mojej. Czystości dochowałem do dnia dzisiejszego, sercu czułem milczeć kazałem, wojny szukałem i walczyłem, ale szczęścia nie miałem...

Porucznik uśmiechnął się pod wąsem.

— I nie ściałeś waćpan trzech głów?

— Ot! nie zdarzyło się! Szczęścia niema! Po dwie nieraz bywało, ale trzech nigdy. Nie udało się zajechać, a trudno prosić wrogów, by się ustawili równo do cięcia. Bóg jeden widzi moje smutki: siła w kościach jest, fortuna jest... ale adolescentia uchodzi, czterdziestu pięciu lat dobiegam, serce do afektów się wyrywa, ród ginie, a trzech głów jak niema, tak nie

mał.. Taki i Zerwikaptur ze mnie. Pośmiewisko dla ludzi, jak słusznie mówi pan Zagłoba, co wszystko cierpliwie znoszę i panu Jezusowi ofiaruję.

Litwin począł znowu tak wzdychać, że aż i jego inflancka kobyła, widać ze współczucia dla swego pana, jęła stękać i chrapać żałośnie.

— To tylko mogę waszmości powiedzieć—rzekł namiestnik — iż jeśli pod księciem Jeremim nie znajdziesz okazji, to chyba nigdy.

— Daj Boże! — odparł pan Longinus — dlatego i jadę prosić o łaskę księcia pana.

Dalszą rozmowę przerwał im nadzwyczajny łopot skrzydeł. Jako się rzekło, zimy tej ptactwo nie szło za morza, rzeki nie zamarzały, przeto szczególniej wodnego ptactwa wszędzie było pełno nad błotami. Właśnie w tej chwili porucznik z panem Longinem zbliżyli się do brzegu Kahamliku, gdy nagle zaszumiało im nad głowami całe stado żórawi, które przeciągały tak nisko, że możnaby niemal kijem do nich dorzucić. Stado leciało z wrzaskiem okrutnym i zamiast zapaść w oczerety, podniosło się niespodziewanie w górę.

— Mkna, jakby gonione—rzekł pan Skrzetuski.

— A o! widzisz waść—rzekł pan Longinus, ukazując na białego ptaka, który tnąc powietrze ukośnym lotem, starał się podlecieć pod stado.

— Raróg, raróg! przeszkadza im zapaść! — wołał namiestnik. Poseł ma rarogi—musiał puścić.

W tej chwili pan Rozwan Ursu nadjechał pędem na czarnym anatolskim dzianecie, a za nim kilku karałaszów służbowych.

— Panie poruczniku, proszę na zabawę—rzekł

— Czy to raróg waszej cześci?

— Tak jest, i zacny bardzo, zobaczysz waść...

Popędzili naprzód we trzech, a za nimi wołoch sokolniczy z obręczą, który utkwivszy oczy w ptaki, krzyczał z całych sił, zachęcając raroga do walki.

Dzielny ptak zmusił już tymczasem stado do podniesienia się w górę, potem sam wzbił się, jak błyskawica, jeszcze wyżej i zawisł nad niem. Żórawie zbiły się w jeden ogromny wir, szumiący jak burza skrzydłami. Groźne wrzaski napępniały powietrze. Ptaki powyciągały szyje, powytykały ku górze dzioby, jak włócznie i czekały ataku.

Raróg tymczasem krążył nad niemi. To zniżał się, to podnosił, jak gdyby wahał się runąć na dół, gdzie na pierś jego czekało sto ostrych dziobów. Jego białe pióra, oświecone słońcem, błyszczały, jak samo słońce, na pogodnym błękitcie nieba.

Nagle, zamiast rzucić się na stado, pomnął jak strzala w dal i wkrótce zniknął za kępami drzew i oczeretów.

Pierwszy Skrzetuski ruszył za nim z kopyta. Poseł, sokolnik i pan Longinus poszli za jego przykładem.

Wtem na skrócie drogi namiestnik wstrzymał konia, gdyż nowy a dziwny widok uderzył jego oczy. W pośrodku gościńca leżała na boku kolaska ze złamaną osią. Odprężone konie trzymało dwóch kozacków. Woźnicy nie było wcale, widocznie odjechał w celu szukania pomocy. Przy kolasce stały dwie niewiasty, jedna ubrana w lisi tołub i takąż czapkę z okrągłym dnem, twarzy surowej, męskiej; druga była to młoda panna, wzrostu wyniosłego, rysów pańskich i bardzo foremnych. Na ramieniu tej młodej pani sie-

dział spokojnie roróg i rozstrzępiwszy pióra na pierśsiach, muskał je dziobem.

Namiestnik osadził konia, aż kopyta wryły się w piasek gościńca, i rękę podniósł do czapki, zmieszany i niewiedzący, co ma mówić, czy witać, czy o roroga się dopominać. Zmieszany był jeczczę i dlatego, że z pod kuniego kapturka spojrzwały nań takie oczy, jakich jak życie swoje nie widział, czarne, aksamitne, a łzawe, a mieniające się, a ogniste, przy których oczy Anusi Borzobohatej zgasłyby, jak świece przy pochodniach. Nad temi oczami jedwabne ciemne brwi rysowały się dwoma delikatnymi łukami, zarumienione policzki kwitnęły, jak kwiat najpiękniejszy, przez malinowe wargi, trochę otwarte, widniały zębki, jak perły, z pod kapturka spływały bujne czarne warkocze. „Czy Juno we własnej osobie, czy inne jakoweś bóstwo?” pomyślał namiestnik, widząc ten wzrost strzelisty, pierś wypukłą i tego białego sokoła na ramieniu. Stał tedy nasz porucznik bez czapki i zapatrzył się, jak w cudowny obraz, i tylko oczy mu się świeciły, a za serce chwytalo go coś, jak ręką. I już miał rozpocząć mowę od słów: „Jeśliś jest śmiertelną istotą, a nie bóstwem”... gdy w tej chwili nadszedł poseł i pan Longinus, a z nimi sokolnik z obręczą. Co widząc, bogini nadstawiła rorogowi rękę, na której ten zaraz, zszedłszy z ramienia, usadowił się, przestępując z nogi na nogę. Namiestnik, uprzedzając sokolniczego, chciał zdjąć ptaka, gdy nagle stał się dziwny omen. Oto roróg, pozostawiwszy jedną nogę na ręku panny, drugą chwycił się namiestnikowej dłoni i zamiast przesiąść się, począł kwilić radośnie i przyciągać te ręce ku sobie tak silnie, że się musiały zetknąć. Po namiestniku mrowie

przeszło, raróg zaś dopiero wtedy dał się przenieść na obręcz, gdy sokolnik nałożył mu kaptur na głowę. A wtem starsza pani poczęła wyrzekać:

— Rycerze! — mówiła — ktokolwiek jesteście, nie odmawiajcie pomocy białogłowom, które zostawszy na drodze bez pomocy, same nie wiedzą, co począć. Do domu nam już nie dalej, jak trzy mile, ale w kolasce osie popekały i chyba nam nocować w polu przyjdzie; woźnicę posłałam do synów, by nam choć wóz przysłali, ale nim woźnica dojedzie i wróci, ciemno będzie, a na tem uroczysku strach zostać, bo tu w pobliżu mogiły.

Stara szlachcianka mówiła prędko i głosem tak grubym, że namiestnik aż się zadziwił, wszelako odrzekł grzecznie:

— Nie dopuszczaj-że jejmość tej myśli, byśmy panią i nadobną jej córkę mieli bez pomocy zostawić. Jedziemy do Łubniów, gdyż żołnierzami w służbie J. O. księcia Jeremiego jesteśmy, i podobno nam droga w jedną stronę wypada, a choćby też nie, to zboczymy chętnie, byle się nasza asystencya nie uprzykrzyła. Co zaś do wozów, to ich nie mam, bo z towarzyszami po żołniersku komunikiem idę, ale pan poseł ma, i tuszę, że jako uprzejmy kawaler, chętnie niemi pani i jejmościance służyć będzie.

Poseł uchylił sobolowego kołpaka, gdyż znając mowę polską, zrozumiał o co idzie i zaraz z pięknym komplimentem, jako grzeczny bojar, wystąpił, poczem rozkazał sokolniczemu skoczyć po wozy, które były znacznie z tyłu zostały. Przez ten czas namiestnik patrzył na pannę, która pożerczego wzroku jego znieść nie mogąc, opuściła oczy na ziemię, a dama o koza-kiem obliczu tak mówiła dalej:

— Niech Bóg zapłaci imé panom za pomoc. A że do Łubniów droga jeszcze daleka, nie pogardzicie moim i moich synów dachem, pod którym radzi wam będziem. My z Rozłogów-Siromachów, ja wdowa po kniazu Kurcewiczu-Bułyże, a to nie jest moja córka, jeno córka po starszym Kurcewiczu, bracie mego męża, który sierotę swą nam na opiekę oddał. Synowie moi teraz w domu, a ja wracam z Czerkas, gdzie się do ołtarza Świętej-Przeczystej ofiarowała. Aż oto w powrocie spotkał nas ten wypadek, i gdyby nie polityka waszmościów, chybaby na drodze nocować przyszło.

Kniaziowa mówiłaby jeszcze dłużej, ale wtem zdala pokazały się wozy, nadjeżdżające kłusem wśród gromady karalaszów poselskich i żołnierzy p. Skrzetuskiego.

— To jejmość pani wdowa po kniazu Wasilu Kurcewiczu?—spytał namiestnik.

— Nie! — zaprzeczyła żywo i jakby gniewliwie kniahini.—Jam wdowa po Konstantynie, a to jest córka Wasila, Helena—rzekła, wskazując na pannę.

— O kniazu Wasilu wiele w Łubniach rozpowiadają. Był-to żołnierz wielki i nieboszczyka księcia Michała zaufany.

— W Łubniach nie byłam—rzekła z pewną wyniosłością Kurcewiczowa — i o jego żołnierstwie nie wiem, a o późniejszych postępках niema co wspominać, gdyż i tak wszyscy o nich wiedzą.

Słyszając to, kniaziówna Helena zwiesiła głowę na piersi, jak kwiat podcięty kosa, a namiestnik odparł żywo:

— Tego waćpani nie mów. Książ Wasil, przez straszliwy error sprawiedliwości ludzkiej skazany na

utrata gardła i mienia, musiał się ucieczką salwować, ale później wykryła się jego niewinność, którą też promulgowano, i do sławy go, jako cnotliwego męża, przywrócono; a sława tem większą być powinna, im większą była krzywda.

Kniahini spojrzała bystro na namiestnika, a w jej nieprzyjemnem, ostrem obliczu gniew odbił się wyraźnie. Ale pan Skrzetuski, choć człowiek młody, tyle miał w sobie jakowejś powagi rycerskiej i tak jasne wejrzenie, że mu zaoponować nie śmiała, natomiast zwróciła się do kniaziówny Heleny:

— Waćpannie tego słuchać nie przystoi. Idź oto dopilnuj, aby toboły z kolaski były przełożone na wozy, na których z pozwoleniem ichmościów siedzieć będziem.

— Pozwolisz jejmość panna pomódz sobie—rzekł namiestnik.

Poszli oboje ku kolasce, ale skoro tylko stanęli naprzeciw siebie po obu stronach jej drzwiczek, jedwabne frendzle oczu kniaziówny podniosły się i wzrok jej padł na twarz porucznika, jakoby jasny, ciepły promień słoneczny.

— Jakże mam waszmości panu dziękować—rzekła głosem, który namiestnikowi wydał się tak słodką muzyką, jak dźwięczenie lutni i fletów — jakże mam dziękować, żeś się za sławę ojca mego ujął i za tę krzywdę, która go od najbliższych krewnych spotyka.

— Mościa panno!— odpowiedział namiestnik, a czuł, że serce tak mu taje, jak śnieg na wiosnę.—Tak mi Pan Bóg dopomóż, jakobym dla takiej podzięki w ogień skoczył gotowy, albo zgoła krew przelać, ale gdy ochota tak wielka, przeto zasługa mniejsza, dla której



małości nie godzi mi się dziękczynnego żołdu z ust imć panny przyjmować.

— Jeżeli waszmość pan nim pogardzasz, to jako uboga sierota, nie mam jak inaczej wdzięczności mojej okazać.

— Nie pogardzam ja nim—mówił ze wzrastającą siłą namiestnik—ale na tak wielki fawor zarobić długą i wierną służbą pragnę, i o to tylko proszę, abyś mnie imć panna przyjąć na owę służbę raczyła.

Kniazówna, słysząc te słowa, zapłonila się, zmieszala, potem przybladła nagle i ręce do twarzy podnosząc, odrzekła żalonym głosem:

— Nieszczęścieby chyba waćpanu taka służba przynieść mogła.

A namiestnik przechylił się przez drzwiczki kolarski i tak mówił z cicha a tkliwie:

— Przyniesie, co Bóg da, a choćby też i ból, przeciwnie ja do nóg waćpanny upaść i prosić o nią gotowy.

— Nie może to być, rycerzu, abyś waćpan dopiero mnie ujrzawszy, tak wielką do owej służby miał ochotę.

— Ledwie cię ujrzał, jużem o sobie zgoła zapomniiał i widzę, że wolnemu dotąd żołnierzowi chyba w niewolnika zmienić się przyjdzie, ale taka widać wola Boża. Afekt jest jako strzała, która niespodzianie pierś przeszywa, i oto czuję jej grot, choć wczoraj sambym nie wierzył, gdyby mi kto powiadał.

— Jeślibyś waszmość wczoraj nie wierzył, jakże ja uwierzyć dzisiaj mogę?

— Czas o tem najlepiej waćpannę przekona, a szczerości, choćby zaraz, nietylko w słowach, ale i w obliczu dopatrzeć się możesz.

I znowu jedwabne zasłony oczu kniaziówny podniosły się, a wzrok jej napotkał mężkie i szlachetne oblicze młodego żołnierza, i spojrzenie tak pełne zachwytu, że ciemny rumieniec pokrył jej twarz. Ale nie spuszczała już wzroku ku ziemi i przez chwilę on pił słodycz jej cudnych oczu. I tak patrzyli na siebie, jak dwie istoty, które spotkawszy się choćby na gościńcu na stepie, czują, że się wybrały od razu i których dusze zaczynają zaraz lecieć wzajemnie ku sobie, jak dwa gołębie.

Aż tę chwilę zachwytu przerwał im ostry głos kniahini Konstantowej, wołający na kniaziównę. Wozy nadeszły. Karałasze poczęli przenosić na nie pakunki z kolaski i za chwilę wszystko było gotowe.

Pan Rozwan Ursu, grzeczny bojar, ustąpił obydwom niewiastom własnej kolaski — namiestnik siadł na koń, ruszono w drogę.

Dzień też miał się już ku spoczynkowi. Rozlane wody Kahamliku świeciły złotem od zachodzącego słońca i purpury zorzy. Wysoko na niebie ułożyły się stada lekkich chmur, które, czerwieniejąc, stopniowo zsuwały się zwolna ku krańcom widnokregu, jakby zmęczone lataniem po niebie, szły spać gdzieś do nieznannej koleby. Pan Skrzetuski jechał po stronie kniaziówny, ale nie zabawiał jej rozmową, bo tak z nią mówić, jak przed chwilą, przy obcych nie mógł, a blahe słowa nie chciały mu się przez usta przecisnąć. W sercu tylko czuł błogość, a w głowie szumiało mu coś, jak wino.

Cała karawana poruszała się rażno naprzód, a ciszę przerywało tylko parskanie koni, lub brzęk strzemienia o strzemię. Potem karałasze poczęli na tylnych wozach smutną pieśń wołoską, wkrótce jednak ustali,

a natomiast rozległ się nosowy głos pana Longina, śpiewającego pobożnie: „Jam sprawiła na niebie, aby wschodziła światłość nieustająca i jako mgła—pokryłam wszystką ziemię.“ Tymczasem zciemniało. Gwiazdki zamigotały na niebie, a z wilgotnych łąk wstały białe tumany, jako morza bez końca.

Wjechali w las, ale zaledwie ujechali kilka staj, gdy dał się słyszeć tętent koni i pięciu jeźdźców ukazało się przed karawaną. Byli to młodzi kniaziowie, którzy, zawiadomieni przez woźnicę o wypadku, jaki spotkał matkę, śpieszyli na jej spotkanie, prowadząc z sobą wóz zaprzężony w cztery konie.

— Czy to wy, synkowie?—wołała stara kniahini. Jeźdźcy przybliżyli się do wozów.

— My, matko!

— Bywajcie! Dzięki tym oto ichmościom, nie potrzebuję już pomocy. To moi synkowie, których polecam łasce MM. panów: Symeon, Jur, Andrzej i Mikołaj—a to kto piąty?—rzekła, przypatrując się pilnie—hej! jeśli stare oczy widzą po ciemku, to Bohun—co?

Kniaziowna cofnęła się nagle w głąb kolaski.

— Czołem wam, kniahini, i wam, kniaziowno Heleno!—rzekł piąty jeździec.

— Bohun!—mówiła stara.—Od pułku przybyłeś, sokole? A z teorbanem? Witaj-że, witaj! Hej, synkowie! Prosiłam już I. M. panów na nocleg do Rozłogów, a teraz wy im się pokłońcie! Gość w dom, Bóg w dom! Bądźcież ichmościowie na nasz dom łaskawi.

Bułyhowie uchyliłi czapek.

— Prosimy pokornie waszmościów w nízkie progi.

— Już mi też obiecali, i jego wysokość pan poseł, i Imć pan namiestnik. Zacznych kawalerów będziemy przyjmować, tylko że przywykłym do specyałów na dworach, nie wiem, czyli będzie smakowała nasza uboga pasza.

— Na żołnierskim my chlebie, nie na dworskim chowani—rzekł pan Skrzetuski.

A Pan Rozwan Ursu dodał:

— Próbowałem ja już gościnnego chleba w szlacheckich domach i wiem, że i dworski mu nie wyrówna.

Wozy ruszyły naprzód, a stara kniahini mówiła dalej:

— Dawno to, dawno już minęły lepsze dla nas czasy. Na Wołyniu i na Litwie są jeszcze Kurcewicze, którzy poczty trzymają i wcale po pańsku żyją, ale ci biedniejszych krewnych znać nie chcą, za co niech ich Bóg skarże. U nas prawie kozacza bieda, którą nam waszmościowie musicie wybaczyć i szczerem sercem przyjąć to, co szczerze ofiarujemy. Ja i pięciu synów siedzimy na jednej wiosce i kilkunastu slobodach, a z nami i ta jeszcze jejmościanka na opiece.

Namiestnika zdziwiły te słowa, gdyż słyszał w Łubniach, że Rozłogi były niemałą fortuną szlachecką, a powtóre, że należały ongi do kniazia Wasila, ojca Heleny. Nie zdało mu się jednak rzeczą stosowną pytać, jakim sposobem przeszły w ręce Konstantyna i jego wdowy.

— To jejmość pani pięciu masz synów? — zagadnął pan Rozwan Ursu.

— Miałam pięciu, jak lwów—rzecze kniahini—ale najstarszemu Wasilowi poganie w Białogrodzie oczy wykapali pochodniami, od czego mu też i rozum się

nadwerezyl. Gdy mlodzi pojda na wyprawe, ja sama w domu zostaje, z nim tylko i z jejmościanka, z ktora wieksza bieda, niz pociecha.

Pogardliwy ton, z jakim stara kniahini mowila o swej synowicy, tak byl widoczny, ze nie uszedl uwagi porucznika. Pierś mu zawrzala gniewem i o malo nie zaklal szpetnie, ale slowa zamarly mu na ustach, gdy spojrzawszy na kniazionne, ujrzal przy swietle księżyca oczy jej zalane łzami...

— Co waćpannie jest? czego płaczesz? — spytał z cicha.

Kniazionna milczala.

— Ja nie moge znieśc lez waćpanny—mówił pan Skrzetuski, i pochylił się ku niej, a widząc, ze stara kniahini rozprawia z p. Rozwanem Ursu i nie patrzy w tę stronę, nalegal dalej: — Na Boga, przemów choć słowo, bo Bóg widzi, ze i krew i zdrowiebył oddal, byle ciebie pocieszyć.

Nagle uczul, ze jeden z jeźdźców napiera go tak silnie, ze aż konie poczynają się trzeć bokami.

Rozmowa z kniazionną byla przerwana, więc pan Skrzetuski zdziwiony, ale i rozgniewany, zwrócił się ku śmiałkowi.

Przy swietle księżyca ujrzal dwoje oczu, które patrzyły na niego zuchwale, wyzywajaco i szyderczo zarazem.

Straszne te oczy świeciły, jak ślepie wilka w ciemnym borze.

— Co u kaduka—pomyślał namiestnik—biesz czy co? — i z kolei zajrzawszy zblizka w te palajace źrönice, spytał:

— A czego to waść tak koniem najjeżdżasz i oczyma we mnie wiercisz?

Jeździec nie odpowiedział nic, ale patrzył wciąż równie uporczywie i zuchwale.

— Jeślić ciemno, to mogę ognia skrzesać, a jeślić gościniec zaciasny, to hajda w step, — rzekł już podniesionym głosem namiestnik.

— A ty odlitaj, laszku, od kolaski, koły step baczysz—odparł jeździec.

Namiestnik, jako był człowiek do czynu skory, zamiast odpowiedzieć, uderzył tak silnie nogą w brzuch konia napastnika, że rumak jęknął i w jednym szczipaku znalazł się na samym brzegu gościńca.

Jeździec osadził go na miejscu i przez chwilę zdawało się, że pragnie rzucić się na namiestnika, ale wtem zabrzmiał ostry, rozkazujący głos starej kniahini.

— Bohun, szczo z toboju!

Słowa te miały natychmiastowy skutek. Jeździec zwrócił konia młyńcem i przejechał na drugą stronę kolaski do kniahini, która mówiła dalej:

— Szczo z toboju? Ej, ty nie w Perejasławiu, ani w Krymie, ale w Rozłogach—bacz na to. A teraz skocz mi naprzód i prowadź wozy, bo jar zaraz a w jarze ciemno. Hodi Siromacha!

Pan Skrzetuski równie był zdziwiony, jak rozgniewany. Ten Bohun, widocznie szukał okazji, i byłby ją znalazł; ale dla czego szukał? z kąd ta niespodziewana napaść?

Przez głowę namiestnika przeleciała myśl, że tu kniaziówna wchodziła do gry, i utwierdził się w tej myśli, gdy spojrzawszy na twarz jej, ujrzał mimo mro-

ków nocnych, że twarz ta była blada i że widocznie malowało się na niej przerażenie.

Tymczasem Bohun ruszył z kopyta naprzód, wedle rozkazu kniahini, która spoglądając za nim, rzekła w pół do siebie, w pół do namiestnika:

— To szalona głowa i bies kozaczy.

— Widać nie spełna rozumu - odpowiedział pogardliwie p. Skrzetuski.— Czy to kozak w służbie synów imé pani?

Stara kniahini rzuciła się w tył kolaski:

— Co waćpan mówisz, to jest Bohun podpułkownik, przesławny junak, synom moim druh, a mnie jak szósty syn przybrany. Nie może też to być, abyś waszmość o nazwisku jego nie słyszał, bo wszyscy o nim wiedzą.

I rzeczywiście panu Skrzetuskiemu dobrze było znane to nazwisko. Z pośród imion różnych pułkowników i atamanów kozackich, wypłynęło ono na wierzch i było na wszystkich ustach, po obu stronach Dniepru. Ślepcy śpiewali o Bohunie pieśni po jarmarkach i karczmach, na wieczornicach opowiadano dziwy o młodym watażce. Kto on był, z kąd się wziął, nikt nie wiedział. To pewna, że kolebką były mu stepy, Dniepr, Porohy i Czertomelik ze swoim labiryntem cieśnin, zatok, kolbani, wysp, skał, jarów i oczeretów. Od wyrostka żył się i zespolił z tym dzikim światem.

Czasu pokoju chodził z innymi „za rybą i zwierzem,” tłukł się po zakrętach dniewprowych, brodził po bagniskach i oczeretach wraz z gromadą półmagich towarzyszy — to znów całe miesiące spędzał w głębinach leśnych. Szkołą były mu wycieczki na Dzikie pola po trzody i tabuny tatarskie, zasadzki, bitwy, wypra-

wy przeciw brzegowym ulusom, do Białogrodu, na Wołoszczyznę, lub czajkami na Czarne morze. Innych dni nie znał, jak na koniu, innych nocy, jak przy ognisku na stepie. Wcześniej stał się ulubieńcem całego Niżu, wcześniej zaczął sam wodzić innych; i wkrótce odwagą wszystkich przewyższył. Gotów był w sto koni iść choćby do Baczyseraju i samemu chanowi zaświecić w oczy pożoga; palił ulusy i miasteczka, wycinał w pień mieszkańców, schwytyanych murzów rozdzierał końmi, spadał jak burza, przechodził jak śmierć. Na morzu rzucał się jak wściekły na galery tureckie. Zapuszczał się w środek Budziaku, wlaził, jak mówiono, w paszczkę lwa. Niektóre jego wyprawy były wprost szalone. Mniej odważni, mniej ryzykowni, konali na palach w Stambule, lub gnili przy wiosłach na tureckich galerach—on zawsze wychodził zdrowo i z łupem obfitym. Mówiono, że zebrał skarby ogromne i że trzyma je ukryte po dniewowych komyszach, ale też nieraz go widziano, jak deptał zabłoconemi nogami po złotogłowiach i lamach, koniom słał kobierce pod kopyta, albo jak ubrany w adamaszki kapał się w dziegiu, umyślnie kozaczą pogardę dla onych wspaniałych tkanin i ubiorów okazując. Miejsca długo nigdzie nie zagrzał. Czynami jego powodowała fantazya. Czasem, przybywszy do Czehryna, Czerkas lub Perejasławia, hulał na śmierć z innymi zaporozcami, czasem żył jak mnich, do ludzi nie gadał, w stepy uciekał. To znów otaczał się ślepcami, których grania i pieśni po całych dniach słuchał, a samych złotem obrzucał. Między szlachtą umiał być dwornym kawalerem, między kozakami najdzikszym kozakiem, między rycerzami rycerzem, między łupieżcami łupieżcą. Niektórzy mieli go



za szalonego, bo też i była to dusza nieokiełznana i rozszalała. Dlaczego na świecie żył, czego chciał, dokąd dążył, komu służył — sam nie wiedział. Służył stepom, wichrom, wojnie, miłości i własnej fantazyi. Ta właśnie fantazyja wyróżniała go od innych watażków grubijanów i od całej rzeszy rozbójniczej, która tylko grabież miała na celu i której zajęto było grabić tatarów, czy swoich. Bohun brał łup, ale wołał wojnę od zdobyczy, kochał się w niebezpieczeństwach dla własnego ich uroku; złotem za pieśni płacił, za sławą gonił, o resztę nie dbał.

Ze wszystkich watażków, on jeden najlepiej uosabiał kozaka-rycerza, dlatego też pieśń wybrała go sobie na kochanka, a imię jego rozstawiło się na całej Ukrainie.

W ostatnich czasach został podpułkownikiem perejasławskim, ale pułkownikowską władzę sprawował, bo stary Łoboda słabo już trzymał buławę krzepnącą dłonią.

Pan Skrzetuski dobrze tedy wiedział, kto był Bohun, a jeśli pytał starej kniahini, czy to kozak w służbie jej synów, to czynił to przez umyślną pogardę, bo przeczuł w nim wroga, a mimo całej sławy watażki, wzburzyła się krew w namiestniku, że kozak poczynał sobie z nim tak zuchwale.

Domyślał się też, że skoro się zaczęło, to się na hyle czem nie skończy. Ale cięty to był jak osa człowiek pan Skrzetuski, dufny aż nadto w siebie i również nie cofający się przed niczem, a na niebezpieczeństwa chciwy prawie. Gotów był choćby i zaraz wypuścić konia za Bohunem, ale jechał przy boku kniaziówny. Zresztą wozy minęły już jar i zdała ukazały się światła w Rozłogach.

## ROZDZIAŁ IV.

Kurcewicze Bułyhowie, był to stary książęcy ród, który się Kurczem pieczętował, od Koryata wywodził, a podobno istotnie szedł od Ruryka. Z dwóch głównych linii, jedna siedziała na Litwie, druga na Wołyniu, a na Zadnieprze przeniósł się dopiero książę Wasil, jeden z licznych potomków linii wołyńskiej, który ubogim będąc, nie chciał wśród możliwych krewnych zostawać i wszedł na służbę księcia Michała Wiśniowieckiego, ojca przesławnego „Jaremy.“

Okrywszy się sławą w tej służbie i znaczne posługi rycerskie księciu oddawszy, otrzymał od tegoż w dziedzictwie Krasne Rozłogi, które potem dla wielkiej mnogości wilków, Wilczemi Rozłogami przezwano, i stale w nich osiadł. W roku 1629, przeszedłszy na obrządek łaćwiński, ożenił się z Rahozianką, panną z zacnego domu szlacheckiego, który się z Wołoszczyzny wywodził. Z małżeństwa tego w rok później przysła na świat córka Helena; matka umarła przy jej urodzeniu, książę Wasil zaś, nie myśląc już o powtórnym ożenku, oddał się całkiem gospodarstwu i wychowaniu jedynaczki. Był to człowiek wielkiego charakteru i niepospolitej cnoty. Dorobiwszy się dość szybko średniej fortuny,

pomyślał zaraz o starszym swym bracie Konstantynie, który na Wołyniu w biedzie został i odepchnięty od możnej rodziny, zmuszony był chodzić po dzierzawach. Tego wraz z żoną i pięcioma synami do Rozłogów sprowadził i każdym kawałkiem chleba się z nimi dzielił. W ten sposób obaj Kurcewicze żyli w spokoju aż do końca 1634 roku, w którym Wasil z królem Władysławem pod Smoleńsk ruszył. Tam-to zaszedł ów nieszczęsny wypadek, który zgubę jego spowodował. W obozie królewskim przejęto list pisany do Szehina, podpisany nazwiskiem kniazia i przypieczętowany Kurczem. Tak jawny dowód zdrady ze strony rycerza, który aż dotąd nieskazitelnej sławy używał, zdumiał i przeraził wszystkich. Napróżno Wasil świadczył się Bogiem, że ni ręka, ni podpis na liście nie są jego— herb Kurcz na pieczęci usuwał wszelkie wątpliwości, w zgubienie zaś sygnetu, czem się kniaź tłumaczył, nikt wierzyć nie chciał — i ostatecznie nieszczęśliwy kniaź, pro crimine perduelionis, skazany na utratę cześci i gardła, musiał się ucieczką salwować. Przybywszy nocą do Rozłogów, zaklął brata Konstantyna na wszystkie świętości, by jak ojciec opiekował się jego córką— i odjechał na zawsze. Mówiono, że raz jeszcze z Baru pisał list do księcia Jeremiego z prośbą, by nie odejmował kawałka chleba Helenie i spokojnie ją w Rozłogach na opiece Konstantyna zostawił — potem głos o nim zaginął. Były wieści, że zmarł zaraz, to że przysłał do cesarskich i zginął na wojnie w Niemczech, ale któż mógł co wiedzieć na pewno? Musiał zginąć, skoro się więcej o córkę nie pytał. Wkrótce przestano o nim mówić, a przypomniano go sobie dopiero, gdy wyszła na jaw jego niewinność. Niejaki Kupcewicz,

witebszczanin, umierając zeznał, jako on pisał pod Smoleńskiem list do Szehina i znalezionym w obozie sygnetem go przypieczętował. Wobec takiego świadectwa, żalność i konsternacya ogarnęły wszystkie serca. Wyrok został zmienionym, imię księcia Wasila do sławy przywrócone, ale dla niego samego nagroda za mękę przyszła zapóźno. Co do Rozłogów, to Jeremi nie myślał ich zagarniać, bo Wiśniowieccy, znając lepiej Wasila, nigdy o jego winie nie byli zupełnie przekonani. Mógłby on był nawet zostać i drwić z wyroku pod ich potężną opieką, i jeżeli uszedł, to dla tego, że niesławny znieść nie umiał.

Helena chowała się więc spokojnie w Rozłogach, pod czułą opieką stryja—i dopiero po jego śmierci zaczęły się dla niej ciężkie czasy. Żona Konstantyna, z rodziny wątpliwego pochodzenia, była to kobieta surowa, popędliwa, a energiczna, którą mąż jeden utrzymać w ryzie umiał. Po jego śmierci, zagarnęła w żelazne ręce rządy w Rozłogach. Służba drżała przed nią — dworzyszczowi bali się jej, jak ognia, sąsiadom dała się wkrótce we znaki. W trzecim roku swych rządów, po dwakroć zbrojno najeżdżała Siwińskich w Browarkach, sama przebrana po mężku, konno przewodząc czeladzi i najętym kozakom. Gdy raz pułki księcia Jeremiego pogromiły watahę tatarów, swawolącą koło Siedmiu mogił, kniahini na czele swoich ludzi zniosła ze szczętem kupę niedobitków, która się aż pod Rozłogi zapędziła. W Rozłogach też usadowiła się na dobre i poczęła je uważać za swoją i swoich synów własność. Synów tych kochała, jak wilczyca młode, ale sama będąc prostaczką, nie pomyślała o przystojnem dla nich wychowaniu. Mnich greckiego obrząd-

ku, sprowadzony z Kijowa, wyuczył ich czytać i pisać—na czem też skończyła się edukacya. A przecie niedaleko były Łubnie, a w nich dwór książęcy, na którymby młodzi kniaziowie mogli nabrać poloru, wyćwiczyć się w kancelaryi, w sprawach publicznych, lub, zaciągnąwszy się pod chorągwie, w szkole rycerskiej. Kniahini miała wszelako swoje powody, dla których nie oddawała ich do Łubniów.

Anużby książę Jeremi przypomniał sobie, czyje są Rozłogi i wejrzał w opiekę nad Heleną, albo sam dla pamięci Wasila tę opiekę chciał sprawować? Przyszłoby chyba wówczas wynosić się z Rozłogów—wolała więc kiahini, by w Łubniach zapomniano, że jacy Kurcewicze żyją na świecie. Ale też zato młodzi kniaziowie hodowali się wpół-dziko i więcej po kozacku, niż po szlachecku. Pacholętami jeszcze będąc, brali udział w poswarkach starej kniahini, w zajazdach na Siwińskich, w wyprawach na kupy tatarskie. Czując wrodzony wstręt do książek i pisma, po całych dniach strzelali z łuków, lub wprawiali ręce we władanie kiścieniami, szablą, w rzucanie arkanów. Nie zajmowali się nawet i gospodarstwem, bo go nie puszczała z rąk matka. I żal było patrzeć na tych potomków znakomitego rodu, w których żyłach płynęła krew książęca, ale których obyczaje były surowe i grube, a umysły i zatwardziałe serca przypominały step nieuprawny. Tymczasem wyrastali, jak dęby; wiedząc wszelako to do siebie, iż są prostakami, wstydzili się żyć ze szlachtą, a natomiast milszem im było towarzystwo dzikich watażków kozackich. Wcześniej też weszli w komitywę z Niżem, gdzie ich za towarzyszków uważano. Czasem po pół roku siedzieli na Sicz; chodzili na „przemysł“

z kozakami, brali udział w wyprawach na turków i tatarów, które w końcu stały się głównem i ulubionem ich zajęciem. Matka nie sprzeciwiała się temu, bo często przywozili zdobycz obfitą. Wszelako na jednej z takich wypraw, najstarszy Wasil dostał się w ręce pogańskie. Bracia przy pomocy Bohuna i jego zaporozców odbili go wprawdzie, ale z wykapanemi oczami. Od tej pory ten w domu siedzieć musiał; jako dawniej był najdzikszy, tak potem złagodniał bardzo i w rozmyślaniach a nabożeństwie się zatopił. Młodzi prowadzili dalej wojenne rzemiosło, które wkońcu przydomek kniaziów-kozaków im zjednało. Dość też było spojrzeć na Rozłogi-Siromachy, by odgadnąć, jacy w nich ludzie mieszkają. Gdy poseł i pan Skrzetuski zajechali przez bramę ze swemi wozami, ujrzeni nie dwór, ale raczej obszerną szopę, z ogromnych bierwion dębowych zbitą, z wązkiemi, podobnemi do strzelnic oknami. Mieszkania dla czeladzi i kozaków, stajnie, śpichlerze i lamusy przytykały do tego dworu bezpośrednio, tworząc budowę nieforemną, z wielu to wyższych, to niższych części złożoną, na zewnątrz tak ubogą i prostacką, że gdyby nie światła w oknach, trudnoby ją za mieszkanie ludzi poczytać. Na majdanie przed domem widać było dwa żorawie studienne, bliżej bramy słup z kołem na szczycie, na którym siadywał niedźwiedź chowany. Brama potężna, z takichże bierwion dębowych, dawała przejście na majdan, który cały był otoczony rowem i palisadą.

Widocznie było to miejsce obronne, przeciw napadom i zajazdom zabezpieczone. We wszystkim też przypominało kresową pałankę kozacką, a lubo większość siedzib szlacheckich na kresach takiego, a nie

innego była pokroju, ta przecie bardziej jeszcze od innych wyglądała na jakieś drapieżne gniazdo. Czeladź, która naprzeciw gości wyszła z pochodniami, podobniejsza była do zbójów, niż do ludzi służbowych. Wielkie psy na majdanie targwały za łańcuchy, jakby chciały się urwać i rzucić na przybyłych, ze stajen dobywało się rzenie koni; młodzi Bułyhowie wraz z matką poczeli wołać na służbę, rozkazywać i przeklinać. Wśród takiego harmideru, goście weszli do środka domu, ale tu dopiero pan Rozwan Ursu, który widząc poprzednio dzikość i mizeryą siedliska, prawie żałował, iż się dał zaprosić na nocleg, zdumiał prawdziwie na widok tego, co ujrzały jego oczy. Wnętrze domu zgoła nie odpowiadało jego lichym zewnętrznym pozorom. Najprzód weszli do obszernej sieni, której ściany całkiem prawie pokryte były zbroją, orężem i skórami dzikich zwierząt.

W dwóch ogromnych grubach paliły się kłody drzewa, a przy jasnym ich blasku widać było bogate rzędy końskie, błyszczące pancerze, karaceny tureckie, na których tu i owdzie świeciły drogie kamienie, druciane koszulki ze złoconemi guzami na śpięciach, półpancerze, nabrzuszniki, ryugrafy, stalowe harnasze wielkiej ceny, hełmy polskie i tureckie, oraz misiurki z wierzchami od srebra. Na przeciwległej ścianie wisiały tarcze, których już nie używano w wieku ówczesnym, obok nich kopie polskie i dziryty wschodnie, siecznego oręża też dosyć, od szabli aż do gindżałów i jataganów, których głównie migotały różnemi kolorami, jak gwiazdki w blasku ognia. Po kątach zwieszały się wiązki skór lisich, wilczych, niedźwiedziich, kunich i gronostajowych—owoc myśliwstwa kniaziów.

Niżej, wzdłuż ścian, drzemały na obręczach jastrzębie, sokoly i wielkie berkuty, sprowadzane z dalekich stepów wschodnich, a używane do pościgu wilków.

Z sieni owej goście przeszli do wielkiej gościnnej komnaty. I tu na kominie z okapem palił się rześisty ogień. W komnacie tej większy był jeszcze przepych, niż w sieni. Gołe belki w ścianach pookrywane były makatami, na podłodze rozścielały się przepyszne wschodnie kobierce. W pośrodku stał długi stół na krzyżowych nogach, sklecony z prostych desek, na nim zaś roztruchany całe złożone lub rznęte ze szkła weneckiego. Pod ścianami mniejsze stoły, komody i półki, na nich sepety, puzdra nabijane bronzem, mosiężne świeczniki i zegary zrabowane czasu swego przez Turków wenecyanom, a przez Kozaków Turkom. Cała komnata założona była mnóstwem przedmiotów zbytkownych, częstokroć niewiadomego dla gospodarzy użycia. Wszędzie przepych mieszał się z największą stepową prostotą. Cenne komody tureckie nabijane bronzem, hebanem, perłową macią, stały obok nieheblowanych pólek, proste drewniane krzesła obok miękkich sof, krytych kobicami. Poduszki, leżące modą wschodnią na sofach, miały pokrowce z altembasu lub bławatów, ale rzadko były wypchane kwapiem, częściej sianem lub grochowinami. Kosztowne tkaniny i zbytkowne przedmioty, było to tak zwane „dobro” tureckie, tatarskie, częścią kupione za byle co od Kozaków, częścią zdobyte na licznych wojnach jeszcze przez starego kniazia Wasila, częścią w czasie wypraw z niżowcami przez młodych Bułhów, którzy woleli puszczać się czajkami na Czarne morze, niż żenić się, lub gospodarstwa pilnować. Wszystko to nie dziwiło



zgoła pana Skrzetuskiego, znającego dobrze domy kresowe, ale bojar wołoski zdumiewał się, widząc wśród tego przepychu Kurcewiczów ubranych w jałowicze buty i w kozuchy niewiele lepsze od tych, jakie nosiła służba; dziwił się również i pan Longin Podbięta, przywykły na Litwie do innych porządków.

Tymczasem młodzi kniaziowie podejmowali gości szczerze i z wielką ochotą, lubo mało otarci w świecie, czynili to manierą tak niezgrabną, iż namiestnik zaledwo mógł uśmiech powściągnąć.

Starszy Simeon mówił:

— Radziśmy waszmościom i wdzięczni za łaskę. Dom nasz—dom wasz—tak też i bądźcie, jak u siebie. Kłaniamy panom dobrodziejstwu w niskich progach.

I lubo nie znać było w tonie jego mowy żadnej pokory, ani rozumienia, jakoby przyjmował wyższych od siebie, przecież kłaniał im się obyczajem kozackim w pas, a za nim kłaniali się i młodszy bracia, sądząc, że tego gościnność wymaga, i mówiąc:

— Czołem waszmościom, czołem!...

Tymczasem kniahini, szarpnąwszy Bohuna za rękaw, wyprowadziła go do innej komnaty.

— Słysz, Bohun—rzekła pośpiesznie—nie mam czasu długo gadać. Widziałam, że ty tego młodego szlachcica na ząb wziął i zaczepki z nim szukasz?

— Maty — odpowiedział kozak, całując starą w rękę.—Świat szeroki, jemu inna droga, mnie inna. Ani ja go znał, ni o nim słyszał, ale niech mi się nie pochyla do kniaziówny, bo jakem żyw, szablą w oczy zaświecę.

— Hej, oszalał, oszalał! A gdzie głowa, kozacze? Co się z tobą dzieje? Czy ty chcesz zgubić nas i siebie?

To jest żołnierz Wiśniowieckiego i namiestnik, człowiek znaczny, bo od księcia do chana posłował. Niech mu włos z głowy spadnie pod naszym dachem, wiesz co będzie? Oto wojewoda obróci oczy na Rozłogi, jego pomści, nas wygna na cztery wiatry, a Helenę do Łubniów zabierze—i co wówczas? Czy i z nim zadrzesz? czy na Łubnie napadniesz? Spróbuj, jeśli chcesz pała posmakować, kozacze zatracony!... Chyla się szlachcic do dziewczyny, nie chyla, ale jak przyjechał, pojedzie i będzie spokoj. Hamuj-że ty się, a nie chcesz, to ruszaj zkaś przybył, bo nam tu nieszczęścia naprowadzisz!

Kozak gryzł was, sapał, ale zrozumiał, że kniahini ma słusność.

— Oni jutro odjadą, matko—rzekł—a ja się pohamuję, niech jedno czarnobrewa nie wychodzi do nich.

— A tobie co? Żeby myśleli, że ją więzę. Otóż wyjdzie, bo ja tego chcę. Ty mi tu w domu nie przewódź, boś nie gospodarz.

— Nie gniewajcie się, kniahini. Skoro inaczej nie można, to będę im jako tureckie bakalie słodki. Zębem nie zgrzytnę, do głowni nie sięgnę, choćby mnie gniew i pożarł, choćby dusza jęczeć miała. Niechże będzie wasza wola.

— A to tak gadaj, sokole, teorban weź, zagraj, zaśpiewaj, to ci i na duszy lżej się zrobi. A teraz chodź do gości.

Wrócili do gościnnej komnaty, w której kniazio-  
wie, nie wiedząc jak gości bawić, wciąż ich zapraszali, by byli sobie radzi, i kłaniali im się w pas. Tu zaraz pan Skrzetuki spojrział ostro a dumnie w oczy Bohu-  
nowi, ale nie znalazł w nich zaczepki, ni wyzwania.

Twarz młodego watażki jaśniała uprzejmą wesołością, tak dobrze symulowaną, że mogłaby omylić najwprawniejsze oko. Namiestnik przyglądał mu się bacznie, gdyż poprzednio w ciemności nie mógł dojrzeć jego rysów. Teraz ujrzał mołojca smukłego, jak topola, z obliczem smagłym, zdobnem w bujny czarny wąs, zwieszający się ku dołowi. Wesołość na tej twarzy przebijiała przez ukraińską zadumę, jako słońce przez mgłę. Czoło miał watażka wysokie, na które spadała czarna czupryna, w postaci grzywki, ułożonej w pojedyncze kosmyki, obcięte w równe ząbki nad silną brwią. Nos orli, rozdęte nozdrza i białe zęby, połyskujące przy każdym uśmiechu, nadawały tej twarzy wyraz trochę drapieźny, ale w ogóle był to typ piękności ukraińskiej, bujnej, barwnej i zawadyackiej. Nad podziw świetny ubiór wyróżniał także stepowego mołojca od przybranych w kozuchy kniaziów. Bohun miał na sobie żupan z cienkiej lamy srebrnej i czerwony kontusz, którą-to barwę nosili wszyscy kozacy perejasławscy. Biodra otaczał mu pas krepowy, od którego bogata szabla zwieszała się na jedwabnych rapciach; ale i szabla i ubiór gasły przy bogactwie tureckiego gindżału, zatkniętego za pas, którego głownia tak była nasadzona kamieniami, że aż skry sypały się od niej. Tak przybranego każdyby snadnie poczytał raczej za jakie paniątko wysokiego rodu, niż za kozaka, zwłaszcza że i jego swoboda, jego wielkopańskie maniere nie zdradzały niskiego pochodzenia. Zbliżywszy się do pana Longina, wysłuchał historyi o przodku Stowejce i o ścięciu trzech krzyżaków, a potem zwrócił się do namiestnika i jak gdyby nie pomiędzy nimi nie zaśzło, spytał z całą swobodą:

— Wasza mość, słyszę, z Krymu powracasz?

— Z Krymu—odparł sucho namiestnik.

— Byłem tam i ja, a chociażem się po Bachezysaraju nie zapędzał, przecie mniemam, że i tam będą, jeśli się one pomysłne wieści sprawdzą.

— O jakich wieściach waść mówisz?

— Są głosy, że jeśli król miłościwy wojnę z turczynem zacznie, to księżę wojewoda Krym ogniem i mieczem nawiedzi, od których wieści wielka jest radość na całej Ukrainie i na Niżu, bo jeśli pod takim wodzem nie pohulamy w Bachezysaraju, tedy pod żadnym.

— Pohulamy, jak Bóg w niebie!—ozwali się Kurcewicze.

Porucznika ujął respekt, z jakim watażka odzywał się o księciu, przeto uśmiechnął się i rzekł łagodniejszym już tonem:

— Waści, widzę, nie dość wypraw z niżowcami, które cię przecie sławą okryły.

— Mała wojna, mała sława; wielka wojna, wielka sława. Konaszewicz Sahajdaczny nie na czajkach, ale pod Chocimem jej nabył.

W tej chwili drzwi się otworzyły i do komnaty wszedł zwolna Wasil, najstarszy z Kurcewiczów, prowadzony za rękę przez Helenę. Był to człowiek dojrzałych lat, wybladły i wychudły, z twarzą ascetyczną i smętną, przypominającą bizantyjskie obrazy świętych. Długie włosy, posiwiałe przedwcześnie od nieszczęść i bólu, spadały mu aż na ramiona, a zamiast oczu miał dwie czerwone jamy, w rękę trzymał krzyż mosiężny, którym począł żegnać komnatę i wszystkich obecnych.

— W imię Boga i Ojca, w imię Spasa i Świętej Przczystej—mówił—jeśli apostołami jesteście i dobre

nowiny niesiecie, witajcie w progach chrześcijańskich.  
Amen!

— Wybaczcie waszmościowie — mruknęła knia-  
hini—on ma rozum pomieszany.

Wasil zaś zęgał wciąż krzyżem i mówił dalej:

— Jako stoi w „Biesiadach apostołskich:” „kto-  
rzy przeleją krew za wiarę, zbawieni będą; którzy po-  
legną dla dóbr ziemskich, dla zysku lub zdobyczy—  
mają być potępieni...” Módlmy się! gorze wam, bracia!  
gorze mnie, bośmy dla zdobyczy wojnę czynili! Boże,  
bądź miłościw nam grzesznym! Boże, bądź miłościw...  
A wy, mężowie, którzy przybyliście zdaleka, jakie no-  
winy niesiecie? jesteście apostołami?

Umilkł i zdawał się czekać na odpowiedź, więc  
namiestnik odpowiedział po chwili:

— Daleko nam od tak wysokiej szarży. Żołnier-  
zami tylko jesteśmy, gotowymi poledz za wiarę.

— Tedy będziecie zbawieni — rzekł ślepy — ale  
dla nas nie nadeszła jeszcze godzina wyzwolenia...  
Gorze wam, bracia! gorze mnie!

Ostatnie słowa wymówił prawie jęcząc i taka  
niezmierna rozpacz malowała się na jego twarzy, że  
goście nie wiedzieli, co mają począć. Tymczasem He-  
lena posadziła go na krzesle, sama zaś wybiegłszy do  
sieni, wróciła po chwili z lutnią w rękę.

Ciche dźwięki ozwały się w komnacie, a do wtóru  
im kniaziówna zaczęła śpiewać pieśń pobożną:

I w noc i we dnie wołam do cię, Panie!

Pofolguj męce i łzom żałośliwym.

Bądź mnie grzesznemu ojcem miłościwym,

Usłysz wołanie.

Niewidomy przechylił w tył głowę i słuchał słów  
pieśni, które zdawały się działać, jak balsam kojący,

bo z twarzy znikaly mu stopniowo ból i przerażenie; nakoniec głowa spadła mu na piersi i tak pozostał jakby w półśnie, półodrętwieniu.

— Byle nie przerywać śpiewania, już on się całkiem uspokoi—rzekła z cicha kniahini.—Widzicie waszmościowie, waryacya jego polega na tem, że ciągle czeka apostołów i byle kto do domu przyjechał, zaraz wychodzi pytać, czy nie apostołowie..

Tymczasem Helena śpiewała dalej:

Wskaż-że mi drogę, o Panie nad Pany,  
Bom jako pątnik na pustyń bezdrożu,  
Lub jak wśród fali na niezmiernem morzu  
Korab zbłąkany.

Słodki głos jej brzmiał coraz silniej i z tą lutnią w ręku, z oczyma wzniesionemi do góry, była tak cudna, że namiestnik oczu nie mógł od niej oderwać. Zapatrzył się w nią, utonął w niej—o świecie zapomniał.

Z zachwytu rozbudziły go dopiero słowa starej kniahini:

— Dosyc tego! Już on się teraz nieprędko rozbudzi. A tymczasem proszę ichmościów na wieczerzę.

— Prosimy na chleb i sól!—ozwali się za matką młodzi Bułyhowie.

Pan Rozwan, jako kawaler wielkich manier, podał ramię kniahini, co widząc, pan Skrzetuski sunął zaraz do kniaziowny Heleny. Serce zmiękło w nim jak wosk, gdy czuł jej rękę na swojej, z oczu aż skry poszły—i rzekł:

— Snać już chyba i anieli w niebie cudniej nie śpiewają od waćpanny.

— Grzeszysz, rycerzu, przyrównywając moje śpiewanie do anielskiego—odpowiedziała Helena.

— Nie wiem, czy grzeszę, ale to pewno, że chętnie dałbym sobie oczy wykapać, byle twego śpiewania do śmierci słuchać. Ale cóż mówię! Ślepym będąc, nie mógłbym ciebie widzieć, co również byłoby męką nieznośną.

— Nie mów tego waszmość, gdyż wyjechawszy ztąd jutro, jutro zapomnisz.

— O, nie stanie się to, gdyż takem się w waćpannie rozkochał, iż po wiek żywota mego innego afektu znać nie chcę, a tego nigdy nie zapomnę.

Na to szkarłatny rumieniec oblał twarz kniaziówny, pierś poczęła falować mocniej. Chciała odpowiedzieć, ale tylko wargi jej drżały—więc pan Skrzetuski mówił dalej:

— Waćpanna raczej zapomnisz o mnie przy owym kraśnym watażce, który twemu śpiewaniu na bałabajce przygrywać będzie.

— Nigdy, nigdy! — szepnęła dziewczyna. — Ale waćpan się jego strzeż, to straszny człowiek.

— Co mi tam jeden kozak znaczy, a choćby też i cała Sicz z nim trzymała, jam się dla ciebie na wszystko ważyć gotowy. Tyś mi jest właśnie jako klejnot bez ceny, tyś mój świat, jeno niech wiem, żeś mi jest wzajemną.

Ciche „tak” zadźwięczało jak rajska muzyka w uszach pana Skrzetuskiego i zaraz wydało mu się, że w nim przynajmniej dziesięć serc bije; w oczach mu pojaśniało wszystko, jakoby promienie słoneczne na świat padły; uczuł w sobie jakieś moce nieznanne, jakieś skrzydła u ramion, Przy wieczerzy mignęła mu kilkakroć twarz Bohuna, która była zmieniona bardzo i blada, ale namiestnik, mając wzajemność Heleny,

nie dbał o tego współzawodnika. „Jechał go sęk! — myślał sobie — niechże mi w drogę nie włązi, bo go zetrę.“ Zresztą myśli jego szły w inną stronę.

Czuł oto, że Helena siedzi przy nim tak blisko, iż prawie ramieniem dotyka jej ramienia, widział rumieńce nieschodzące z jej twarzy, od których bił żar, widział pierś falującą i oczy, to skromnie spuszczone i rzęsami nakryte, to błyszczące, jak dwie gwiazdy. Bo też Helena, choć zahukana przez Kurcewiczową, choć żyjąca w sieroctwie, smutku i obawie, była przecie ukrainką o krwi ognistej. Gdy tylko padły na nią ciepłe promienie miłości, zaraz zakwitła jak róża i do nowego, nieznanego rozbudziła się życia. W jej twarzy zabłysło szczęście, odwaga, a te porywy, walcząc ze wstydem dziewiczym, umalowały jej policzki w śliczne kolory różane. Więc pan Skrzetuski mało ze skóry nie wyskoczył. Pił na umór, ale miód nie działał na niego, bo już był pijany miłością. Nie widział nikogo więcej przy stole, tylko swoją dziewczynę. Nie widział, że Bohun bladł coraz bardziej i coraz macał głowni swego gindzału; nie słyszał, jak pan Longin opowiadał po raz trzeci o przodku Stowejce, a Kurcewicz o swoich wyprawach po „dobro tureckie.“ Pili wszyscy prócz Bohuna, a najlepszy przykład dawała stara kniahini, wnosząc kusztyki, to za zdrowie gości, to za zdrowie miłościwego księcia pana, to wreszcie hospodara Lupuła. Była też mowa o ślepym Wasilu, o jego dawniejszych przewagach rycerskich, o nieszczęsnej wyprawie i terażniejszej waryacyi, którą najstarszy Simeon tak tłumaczył:

— Zważcie waszmościowie, iż gdy najmniejsze źdźbło w oku patrzeć przeszkadza, jakże tedy znaczne



kawały smoły, dostawszy się do rozumu, nie miały go o pomieszenie przyprawić?

— Bardzo to jest delikatne instrumentum—zauważył na to pan Longin.

Wtem stara kniahini spostrzegła zmienioną twarz Bohuna.

— Co tobie, sokole?

— Dusza boli, maty—rzekł posepnie—ale kozacze słowo nie dym, więc zdzierzę.

— Terpy, synku, mohorycz bude.

Wieczera była skończona—ale miodu dolewano ciągle do kuszyków. Przyszli też kozaczkowie wezwani do tańcowania na tem większą ochotę. Zadzźwięczały bałabajki i bębenek, przy których odgłosach zaspane pacholeta musiały płaszać. Później i młodzie Bułyhowie poszli w prysiuady. Stara kniahini, wzięwszy się pod boki, poczęła dreptać w miejscu, a podrygiwać, a podśpiewywać, co widząc, pan Skrzetuski sunął z Heleną do tańca. Gdy ją objął rękoma, zdało mu się, iż kawał nieba przyciska do piersi. W zawrotach tańca długie jej warkocze omotały mu szyję, jakby dziewczyna chciała go przywiązać do siebie na zawsze. Nie wytrzymał tedy szlachcic, ale gdy rozumiał, że nikt nie patrzy, pochylił się i z całej mocy pocałował jej słodkie usta.

Późno w noc znalazłszy się sam na sam z panem Longinem w izbie, w której posłano im do spania, poręcznik, zamiast iść spać, siadł na tapczanie i rzekł:

— Z innym to już człowiekiem jutro waćpan do Łubniów pojedziesz!

Podbipięta, który właśnie ukończył pacierze, otworzył szeroko oczy i spytał:

— Tak bo cóż? czy waszmość tu zostaniesz?

— Nie ja zostanę, ale serce zostanie, a jedno *dulcis recordatio* ze mną pojedzie. Widzisz mnie waćpan w wielkiej alteracyi, gdyż od żądz tkliwych ledwie że tchu oribus mogę złapać.

— To waćpan zakochał się w kniaziównie?

— Nieinaczej, jako żyw tu przed waćpanem siedzę. Sen ucieka mnie od powiek i jeno do wzdychania mam ochotę, od którego chyba cały w parę się rozplynę — co waćpanu powiadam dlatego, że mając serce czule i afektów głodne, snadnie mękę moję zrozumiesz.

Pan Longin sam wzdychać począł, na znak, że męczarnie miłości rozumie, po chwili zaś spytał żałośnie:

— A może waćpan takż czystość ślubował?

— Pytanie waćcine jest nie do rzeczy, bo gdyby wszyscy podobne śluby czynili, tedyby *genus humanum* zginać musiał.

Wejście sługi przerwało dalszą rozmowę. Był to stary tatar, o bystrych czarnych oczach i pomarszczonej, jak suszone jabłko twarzy. Wszedłszy, rzucił znaczące spojrzenie na Skrzetuskiego i spytał:

— A czy nie trzeba czego waszmościom? może miodu po kusztyczku do poduszki?

— Nie trzeba.

Tatar zbliżył się do Skrzetuskiego i mruknął:

— Mam dla W. Pana słówko od panny.

— Bądź-że mi Pandarem!—zawołał radośnie namiestnik. — Możesz też mówić przy tym kawalerze, bom się przed nim spuścił z sekretu.

Tatar wydobyl z za rękawa kawałek wstążki:

— Panna przysłała W. panu tę szarfę i to ka-  
zała powiedzieć, że miłuje go z całej duszy.

Porucznik porwał szarfę i począł ją z uniesie-  
niem całować i do piersi przyciskać, a dopiero ochło-  
nawszy nieco spytał:

— Co ci zleciła powiedzieć?

— Że miłuje waszmość pana z całej duszy.

— Naści-że talera za musztuluk. Rzekła tedy,  
że mię miłuje?

— Tak jest!

— Naści-że jeszcze talera. Niechże ją Bóg bło-  
gosławi, boć i ona mi najmiłsza. Powiedzże jej... albo  
czekaj: sam do niej pisać będę; przynieś mi jeno in-  
kaustu, piór i papieru.

— Czego?—spytał tatar.

— Inkaustu, piór i papieru.

— Tego u nas w domu niema. Za kniazia Wa-  
sila było—i potem, jak się młodzi kniazio wie pisać od  
czerńca uczyli—ale to już dawno.

Pan Skrzetuski klasnął palcami.

— Mości Podbipięto, nie masz wasze inkaustu  
i piór?

Litwin rozłożył ręce i wzniosł oczy do góry.

— Tfy do licha! — rzecze porucznik—otom jest  
w kłopotcie!

Tymczasem tatar usiadł w kuczki przed ogniem.

— POCO pisać—rzekł, grzebiąc w węglach.—Panna  
spać poszła. A co masz wasza miłość jej napisać, to  
jutro powiedzieć można.

— Kiedy tak, to co innego. Wiernyś, jak wi-  
dzieć, sługa kniazio wny. Naści-że trzeciego talera.—Da-  
wno służysz?

— Ho! ho! czternaście lat temu, jako mnie książę Wasil w jassyr wziął — i od tej pory służyłem mu wiernie, a gdy onej nocy odjeżdżał na przepadłe imię, to dziecko Konstantynu zostawił, a do mnie rzekł: Czechły! i ty nie odstąpisz dziewczyny i będziesz jej strzegł, jak oka w głowie. Łacha il Ała!

— Tak też i czynisz?

— Tak też i czynię, i patrzę.

— Mów, co widzisz? jak tu kniaziównie?

— Źle tu myślą o niej, bo ją chcą dać Bohunowi, który jest pies potępiony.

— O! nie będzie z tego nic! znajdzie się komu za nią ująć!

— Tak!—rzekł stary, potrząsając palące się głownie.—Oni ją chcą dać Bohunowi, by ją wziął i poniół, jako wilk jagnię, a ich w Rozłogach zostawił—bo Rozłogi jej, nie ich, po kniaziu Wasilu. On też, Bohun, to uczynić gotów, bo po komyszach więcej ma złota i srebra, niżeli piasku w Rozłogach, ale ona ma go w nienawiści od pory, jak przy niej człowieka czekaniem rozszczępił. Krew padła między nich i nienawiść wyrosła. Bóg jest jeden!

Namiestnik tej nocy usnąć nie mógł. Chodził po izbie, patrzył w księżyc i w myśli różne ważył postanowienia. Zrozumiał teraz grę Bułhów. Gdyby kniaziównę szlachcic jaki okoliczny pojął, toby się upomniał o Rozłogi i miałby słuszność, bo się jej należały; a może zażądałby jeszcze rachunków z opieki. Dla tej-to przyczyny, i tak już skozaczeni Bułhowie postanowili dać dziewczynę kozakowi. O czem myśląc, pan Skrzetuski pięście ścisnął i miecza szukał wedle siebie. Postanowił więc rozbić te machinacye i czuł

się na siłach to uczynić. Przecie opieka nad Heleną należała i do księcia Jeremiego, raz że Rozłogi były puszczone od Wiśniowieckich staremu Wasilowi, powtóre, że sam Wasil z Baru pisał list do księcia, prosząc o opiekę. Tylko nawał spraw publicznych, wojny i wielkie przedsięwzięcia mogły sprawić, że wojewoda dotąd w opiekę nie wejrzał. Ale dość będzie słowem mu przypomnieć, a sprawiedliwość uczyni.

Szaro już robiło się na świecie, gdy pan Skrzetuski rzucił się na posłanie. Spał twardo i nazajutrz zbudził się z gotowem postanowieniem. Ubrali się tedy z panem Longinem śpiesznie, ile że i wozy stały już w gotowości, a żołnierze pana Skrzetuskiego siedzieli na koniach gotowi do odjazdu. W gościnnej izbie poseł pokrzepiał się polewką w towarzystwie Kurcewiczów i starej kniahini; Bohuna tylko nie było; nie wiadomo: spał jeszcze czy odjechał.

Posiliwszy się, Skrzetuski rzekł:

— Mościa pani! Tempus fugit, za chwilę na koń nam siadać trzeba, nim więc podziękujemy wdzięcznem sercem za gościnę, mam ja tu ważną sprawę, o którejbym chciał z jejmością panią i z ichmością jej synami kilka słów na osobności pomówić.

Na twarzy kniahini odmalowało się zdziwienie; spojrziała na synów, na posła i pana Longina, jakby pragnąc z ich twarzy odgadnąć o co idzie, i z pewnym niepokojem w głosie rzekła:

— Służę waszmości.

Posel chciał wstawać, ale mu nie dozwoliła, natomiast przeszli do owej sieni, pokrytej zbroją i orężem. Młodzi kniaziowie ustawili się szeregiem za matką, która, stanawszy naprzeciw Skrzetuskiego, spytała:

— O jakiejże sprawie waćpan chcesz mówić?

Namiestnik utkwiał w niej wzrok bystry, surowy prawie i rzekł:

— Wybacz jejmość i wy, młodzi kniaziowie, że przeciw zwyczajowi postępując, zamiast przez zacnych posłów mówić, sam w sprawie mej rzecznikiem będę. Ale nie może być inaczej, a gdy z musem nikt walczyć nie zdoła, przeto bez dłuższego kunktatorstwa, przedstawiam jejmość pani i ichmościom, jako opiekunom, moją pokorną prośbę, byście mi księżniczkę Helenę za żonę oddać raczyli.

Gdyby w tej chwili, w czasie zimy, piorun runął na majdan w Rozłogach, mniejszeby sprawił wrażenie na kniahini i jej synach, niż owe słowa namiestnika. Przez chwilę spoglądali ze zdumieniem na mówiącego, który stał przed nimi wyprostowany, spokojny i dziwnie dumny, jakby nie prosić, ale rozkazywać zamierzał, i nie umieli znaleźć słowa odpowiedzi — a natomiast kniahini pytać zaczęła:

— Jakto? waść? o Helenę?

— Ja, mościa pani—i to jest niewzruszony mój zamiar.

Nastała chwila milczenia.

— Czekam odpowiedzi imość pani.

— Wybacz waćpan — odrzekła, ochłonawszy, kniahini, a głos jej stał się suchy i ostry — zaszczyt to dla nas niemały, prośba takiego kawalera, ale nie może z niej nie być, gdyż Helenę obiecałam już komu innemu.

— Zważ wszelako waćpani, jako troskliwa opiekunka, czy to nie było przeciw woli kniaziówny i czym nie lepszy niżli ten, komu ją waćpani obiecałaś.

— Mości panie! Kto lepszy, mnie sądzić. Możesz być i najlepszy, wszystko nam jedno, bo cię nie znamy.

Na to namiestnik wyprostował się jeszcze dumniej, a spojrzenia jego stały się jako noże ostre, choć zimne.

— Ale ja was znam, zdrajcy— huknął.— Chcecie krewniaczkę chłopu oddać, byle was tylko w zagarniętej nieprawnie włóci zostawił...

— Sam zdrajco! — krzyknęła kniahini.— Tak-to za gościnę płacisz, taką-to wdzięczność w sercu żywiesz? O zmijo! Coś za jeden? zkądeś się wziął?

Młodzi Kurcewicze poczęli w palce trzaskać i po ścianach za bronią się oglądać, namiestnik zaś wołał:

— Poganie! zagarnęliście włóć sierocą, ale nie z tego. Za dzień, książę już o tem wiedzieć będzie.

Usłyszawszy to, kniahini rzuciła się w tył izby i chwyciwszy rohatynę, szła z nią do namiestnika. Kniazio wie też, porwawszy co który mógł, ten szablę, ten kiścień, ten nóż, otoczyli go półkolem, dysząc jak stado wilków wściekłych.

— Do księcia pójdiesz? — wołała kniahini — a wieszli, czy żyw ztąd wyjdiesz? czy to nie ostatnia twoja godzina?

Skrzetuski skrzyżował ręce na piersiach i okiem nie mrugnął.

— Jako książęcy poseł z Krymu wracam— rzekł— niech tu jedną kroplę krwi uronię, a w trzy dni i popiołu z tego miejsca nie zostanie, wy zaś pognijecie w lochach lubniańskich. Jest-li na świecie moc, coby was uchronić zdołała? Nie groźcie, bo was się nie boję!

— Zginiemy, ale ty pierwiej zginiiesz.

— Tedy uderzaj—oto pierś moja.

Kniaziowie, z matką na czele, trzymali wciąż ostrza skierowane ku piersi namiestnika, ale rzekłbyś, jakieś niewidzialne łańcuchy skrepowały im ręce. Sapiać i zgrzytając zębami, szarpali się w bezsilnej wściekłości—wszelako nie uderzał żaden. Ubezwładniło ich straszliwe imię Wiśniowieckiego.

Namiestnik był panem położenia.

Bezsilny gniew kniahini wylał się tylko potokiem obelg:

— Przechero! szaraku! hołyszcu! kniaziowej krwi ci się zachciało — ale nic z tego! Każdemu oddamy, byle nie tobie, czego nam i sam książę nakazać nie jest w stanie.

Na to pan Skrzetuski:

— Nie pora mi się z mego szlachectwa wywozić, ale tak myślę, że wasze księstwo mogłoby snadnie za niem mieczyk i tarczę nosić. Zresztą, skoro chłop był wam dobry, to jam lepszy. Co do fortuny mojej, i ta wejść może z waszą w paragon, a że mówicie, iż mnie Heleny nie dacie, to słuchajcie co powiem: i ja ostawię was przy Rozłogach, rachunku z opieki nie żądając.

— Nie darowywuj tego, co nie twoje.

— Nie darowuję, jeno obietnicę na przyszłość daję i rycerskiem słowem ją poręczam. Tedy wybierajcie: albo rachunki księciu z opieki złożyć i z Rozłogów ustąpić, albowi mnie dziewczkę oddać a włość zatrzymać...

Rohatyna wysuwała się zwolna z rąk kniahini. Po chwili upadła z brzękiem na podłogę.



— Wybierajcie—powtórzył pan Skrzetuski—aut pacem, aut bellum!

— Szczęście to — rzekła już łagodniej Kurcewiczowa—że Bohun z sokoły pojechał, nie chcąc na waszmości patrzeć, bo on już wczora podejrzewał. Inaczej nie byłoby tu bez krwi rozlania.

— Mościa pani, i ja szablę nie poto noszę, by mi pas obciagała.

— Uważ jednak waszmość, czy to politycznie ze strony takiego kawalera, wszedłszy po dobremu w dom, tak na ludzi nastawać i dziewczkę impetem brać, tak właśnie, jakby z niewoli tureckiej?

— Godzi się, gdy po niewoli miała być chłopu zaprzędana.

— Tego waść o Bohunie nie mów, bo on choć rodziców nieświadom, przecie wojownik jest zawołany i rycerz sławny, a nam od dziecka znajomy, w domu jakoby krewny. Któremu za jedno, czyby mu tę dziewczkę odjąć, czyby go nożem pchnąć.

— Mościa pani, a mnie czas w drogę, wybaczenie więc, że raz jeszcze powtórzę: wybierajcie!

Kniahini zwróciła się do synów:

— A co, synkowie, mówicie na tak pokorną prośbę tego kawalera?

Bułyhowie spoglądali po sobie, trącali się łokciami i milczeli.

— Nakoniec Symeon mruknął:

— Każesz bić, maty, to będziem — każesz dać dziewczkę, to damy.

— Bić źle i dać źle.

Potem zwracając się do Skrzetuskiego:

— Przycisnąłeś nas waść tak do ściany, że choć łopnąć. Bohun jest człowiek szalony, gotów się ważyć na wszystko. Kto nas przed jego zemstą osłoni? Sam zginie od księcia, ale nas pierwej zgubi. Co nam począć?

— Wasza głowa.

Kniahini milczała przez chwilę:

— Słuchajże, mości kawalerze. Musi to wszystko w tajemnicy zostać. Bohuna wyprawim do Perejasławia, sami z Heleną do Łubniów zjedziem, a waść uprosisz księcia, by nam przydyum do Rozłogów przysłał. Bohun ma w pobliżu półtorasta semenów, z których część tu jest. Nie możesz Heleny zaraz brać, bo ją odbije. Inaczej to nie może być. Jedź-że więc, nikomu sekretu nie powiadając, i czekaj nas.

— Byście mnie zdradzili?

— Byśmy tylko mogli!—ale nie mogę, sam to widzisz. Daj słowo, że sekret do czasu utrzymasz!

— Daję—a wy dajecie dziewczkę?

— Bo nie możemy nie dać—choć nam Bohuna żal...

— Tfy! tfy! mości panowie—rzekł nagle namiestnik, zwracając się do kniaziów — czterech was jak dębów i jednego kozaka się bojąc, zdradą go brać chcecie. Chociem wam winien dziękować, jednakże powiem: nie przystoi to zacnej szlachcie!

— Waść się w to nie mieszaj—zakrzyknęła kniahini.—Nie twoja to rzecz. Co nam począć? Ilu waść masz żołnierzów na jego półtorasta semenów? Osłonisz-że nas? osłonisz-że samą Helenę, którą on gwałtem porwać gotów? To nie waścina rzecz. Jedź-że sobie do Łubniów, a co my poczniemy, to nam wiecieć, byleśmy Helenę ci przywieźli.

— Czyńcie co chcecie: jedno wam tylko jeszcze powiem. Gdyby się tu krzywda kniaziównie działa—tedy biada wam!

— Nie poczynaj-że sobie tak z nami, byś nas do desperacyi nie przywiódł.

— Boście jej gwałt uczynić chcieli, a i teraz, sprzedając ją za Rozłogi, do głowy wam nie przyszło pytać: zali będzie jej po myśli moja persona?

— Zaczem spytamy jej w obec ciebie — rzekła kniahini, tłumiąc gniew, który na nowo poczynął wrzeć w jej piersi, czuła bowiem doskonale pogardę w słowach namiestnika. Symeon poszedł po Helenę i po chwili ukazał się wraz z nią w sieni.

Wśród tych gniewów i groźb, które zdawały się huczeć jeszcze w powietrzu, jak odgłosy przemijającej nawałnicy; wśród tych zmarszczonych brwi, srogich spojrzeń i surowych twarzy, jej śliczne oblicze zablęzło, jakoby słońce po burzy.

— Mościa panno!—rzekła ponuro kniahini, ukazując na Skrzetuskiego—jeśli masz wolę po temu, to jest twój przysły mąż.

Helena zbladła, jak ściana, i krzyknąwszy, zakryła oczy rękoma, a potem nagle wyciągnęła je ku Skrzetuskiemu.

— Prawdali to? — szeptała w upojeniu.

---

W godzinę później, orszak posła i namiestnikowy posuwał się zwolna leśnym gościńcem, w stronę Łubniów. Skrzetuski z panem Longinem Podbipiętą jechali na czele—za nimi wozy poselskie wyciągnęły się długim pasem. Namiestnik cały był pogrążony w za-

dumie i tęsknocie, gdy wtem z owej zadumy zbudziły go urwane słowa pieśni...

„Tuż, tuż, serce bołyt”...

W głębi lasu, na wązkiej, wyjeżdżonej przez chłopów drożynie, ukazał się Bohun. Koń jego całym był pokryty pianą i błotem.

Widocznie kozak, wedle swego obyczaju, puścił się był na stopy i na lasy, by się wiatrem spić, zgubić w dali i zapamiętać, i to, co duszę bolało—przeboleć.

Teraz wracał właśnie do Rozłogów.

Patrząc na tę przepyszną, isticie rycerską postać, która mignęła tylko i znikła, pan Skrzetuski mimowoli pomyślał sobie, a nawet mruknął pod nosem:

— Wszelako to szczęście, że on człowieka przy niej rozszczepił.

Nagle jakiś żal ścisnął mu serce. Żal mu było jakoby i Bohuna, ale więcej jeszcze tego, że związawszy się słowem kniahini, nie mógł, ot teraz, popędzić za nim konia i rzec:

— Kochamy jedną, więc jednemu z nas nie żyć na świecie. Dobądź, kozacze, szerpetyny!

---

## ROZDZIAŁ V.

Przybywszy do Łubniów, nie zastał pan Skrzetuski w domu księcia, który był do pana Suffczyńskiego, dawniejszego swego dworzanina, do Sieńczy na chrzciny pojechał, a z nim księżna, dwie panny Zbaraskie i wiele osób ze dworu. Dano tedy znać do Sieńczy i o powrocie z Krymu namiestnika, i o przybyciu posła, tymczasem znajomi i towarzysze witali radośnie po długiej podróży Skrzetuskiego, a zwłaszcza pan Wołodyjowski, który po ostatnim pojedynku był najbliższym naszymu namiestnikowi przyjacielem. Odznaczał się ten kawaler tem, iż ustawicznie był zakochany. Przekonawszy się o nieszczerości Anusi Borzobohatej, zwrócił był czule serce ku Anieli Leńskiej, pannie również z francymery, a gdy i ta, przed miesiącem właśnie, zaślubiła pana Staniszewskiego, wówczas Wołodyjowski dla pociechy jął wdychać do starszej księżniczki Zbaraskiej Anny, synowicy księcia Wiśniowieckiego.

Wszelako sam rozumiał, iż podniósłszy tak wysoko oczy, nie mógł choćby najmniejszą pokrzepić się nadzieją, tembardziej, że i po księżniczkę zgłosili się już dziewosłębowie, pan Bodzyński i pan Lassota,

wimieniu pana Przyjemskiego, wojewodzica Łęczyckiego. Opowiadał więc nieszczęsny Wołodyjowski te nowe strapienia naszemu namiestnikowi, wcielając go we wszystkie sprawy i tajemnice dworskie, których ten półuchem słuchał, mając umysł i serce czem innym zajęte. Gdyby nie owe duszne niepokoje, które z miłością, choćby wzajemną, zawsze w parze chodzić zwykły, byłby się czuł pan Skrzetuski szczęśliwym, wróciwszy po długiej nieobecności do Łubniów, gdzie otoczyły go twarze życzliwe i ów gwar życia żołnierskiego, z którym oddawna był zżyły. Albowiem Łubnie, jakkolwiek jako zamczysta rezydencya pańska, mogły pod względem wspaniałości równać się ze wszystkimi siedzibami „królewiat,” tem się wszelako od nich różniły, iż życie w nich było surowe, prawdziwie obozowe. Kto nie znał tamtejszych zwyczajów i ordynku, ten, przyjechawszy choćby w porze najspokojniejszej, mógł sądzić, że się tam jaka wyprawa wojenna gotuje. Żołnierz przeważał tam nad dworzaniem, żelazo nad złotem, dźwięk trąb obozowych nad gwarem uczt i zabaw. Wszędy panował wzorowy ład i nieznaną gdzieindziej dyscyplina; wszędy roilo się od rycerstwa z pod różnych chorągwi: pancernych, dragańskich, kozackich, tatarskich i wołoskich, pod któremi służyło, nietylko całe Zadnieprze, ale ochocza szlachta ze wszystkich okolic Rzplitej. Kto się chciał w prawdziwej rycerskiej szkole wyćwiczyć, ten ciągnął do Łubniów; nie brakło więc tam, obok rusinów, ani mazurów, ani litwy. ani małopolan, ba. nawet i prusaków. Piesze regimenta i artylerya, czyli tak zwany „lud ognisty,” złożone były przeważnie z wyborowych niemców, najętych za żółd wysoki—

w draganach służyli głównie miejscowi—litwa w tatarskich chorągwiach, małopolanie garnęli się najchętniej pod znaki pancerne. Książę nie pozwalał też gnuśnieć rycerstwu, dlatego w obozie panował ruch ustawiczny. Jedne pułki wychodziły na zmianę do stanic i polanek, inne wchodziły do stolicy — po całych dniach odbywały się musztry i ćwiczenia. Czasem też chociaż i spokojnie było od tatar, książę przedsiębrał dalekie wyprawy w głucho stepy i pustynie, by żołnierzy do pochodów przyuczyć, dotrzeć tam, gdzie nikt nie dotarł i roznieść sławę swego imienia. Tak zeszłej jesieni zapuścił się lewym brzegiem Dniepru do Kudaku, gdzie go pan Grodzicki, trzymający przydyum, jako monarchę udzielnego przyjmował; potem pociągnął obok Porohów aż do Chortycy, i na uroczyszczu Kuczkasów kazał mogiłę wielką z kamieniami usypać, na pamiątkę i na znak, że tamtą stroną żaden jeszcze pan nie był tak daleko <sup>1)</sup>).

Pan Bogusław Maszkiewicz, żołnierz dobry, choć młody, a zarazem człowiek uczony, który tę wyprawę, również jak inne pochody książęce opisał, cuda o niej opowiadał Skrzetuskiemu, co pan Wołodyjowski zaraz potwierdzał, gdyż i on brał udział w wyprawie. Widzieli tedy Porohy i dziwili im się, a zwłaszcza strasznemu Nienasytcowi, który rokrocznie, jak ongi Scylla i Charybda, po kilkadziesiąt ludzi pożerał. Potem puścili się na wschód, na spalone stepy, gdzie od niedogarków jazda postępować nie mogła i aż mu-

---

<sup>1)</sup> Są to słowa Maszkiewicza, który mógł nie wiedzieć o bytności Samuela Zborowskiego na Siczy.

siali koniom nogi skórąmi obwijać. Spotkali tam mnóstwo gadzin, padalców i olbrzymie węże położy, na dziesięć łokci długie, a grube, jak ramię męża. Po drodze na samotnych dębach ryli *pro aeterna rei memoria* herby książęce, nakoniec zaszli w tak głuche stępy, gdzie już i śladów człowieka nie było można dopatrzeć.

— Myślałem—mówił uczony pan Maszkiewicz— że nam w końcu na wzór Ulissesa i do Chada zstąpić przyjdzie.

Na to pan Wołodyjowski:

— Przysięgali też ludzie z pod chorągwi pana strażnika Zamoyskiego, która szła na przodku, jako już widzieli owe fines, na których orbis terrarum się kończy.

Namiestnik opowiadał wzajemnie towarzyszom o Krymie, gdzie prawie pół roku spędził, czekając na respons chana jegomości; o tamtejszych miastach, pozostawionych z dawnych czasów, o tatarach i o potędze ich wojennej, a nakoniec o postrachu, w jakim żyli, usłyszawszy o walnej na Krym wyprawie, w której wszystkie siły Rzeczypospolitej miały wziąć udział.

Tak gwarząc co wieczór, oczekiwali powrotu księcia - tymczasem namiestnik przedstawiał co bliższym towarzyszom pana Longina Podbipiętę, który, jako człek słodki, odrazu pozyskał serca, a okazawszy przy próbach z mieczem nadludzką swą siłę, powszechny sobie zjednywał szacunek. Opowiedział on już temu i owemu o przodku Stowejce i o ściętych trzech głowach, zamilczał tylko o swoim ślubie, nie chcąc się na żarty narażać. Szczególniej podobali się sobie z Wołodyjowskim, a to dla zobopólnej serc czułości; po kilku też dniach chodzili razem wzdychać na wały, jeden



do gwiazdki zawysoko świecącej, by ją mógł dostać, alias do księżniczki Anny—drugi do nieznaney, od której go trzy ślubowane głowy oddzielały.

Ciągnął nawet Wołodyjowski pana Longina do draganów, ale litwin postanowił sobie koniecznie zapisać się pod znak pancerny, by pod Skrzetuskim służyć, o którym z rozkoszą dowiedział się w Łubniach, że wszyscy mają go za rycerza pierwszej wody i jednego z najlepszych oficerów książęcych. A właśnie w chorągwi, w której pan Skrzetuski porucznikował, otwierał się wakans po panu Zakrzewskim, przewiśkiem „miserere mei,” który od dwóch tygodni obłożnie chorował i był bez nadziei życia, bo mu się wszystkie rany od wilgoci pootwierały. Do trosk miłosnych namiestnika dołączył się jeszcze i smutek z grożącej straty starego towarzysza i doświadczonego przyjaciela; nie odstępował też po kilka godzin dziennie ani piędy od jego wezglowia, pocieszając go jak umiał i krzepiąc nadzieją, że jeszcze niejedną wyprawę razem odbędą.

Ale starzec nie potrzebował pociechy. Konał sobie wesoło na twardem łożu rycerskim, obciągniętem końską skórą, i z uśmiechem prawie dzieciennym spoglądał na krucyfiks zawieszony nad łożem. Skrzetuskiemu zaś odpowiadał:

— Miserere mei, mości poruczniku, już ja sobie idę po swoją lafę niebieską. Ciało na mnie takie od ran dziurawe, że o to się tylko boję, czy święty Piotr, który jest marszałkiem Bożym i ochędóstwa w niebie doglądać musi, puści mnie do rajy w tak podziurawionej sukni. Ale mu powiem: święty Pietruńku! zaklinam cię na ucho Malchusowe, nie czyńże mi wstrętu, boć to poganie tak mi popsowali szatki cielesne... miserere

mei! a będzie jaka wyprawa św. Michała na potencją piekielną, to się stary Zakrzewski przyda jeszcze.

Więc porucznik, choć jako żołnierz tyle razy śmierć oglądał i sam ją zadawał, nie mógł lez wstrzymać, słuchając tego starca, którego zgon do pogodnego zachodu słońca był podobny.

Aż jednego ranka zabrzmiały dzwony we wszystkich kościołach i cerkwiach lubniańskich, zwiastujące śmierć pana Zakrzewskiego. Tegoż dnia książe z Sieńczy przyjechał, a z nim panowie Bodzyński i Lassota, oraz cały dwór i dużo szlachty w kilkudziesięciu kolaskach, bo zjazd u p. Suffczyńskiego był niezmierny. Książe wyprawił wspaniały pogrzeb, chcąc uczcić zasługi zmarłego i okazać, jak się w ludziach rycerskich kocha. Asystowały więc w pochodzie żałobnym wszystkie regimenty stojące w Łubniach, na wałach bito z hakownic i rusznic. Kawalerya szła od zamku aż do kościoła farnego w mieście bojowym ordynkiem, ale ze zwiniętymi banderyami; za nią piesze regimenta z kolbami do góry. Sam książe, przybrany w żałobę, jechał za trumną w pozłocistej karecie, zaprzężonej w ośm białych jak mleko koni, mających grzywy i ogony pofarbowane na ponsowo i kiście strusich piór czarnej barwy na głowach. Przed kolaską postępował oddział janczarów, stanowiących przyboczną straż księżęcą, tuż za kolaską paziowie, przybrani z hiszpańska, na dzielnych koniach, dalej wysocy urzędnicy dworscy, dworzanie rękodajni, pokojowcy, nakoniec hajducy i pajucy. Kondukt zatrzymał się naprzód u drzwi kościoła, gdzie ksiądz Jaskólski powitał trumnę mową, poczynającą się od słów: „Gdzie tak śpieszysz, mości Zakrzewski?” Potem przemawiało jeszcze kilku z to-

warzystwa, a między nimi i pan Skrzetuski, jako zwierzchnik i przyjaciel zmarłego. Następnie wniesiono ciało do kościoła i tu dopiero zabrał głos najwymowniejszy z wymownych: ksiądz jezuita Muchowiecki, który mówił tak górnie i ozdobnie, że sam ksiązę zapłakał. Był to bowiem pan nadzwyczaj tkliwego serca i dla żołnierów ojciec prawdziwy. Dyscypliny przestrzegał żelaznej, ale pod względem hojności, łaskawego traktowania ludzi i opieki, jaką otaczał, nie tylko ich samych, ale ich dzieci i żony, nikt się z nim nie mógł porównać. Dla buntów straszny i niemiłosierny, był jednak prawdziwym dobrodziejem, nie tylko szlachty, ale i całego swego ludu. Gdy w czterdziestym szóstym roku szarańcza zniszczyła plony, to czynszownikom za cały rok czynsz odpuścił, poddanym kazał wydawać zboże ze śpiczlerzów, a po pożarze w Chorolu wszystkich mieszczan przez dwa miesiące swoim kosztem żywił. Dzierżawcy i podstarościowie w ekonomicach drżeli, by do uszu księcia wieść o jakowych nadużyciach lub krzywdach ludowi czynionych nie doszła. Sierotom taka była opieka zapewniona, że przezywano je na Zadnieprzu „książęciami detynami.” Czuwała nad tem sama księżna Gryzelda, przy pomocy ojca Muchowieckiego. Ład tedy panował we wszystkich ziemiach książęcych, dostatek, sprawiedliwość, spokój, ale i strach, bo w razie najmniejszego oporu nie znał ksiązę miary w gniewie i karaniu, tak w jego naturze łączyła się wspaniałomyślność ze srogością. Ale w owych czasach i w owych krainach tylko ta srogość pozwalała się krzewić i plenić ludzkiemu życiu i pracy, jej tylko dzięki powstawały miasta i wsie, rolnik wziął górę nad hajdamaką, kupiec spokojnie

towar swój prowadził, dzwony spokojnie wzywały wiernych na modlitwę, wróg nie śmiał granicy przestąpić, kupy łotrów ginęły na palach, lub zmieniały się w rządnych żołnierzy, a kraj pustyнный rozkwitał.

Dzikiej krainie i dzikim mieszkańcom takiej potrzeba było ręki, na Zadnieprze bowiem szły najniepokojniejsze z Ukrainy żywioły, ciągnęli osadnicy nęceni rolą i żyznością ziemi, zbiegli chłopci ze wszystkich ziem Rzeczypospolitej, przestępcy uciekający z więzień, słowem, jakoby rzekł Livius: „*pastorum convenarumque plebs transfuga ex suis populis.*” Utrzymać ich w ryzie, zmienić w spokojnych osadników i wtłoczyć w karby osiadłego życia, mógł tylko taki lew, na którego ryk drżało wszystko.

Pan Longinus Podbipięta, pierwszy raz w życiu księcia na pogrzebie ujrzawszy, własnym oczom uwierzyć nie mógł. Słyszając bowiem tyle o sławie jego, wyobrażał sobie, że musi to być jakiś olbrzym o głowę rodzaj ludzki przewyższający, a tymczasem książę był wzrostu prawie małego i dość szczupły. Młody był jeszcze, liczył dopiero trzydziesty szósty rok życia, ale na twarzy jego widne już były trudy wojenne. O ile bowiem w Łubniach żył jak król prawdziwy, o tyle w czasie licznych wypraw i pochodów dzielił niewczasami prostego towarzysza, jadał czarny chleb i sypiał na ziemi na wojułoku, a że większa część życia schodziła mu na pracach obozowych, więc odbiły się one na jego twarzy. Wszelako oblicze to na pierwszy rzut oka zdradzało nadzwyczajnego człowieka. Malowała się w niem żelazna, nieugięta wola i majestat, przed którym każdy mimowoli musiał uchylić głowy. Widać było, że ten człowiek zna swoją potęgę

i wielkość—i gdyby mu jutro włożył koronę na głowę, nie czułby się ani zdziwionym, ani przygniecionym jej ciężarem. Oczy miał duże, spokojne, prawie słodkie, jednakże gromy zdawały się być w nich uspione i czuleś, że biada temu, kto by je rozbudził. Nikt też znieść nie mógł spokojnego blasku tego spojrzenia i widywano posłów, wytrawnych dworaków, którzy, stanawszy przed Jeremim, mieszały się i nie umieli zacząć dyskursu. Był to zresztą na swoim Zadnieprzu król prawdziwy. Z kancelaryi jego wychodziły przywileje i nadania: „My po bożej myłości kniaź i hospodyn” etc. Niewielu też i panów za równych sobie poczytywał. Kniaziowie z krwi dawnych władców bywali u niego marszałkami. Takim był w swoim czasie i ojciec Heleny, Wasil Bułyha Kurcewicz, który to ród przecie, jak się wyżej wspomniało, wyprowadzał się od Koryata, a w samej rzeczy od Ruryka pochodził.

Było w księciu Jeremim coś, co mimo wrodzonej mu łaskawości trzymało ludzi w oddaleniu. Kochając żołnierzy, on sam poufalił się z nimi — z nim nikt nie śmiał się poufalić. A jednakże rycerstwo, gdyby mu kazał konno w przepaście dniewrowe skoczyć, uczyniłoby to bez wahania.

Po matce wołoszce odziedziczył on cerę białą, tą białością rozpalonego żelaza, od której żar bije, i czarny jak skrzydło kruka włos, który na całej głowie podgolony, z przodu tylko spadał bujniej i obcięty nad brwiami, zasłaniał mu połowę czoła. Nosił się po polsku, o ubiór niezbyt dbał i tylko na wielkie uroczystości nakładał szaty kosztowne, ale wówczas świecił cały od złota i kamieni. Pan Longin w kilka dni później był obecny na takiej uroczystości, gdy

książę dawał posłuchanie p. Rozwanowi Ursu. Audyencye posłów odbywały się zawsze w sali tak zwanej niebieskiej, gdyż na jej suficie firmament niebieski, wraz z gwiazdami, pendzlem gdańszczanina Helma był wyobrażony. Zasiadał tedy książę pod baldachinem z aksamitu i gronostajów, na wyniosłym krześle, do tronu podobnym, którego podnózek był blachą pozłocistą obity, za księciem zaś stał ksiądz Muchowiecki, sekretarz, marszałek kniaz Woroniecz, pan Bugusław Maszkiewicz, dalej paziowie i dwunastu trabantów z halabardami, przybranych po hiszpańsku; głębie sali przepelnione były rycerstwem w świetnych strojach i ubiorach. Pan Rozwan prosił w imieniu hospodara, by książę swym wpływem i grozą imienia wyrobił u chana zakaz tatarom budziackim wpadania do Wołoszczyzny, w której corocznie straszliwe szkody i spustoszenia czynili, na co książę odpowiedział piękną łaciną, że Budziacy niebardzo samemu chanowi byli posłuszni, że jednakże, gdy na kwiecień spodziewa się Czausa Murzy, posła chanowego o siebie, będzie przez niego upominał się u chana o krzywdy wołoskie. Pan Skrzetuski poprzednio już zdał relacyą ze swego poselstwa i podróży, oraz ze wszystkiego, co słyszał o Chmielnickim i jego na Sicz ucieczce. Książę postanowił posunąć kilka pułków ku Kudakowi, ale nie przywiązywał wielkiej do tej sprawy wagi. Tak więc, gdy nie zdawało się zagrażać spokojowi i potędze zadnieprzańskiego państwa, rozpoczęły się w Łubniach uręczystości i zabawy, tak z powodu bytności posła Rozwana, jak i dlatego, że panowie Bodzyński i Lassota oświadczyli się wreszcie uroczyście, w imieniu wojewodzica Przyjemskiego, o rękę starszej księżniczki Anny, na którą prośbę

otrzymali i od księcia, i od księżnej Gryzeldy odpowiedź pomyślną.

Jeden tylko mały Wołodyjowski cierpiał nad tem niemało, a gdy Skrzetuski próbował wlać mu otuchę w serce, odpowiedział:

— Dobrze tobie, bo gdy jeno zechcesz, Anusia Borzobohata cię nie minie. Już tu ona o tobie bardzo wdzięcznie przez cały czas wspominała; rozumiałem z początku, iż w tej myśli, by zazdrość w Bychowcu *excitare*, ale widzę, że chciała go na hak przywieść i chyba dla ciebie jednego czulszy w sercu żywi sentyment.

— Co tam Anusia! Wróćże sobie do niej — *non prohibeo*. Ale o księżniczce Annie przestań myśleć, gdyż to jest to samo, jakbyś chciał feniksa czapką na gnieździe przykryć.

— Wiem ci to, że ona jest feniksem i dlatego z żalu po niej pewno mi umrzeć przyjdzie.

— Żyw będziesz i wraz się zakochasz, byle jeno nie w księżniczce Barbarze, bo ci ją drugi wojewodzie z przed nosa sprzątnie.

— Zali serce jest pachółkiem, któremu rozkazać można? czyli oczom zabronisz patrzeć na tak cudną istotę, jak księżniczka Barbara, której widok dzikie nawet bestye poruszyć byłby zdolny?

— Masz dyable kubrak! — wykrzyknął pan Skrzetuski. — Widzę, że się bez mojej pomocy pocieszysz, ale to powtarzam: wróć do Anusi, bo z mojej strony żadnych impedimentów mieć nie będziesz.

Anusia jednak ani myślała rzeczywiście o Wołodyjowskim. Natomiast drażniła ją, zaciekawiała i gniewała obojętność pana Skrzetuskiego, który, wróciwszy

po tak długiej nieobecności, prawie na nią nie spoj-  
rzał. Wieczorami tedy, gdy księżę z co przedniejszymi  
oficerami i dworzany przychodził do bawialnej komnaty  
księżnej, by zabawić się rozmową, Anusia, wyglądając  
z za pleców swej pani (bo księżna była wysoka a Anu-  
sia niska), świdrowała swemi czarnemi oczkami w twa-  
rzy namiestnika, chcąc mieć rozwiązanie tej zagadki.  
Ale oczy Skrzetuskiego, również jak myśl, błędziły  
gdzieindziej, a gdy wzrok jego padał na dziewczynę,  
to taki zamysłony i szklany, jak gdyby nie na tę pa-  
trzył, do której śpiewał niegdyś:

„Jak tatarska orda  
Bierzesz w jassy cordal“...

— Co mu się stało?—pytała sama siebie rozpie-  
szczona faworytka całego dworu i tupiąc drobną nóżką,  
czyniła postanowienie rzecz tę zbadać. Nie kochała się  
ona wprawdzie w Skrzetuskim, ale przyzwyczajwszy się  
do holdów, nie mogła znieść, by na nią nie zważano  
i gotowa była ze złości sama się rozkochać w zuchwalcu.

Razu tedy jednego, biegnąc z motkami dla księ-  
żnej, spotkała pana Skrzetuskiego, wychodzącego z przy-  
ległej sypialnej komnaty księżęcej. Naleciała na niego  
jak burza, prawie go potrąciła piersią i cofnąwszy się  
nagle, rzekła:

— Ach! jakem się przestraszyła! Dzień dobry  
waćpanu!

— Dzień dobry pannie Annie! Czyliż takowe  
monstrum ze mnie, bym aż miał pannę Annę przestraszać?

Dziewczyna stała ze spuszczonei oczkami, krę-  
cąc palcami niezajętej ręki końce warkoczów, przestę-  
pując z nóżki na nóżkę i, niby zmieszana, odpowie-  
działa z uśmiechem:



— E nie! to, to nie... wcale nie... jak matkę kocham!  
Nagle spojrziała na porucznika i znów zaraz spu-  
ściła oczy:

— Czy się waćpan gniewasz na mnie?

— Ja? Alboż panna Anna dba o mój gniew?

-- Co prawda, to nie. Miałabym też o co dbać.

Może waćpan myślisz, że zaraz będę płakała? Pan  
Bychowiec grzeczniejszy...

— Jeśli tak, to nie pozostaje mnie nic innego,  
jak ustąpiwszy pola panu Bychowcowi, zejść z oczu  
panny Anny.

— A czy ja trzymam?

To rzekłszy, Anusia zastąpiła mu drogę.

— To waćpan z Krymu powraca?—spytala.

— Z Krymu.

— A co waćpan z Krymu przywiózł?

— Przywiozłem pana Podbipiętę. Wszakże go  
panna Anna widziała? Bardzo to miły i stateczny ka-  
waler.

— Pewnie, że miłszy od waćpana. A poco on  
tu przyjechał?

— By panna Anna miała na kim swojej mocy  
popróbować. Aleć radzę ostro się brać, bo wiem je-  
den sekret o tym kawalerze, dla którego jest on nie-  
zwyciężony... I nawet panna Anna nic z nim nie wskóra.

— Dla czegoż to on jest niezwyciężony?

— Bo się nie może żenić.

— A co mnie to obchodzi! Czemuż to on nie  
może się żenić?

Skrzetuski pochylił się do ucha dziewczyny, ale  
rzekł bardzo głośno i dobitnie:

— Bo czystość ślubował.

— Niemądryś waćpan!—zawołała prędko Anusia i w tejże chwili furknęła, jak ptak spłoszony.

Tego wieczora jednak popatrzyła pierwszy raz uważniej na pana Longina. Gości dnia tego było nie mało, bo ksiązę wyprawiał pożegnalną ucztę dla pana Bodzyńskiego. Nasz litwin, przybrany starannie w biały atlasowy żupan i ciemno-niebieski aksamitny kontusz, wyglądał bardzo okazale, tembardziej, że przy boku, zamiast katowskiego zerwikaptura, zwieszała mu się lekka, krzywa szabla, w pozłocistej pochwie.

Oczka Anusi strzelały na pana Longina potrochu umyślnie, na złość panu Skrzetuskiemu. Byłby tego jednakże namiestnik nie zauważył, gdyby nie Wołodyjowski, który trąciwszy go łokciem, rzekł:

— Niechże mnie jassyry spotka, jeśli Anusia nie wdzięczy się do tej chmielowej tyczki litewskiej.

— Powiedz że to jemu samemu.

— Pewnie że powiem. Dobrana będzie z nich para.

— Będzie ją mógł nosić zamiast spinki u żupana, taka właśnie jest między nimi proporeya.

— Albo zamiast kitki na czapce.

Wołodyjowski podszedł do litwina:

— Mospanie—rzekł—niedawno jakieś tu przybył, ale frant widzę z waści nielada.

— A to czemu, brateńku dobrodzieju? a to czemu?

— Boś nam tu najgładszą dziewczkę z fraucymeru już zbałamucił.

— Dobrodzieju!—rzekł Podbipięta, składając ręce—co waćpan mówisz najlepszego?

— Spójrzyj waszmość na pannę Annę Borzobohatą, w której się tu wszyscy kochamy, jak to ona na

waści dziś oczkiem strzyże. Pilnuj się jeno, żeby z waści dudka nie wystrzygła, jako z nas powystrzygała.

To rzekłszy, Wołodyjowski zakręcił się na pięcie i odszedł, pozostawiając pana Longina w zdumieniu. Nie śmiał on nawet zrazu spojrzeć w stronę Anusi i po niejakiem dopiero czasie rzucił zniecka okiem—ale aż zadrżał. Z poza ramienia księżnej Gryzeldy dwoje jarzących ślepków patrzyło na niego istotnie z ciekawością i uporem. „Apage satanas!“ pomyślał litwin, i oblawszy się jak żaczek rumieńcem, uciekł w drugi kąć sali.

Jednakże pokusa była ciężka. Ten szatanek, wyglądający z za pleców księżnej, tyle miał ponęt, te oczki tak świeciły jasno, że pana Longina aż ciągnęło coś, by w nie choć jeszcze raz tylko spojrzeć. Ale wtem wspomniał na swój ślub, w oczach stanął mu Zerwikaptur, przodek Stowejko-Podbipięta, trzy ścięte głowy i strach go zdjął. Przeżegnał się i tego wieczora nie spojrział więcej.

Natomiast rankiem nazajutrz przyszedł na kwatereę Skrzetuskiego.

— Panie namiestniku, a prędko pociągniemy. Co też tam waszmość słyszał o wojnie?

— Przypiliło waści. Bądź-że cierpliwy, póki się pod znak nie zaciągniesz.

Pan Podbipięta bowiem nie był jeszcze zapisany na miejsce zmarłego Zakrzewskiego. Musiał czekać z tem aż ćwierć wyjdzie, co miało nastąpić dopiero pierwszego kwietnia.

Ale było mu rzeczywiście pilno, dlatego pytał namiestnika w dalszym ciągu:

— A nic-że J. O. Książę w tej materji nie mówił?

— Nic. Król pono do śmierci nie przestanie o wojnie myśleć, ale Rzplita jej nie chce.

— A mówili w Czehrynie, że rebelia kozacka zagraża?

— Znać, że waści mocno słub dolega. Co do rebelii, wiedz-że, iż jej przed wiosną nie będzie, bo choć to zima lekka, aleć zima zimą. Mamy dopiero 15 Februarii, lada dzień mrozy jeszcze mogą nastać, a kozak w pole nie rusza, póki się nie może okopać, bo oni za wałem biją się okrutnie, w polu zaś nie umieją dotrzymać.

— Tak i trzeba czekać nawet na kozaków?

— Zważ waćpan i to, że choćbyś w czasie rebelii swoje trzy głowy znalazł, to niewiadomo, czy od ślubu wolnym będziesz, bóć co innego krzyżacy lub turecy, a co innego swoi—jakoby rzec, dzieci ejusdem matris.

— O wielki Boże! O toś mi waćpan sęka w głowę zadał. Ot desperacya! Niechże mnie ksiądz Muchowiecki te wątpliwości rozstrzygnie, bo inaczej nie będę miał i chwili spokoju.

— Pewnie, że rozstrzygnie, gdyż jest człek uczony i pobożny, ale pewnie nie powie nic innego. Bellum civile, to wojna braci.

— A gdyby rebelizantom obca potęga na pomoc przyszła?

— Tedy miałbyś pole. Ale teraz jedno mogę waści zalecić: czekaj i bądź cierpliwy.

Jednakże pan Skrzetuski sam nie umiał pójść za tą radą. Ogarniała go tęskność coraz większa, nudziły

go uroczystości dworskie i te twarze, na które dawniej tak mile spoglądał. Panowie Bodzyński, Lassota i pan Rozwan Ursu wyjechali wreszcie, a po ich wyjeździe nastął spokój głęboki. Życie zaczęło płynąć jednostajnie. Książę zajęty był lustracyami dóbr ogromnych i co rano zamykał się z komisarzami, nadjeżdżającymi z całej Rusi i z Sandomierskiego—więc nawet i ćwiczenia wojskowe rzadko tylko mogły się odbywać, Gwarne uczyty oficerskie, na których rozprawiano o przyszłych wojnach, nużyły niewymownie Skrzetuskiego, więc z guldynką na ramieniu uciekał nad Sołonicę, gdzie ongi Żółkiewski tak strasznie Nalewajkę, Łobodę i Krepkiego pogromił. Ślady owej bitwy już się były zatarty i w pamięci ludzkiej, i na pobojowisku. Czasem tylko jeszcze ziemia wyrzucała z łona zbielełe kości, a za wodą sterczał nasyp kozacki, z poza którego bronili się tak rozpaczliwie zaporozcy Łobody i nalewajkowa wolnica. Ale już i na nasypie puścił się gęsto gaj zarośli. Tam-to Skrzetuski chronił się przed gwarem dworskim i zamiast strzelać do ptaków, rozpałtywał; tam-to przed oczyma jego duszy stawała przywoływana pamięcią i sercem postać kochanej dziewczyny; tam wśród mgły, szumu oczeretów i melancholii owych miejsce, doznawał ulgi we własnej tęsknocie.

Ale później jeły padać obfite, zapowiadające wiosną deszcze. Sołonica zamieniła się w topielisko, głowy z pod dachu trudno było wychylić, więc namiestnik i tej pociechy, jaką znajdował w błakaniu się samotnem, został pozbawiony. A tymczasem wzrastał jego niepokój—i słusznie. Miał on z początku nadzieję, że Kurcewiczowa z Heleną, jeśli tylko kniahini potrafi wyprawić Bohuna, zjadą zaraz do Łubniów, a teraz

i ta nadzieja zgasła. Słota zepsuła drogi, step na kilka mil, po obu brzegach Suły, stał się ogromnem bagniskiem, na przebycie którego trzeba było czekać, póki wiosenne gorące słońce nie wysuszy zbytku wód i wilgoci. Przez cały ten czas Helena miała pozostawać pod opieką, której Skrzetuski nie ufał, w prawdziwym wilczym gnieździe, wśród ludzi nieokrzesanych, dzikich, a Skrzetuskiemu niechętnych. Wprawdzie dla własnego dobra powinni mu byli słowa dotrzymać—i prawie nie mieli innej drogi—ale któż mógł odgadnąć, co wymyśla, na co się odważa, zwłaszcza gdy ciążył nad nimi straszliwy watażka, którego widocznie i kochali, i bali się jednocześnie. Łatwoby mu przyszło i zmusić ich do oddania mu dziewczyny, bo nierzadkie były i podobne wypadki. Tak samo swego czasu towarzysz nieszczęsnego Nalewajki, Łoboda, zmusił p. Poplińską, by mu oddała za żonę swą wychowanekę, choć dziewczyna była szlachcianką dobrego rodu i chociaż z całej duszy nienawidziła watażki. A jeśli było prawdą, co mówiono o niezmiernych bogactwach Bohuna, to przecie mógł im i dziewczynę, i utratę Rozłogów zapłacić. A potem co? Potem — myślał p. Skrzetuski—doniosą mi szyderczo, że jest „po harapie,” a sami umkną gdzieś w puszcze litewskie lub mazowieckie, gdzie ich nawet książęca potężna ręka nie dosięgnie. Pan Skrzetuski trząsł się jak w febrze na tę myśl, targał się jak wilk na łańcuchu, żałował swego rycerskiego słowa danego kniahini—i nie wiedział, co ma począć. A był to człowiek, który nierad pozwalał się ciągnąć za brodę wypadkom. W jego naturze leżała wielka przedsiębiorczość i energia. Nie czekał on na to, co mu los zdarzy; wolał los brać za kark i zmuszać, by zdarzał

fortunnie—dlatego trudniej mu było, niż komu innemu, siedzieć z założonemi rękoma w Łubniach.

Postanowił więc działać. Miał on pacholika Rzędziana, szlachcica chodackowego z Podlasia, lat sześćnastu, ale franta kutego na cztery nogi, z którym niejeden stary wyga nie mógł iść o lepsze, i tego postanowił wysłać do Heleny, oraz na przespiegi. Skończył się też już był luty; deszcze przestały lać, marzec zapowiadał się dość pogodnie i drogi musiały się nieco poprawić. Wybierał się więc Rzędzian w drogę. P. Skrzetuski zaopatrzył go w list, papier, pióra i flaszkę inkaustu, której kazał mu jak oka w głowie pilnować, bo pamiętał, że tych rzeczy niemasz w Rozłogach. Miał także chłopak poleczone, by nie powiadał od kogo jest, by udawał, że do Czehryna jedzie i pilnie na wszystko zwracał oko, a zwłaszcza wywiedziało się dobrze o Bohunie, gdzie jest i co porabia. Rzędzian nie dał sobie dwa razy instrukcyi powtarzać, czapkę na bakier nasunął, nahajem świsnął i pojechał.

Dla pana Skrzetuskiego rozpoczęły się ciężkie dni oczekiwania. Dla zabicia czasu ścinał się w palcacy z panem Wołodyjowskim, wielkim mistrzem w tej sztuce, lub dzirytem do pierścienia rzucał. Zdarzył się też w Łubniach wypadek, którego namiestnik o mało zdrowiem nie przypłacił. Pewnego dnia niedźwiedź, zerwawszy się z łańcucha, na podwórcu zamkowym poszczerbił dwóch masztalerzy, popłoszył konie pana komisarza Chlebowskiego i nakoniec rzucił się na namiestnika, który szedł właśnie z cekhauzu do księcia, bez szabli przy boku, mając w ręku tylko lekki nardziak z mosięzną główką. Namiestnik byłby zginął niezawodnie, gdyby nie pan Longin, który ujrawszy

z cekhausu co się dzieje, porwał za swój Zerwikaptur i przybiegł na ratunek. Pan Longin okazał się w zupełności godnym potomkiem przodka Stowejki, gdyż w oczach całego dworu odwalił jednym zamachem łeb niedźwiedziowy wraz z łapą, który to dowód nadzwyczajnej siły podziwiał z okna sam książę, i wprowadził następnie pana Longina do pokojów księżnej, gdzie Anusia Borzobohata tak wabiła go oczkiem, że nazajutrz musiał iść do spowiedzi i następnie przez trzy dni nie pokazywał się w zamkn, póki żarliwą modlitwą wszelkich pokus nie odpędził.

Tymczasem upłynęło dni dziesięć, a Rzędziana nie było widać z powrotem. Nasz pan Jan schudł z oczekiwania i tak wymizerniał, że aż Anusia poczęła się wypytywać przez posły, co mu jest—a Carboni, doktor książęcy, zapisał mu jakąś dryakiew na melancholią. Ale innej on dryakwi potrzebował, gdyż dniem i nocą o swojej kniaziównie rozmyślał—i czuł coraz mocniej, że to nie żadne płochę uczucie zagnieżdziło się w jego sercu, ale miłość wielka, która musi być zaspokojona, bo inaczej pierś ludzką, jak słabe naczynie, rozsadzić gotowa.

Łatwo więc sobie wyobrazić radość pana Jana, gdy pewnego dnia o świcie wszedł do jego kwatery Rzędzian zabłocony, zmęczony, wymizerowany, ale wesół i z dobrą wieścią, wypisaną na czole. Namiestnik, jak się zerwał prosto z łoża, tak przybiegłszy do niego, chwycił go za ramiona i krzyknął:

— Listy masz?

— Mam, panie. Oto są.

Namiestnik porwał i zaczął czytać. Długi czas wątpił, czy mu nawet w razie najpomysłniejsz



dzian list przywiezie, gdyż nie był pewny, czy Helena pisać umie. Kresowe niewiasty nie bywały uczone, a Helena chowała się do tego między prostakami. Jednakże widocznie ojciec nauczył ją jeszcze tej sztuki, gdyż skreśliła długi list na cztery strony papieru. Biedaczka nie umiała wprawdzie wyrażać się ozdobnie, retorycznie, ale wprost od serca pisała, co następuje:

— „Już ja waćpana nigdy nie zapomnę, waćpan mnie prędeż, bo słyszę, że są i płosi między wami. Ale gdyś pacholika umyślnie tyle mił drogi przysłał, to widać, że ci miła, jak i ty mnie, za coć sercem wdzięcznem dziękuję. Nie myśl też waćpan, aby to nie było przeciw skromności mojej, tak ci o tem kochaniu pisać, ale snąć lepiej już prawdę powiedzieć, niż zełgać, albo ją ukrywać, gdy zgoła co innego jest w sercu. Wypytywałam też Imć Rzędziana co w Łubniach porabiasz i jakie są wielkiego dworu obyczaje, a gdy mnie o urodzie i gładkości tamtejszych panien powiadał, prawie ze łzami od wielkiego smutku się zalałam...”

Tu namiestnik przerwał czytanie i spytał Rzędziana:

— Coś ty tam kpie powiadał?

— Wszystko dobrze, panie!—odpowiedział Rzędzian.

Namiestnik czytał dalej.

„...Bo jakże mnie prostaczce porównywać się z niemi. Ale powiedział mi pacholek, iż waćpan na żadną i patrzeć nie chcesz...”

— Toś dobrze powiedział!—rzekł namiestnik.

Rzędzian nie wiedział wprawdzie o co idzie, bo namiestnik czytał list pocichu, ale zrobił mądrą minę i chrząknął znacząco, Skrzetuski zaś czytał dalej:

„...I zaraz pocieszyłam się, prosząc Boga, by cię nadal w takowej dla mnie życzliwości utrzymał i obojgu nam błogosławił—amen. Jużem się tak też za waćpanem stęskniła, jako właśnie za matką, bo mnie sierocie śmutno na świecie, ale nie przy waćpanu... Bóg patrzy na moje serce, że jest czyste, a co innego jest prostactwo, które mnie wybaczyć musisz...”

W dalszym ciągu donosiła śliczna kniaziówna, że do Łubniów ze stryjenką wyjadą, jak tylko drogi będą lepsze, i że sama kniahini chce wyjazd przyspieszyć, gdyż z Czehryna dochodzą wieści o jakichś niespokojnościach kozackich, czeka więc tylko na powrót młodych kniaziów, którzy do Bogusławia na jarmark koński pojechali.

„Prawdziwy z waćpana czarownik—pisała dalej Helena—żeś sobie i stryjnę zjednać umiał.”

Tu namiestnik uśmiechnął się, przypomniał sobie bowiem, jakimi-to sposoby musiał tę stryjnę zjednywać. List kończył się zapewnieniami stałej a pocziwej miłości, jaką właśnie przyszła żona mężowi winna. Wogóle zaś przeglądało z niego istotnie serce czyste, dlatego też namiestnik odczytywał ten list serdeczny po kilkanaście razy od początku do końca, powtarza-

jąc sobie w duszy: „moja wdzięczna dziewczko! niechże mnie Bóg opuści, jeśli cię kiedy zaniecham.”

Potem zaś począł wypytywać o wszystko Rzędziana.

Sprytny pacholek zdał mu dokładnie sprawę z całej podróży. Przyjęto go ucziwie. Stara kniahini wybadywała go o namiestnika, a dowiedziawszy się, że był rycerzem znakomitym i księcia poufnym, a prztem człowiekiem zamożnym, rada była.

— Pytała mnie też—rzekł Rzędzian—czy jegomość, jak co obiecuje, zawsze słowo zdierży, a ja jej na to: Moja mościa pani! gdyby ten wołoszynek, na którym przyjechałem, był mnie obiecany, wiedziałbym, że już mnie nie minie..

— Frant z ciebie—rzecze namiestnik—ale kiedyś tak za mnie zaręczył, to go już trzymaj. Nie symulowałeś tedy nic, powiedziałaś, że ja cię przysłałem?

— Powiedziałem, bom obaczył, że można, i zaraz jeszcze wdzięczniej mnie przyjęli, a szczególnie panna, która jest tak cudna, jak drugiej na świecie nie znaleźć. A dowiedziawszy się, że od jegomości jadę, już też nie wiedziała, gdzie mnie posadzić i gdyby nie post, opływałbym we wszystko, jako w niebie. Czytając list jegomości, łzami go oblewała od radości.

Namiestnik zamilkł również od radości i po chwili dopiero spytał znowu:

— A o onym Bohunie niceś się nie dowiedział?

— Nie zdawało mi się panny albo pani o to pytać, alem wszedł w konfidencyą ze starym tatarzem Czechłym, który choć poganin, jest wiernym panienki sługą. Ten mnie powiadał, że mruczeli oni wszyscy na jegomości bardzo, ale potem się ustatkowali, a to

gdy stało się im wiadomo, iż co prawda o skarbach tego Bohuna, to bajka.

— Jakim-że sposobem o tem się przekonali?

— A to, widzi jegomość, było tak: Mieli oni dyferencyą z Siwińskimi, którą potem obowiązali się spłacić. Jak przyszedł termin, tak do Bohuna: Pożycz! A on na to: Dobra tureckiego, powiada, trochę mam, ale skarbów żadnych, bo com miał, tom, powiada, rozrzucił. Jak to usłyszeli, zaraz im był tańszy — i do jegomości afekt zwrócili.

— Niema co mówić, dobrześ się o wszystkim wywiedział.

— Mój jegomość, gdybym ja się jednego wywiedział, a drugiego nie, tedyby jegomość mógł do mnie rzec: konia mi darowałeś, a terlicyś nie dał. Coby jegomości było po koniu bez terlicy?

— No, no, to weź-że i terlicę.

— Dziękuję pokornie jegomości. Oni też Bohuna do Perejasławia zaraz wyprawili, więc jakem się o tem dowiedział, tak sobie myślę: czemubym i ja nie miał do Perejasławia dotrzeć. Będzie ze mnie pan kontent, to mnie barwa prędzej dojdzie...

— Dojdzie cię na nową ćwierć. To byłeś i w Perejasławiu?

— Byłem. Alem Bohuna tam nie znalazł. Stary pułkownik Łoboda chory. Mówią, że rychło po nim Bohun pułkownikiem zostanie... Ale tam się dzieje coś dziwnego. Semenów ledwie garsć przy chorągwi została—reszta, mówią, za Bohunem pociągnęła, czy też na Sicz zbiegła, i to jest, mój jegomość, ważna rzecz, bo tam się podobno jakaś rebelia knuje. Chciałem się koniecznie czegoś dowiedzieć o Bohunie, aleć tylko

tyle mi powiedziano, że się na ruski brzeg <sup>1)</sup> przeprawił; a no! myślę sobie, kiedy tak, to nasza panienka od niego bezpieczna—i wróciłem.

— Dobrześ się sprawił. A przygody jakiej w podróży nie miałeś?

— Nie, mój jegomość, jeno mi się jeść okrutnie chce.

Rzędzian wyszedł, a namiestnik, zostawszy sam, zaczął nanowo odczytywać list Heleny i do ust przyciskać te literki, nie tak kształtne, jak ręka, która je kreśliła. Ufność wstąpiła mu w serce—i myślał sobie: „Niedługo drogi podeschną, byle Bóg dał pogodę. Kurcewicze też, dowiedziawszy się, że Bohun hołysz, pewnie mnie już nie zdradzą. Puszcę im Rozłogi i jeszcze swego dołożę, byle onej kochanej gwiazdki dostać...”

I przybrawszy się, z jaśniejącą twarzą, z pełną od szczęścia piersią, szedł do kaplicy, by Bogu na przód za dobrą nowinę pokornie podziękować.

---

<sup>1)</sup> Prawy brzeg Dniepru nazywano ruskim, lewy tatarskim.

## ROZDZIAŁ VI.

Na całej Ukrainie i Zadnieprzu poczęły zrywać się jakieś szумы, jakoby zwiastuny burzy blizkiej; jakieś dziwne wieści przelatywały od sióła do sióła, od futoru do futoru, nakształt owych roślin, które jesienią wiatr po stepach żenie, a które lud perekotypolem zowie. W miastach szeptano sobie o jakiejś wielkiej wojnie, lubo nikt nie wiedział, kto i przeciwko komu ma wojować. Coś zapowiadało się wszelako. Twarze ludzkie stały się niespokojne. Rolnik niechętnie z pługiem na pole wychodził, chociaż wiosna przyszła wczesna, cicha, ciepła, a nad stepami dzwoniły oddawna skowronki. Wieczorami ludzie po siółach gromadzili się w kupy i stojąc na drodze, gwarzyli półgłosem o rzeczach strasznych. Ślepców, krążących z lirami i pieśnią, wypytywano o nowiny. Niektórym zdało się, że nocami widzą jakieś odblaski na niebie i że księżyc czerwieńszy niż zwykle podnosi się z za borów. Wróżono klęski lub śmierć królewską—a wszystko to było tem dziwniejsze, że do ziem onych, przywykłych zdawna do niepokoju, walk, najazdów, strach niełatwy miał przystęp; musiały więc jakieś wyjątkowo

złowrogie wichry grać w powietrzu, skoro niepokój stał się powszechnym.

Tem ciężiej, tem duszniej było, że nikt nie umiał niebezpieczeństwa wskazać. Wszelako między oznakami złej wróżby, dwie szczególniej zdawały wskazywać, że istotnie coś zagraża. Oto naprzód, niesłychane mnóstwo dziadów lirników pojawiło się po wszystkich wsiach i miastach, a były między nimi jakieś postacie obce, nikomu nieznanne, o których szeptano sobie, że to są dziady fałszywe. Ci, włócząc się wszędzie, zapowiadali tajemniczo, iż dzień sądu i gniewu Bożego się zbliża. Powtóre, niżowcy poczęli pić na umor.

Druga oznaka była jeszcze niebezpieczniejszą. Sicz, w zbyt szczupłych granicach objęta, nie mogła wszystkich swych ludzi wyżywić, wyprawy nie zawsze się zdarzały, przeto stepy nie dawały chleba kozakom, mnóstwo więc niżowców rozpraszało się rokrocznie, w spokojnych czasach, po okolicach zamieszkałych. Pełno ich było na Ukrainie, ba nawet na całej Rusi. Jedni zaciągali się do pocztów starościńskich, inni szynkowali wódkę po drogach, inni trudnili się po wsiach i miastach handlem i rzemiosłami. W każdej prawie wsi stała opodal od innych chata, w której mieszkał zaporoziec. Niektórzy mieli w takich chatach żony i gospodarstwo. A zaporoziec taki, jako człek zwykle kuty i bity, był poniekąd dobrodziejstwem wsi, w której mieszkał. Nie było nad nich lepszych kowali, kołodziejów, garbarzy, woskobojuw, rybitwów i myśliwych. Kozak wszystko umiał, wszystko zrobił, dom postawił i siodło uszył. Powszechnie jednak nie byli to osadnicy spokojni, bo żyli życiem tymczasowem.

Kto chciał wyrok zbrojno wyegzekwować, na sąsiada najazd zrobić, lub się od spodziewanego obronić, potrzebował tylko krzyknąć, a wnet mołojcy zlatywali się, jak krucy na żer gotowi. Używała ich też szlachta, używali panowie, wiecznie spory ze sobą wiedący, gdy jednak i takich wypraw brakło, to siedzieli cicho po wsiach, pracując do upadłego i w pocie czoła zdobywając chleb powszedni.

I trwało tak czasem rok, dwa, aż nagle przychodziła wieść o jakowejś walnej wyprawie, czy to jakiego atamana na tatarów, czy na „lachiw,” czy wreszcie paniąt polskich na Wołoszczyznę;—i wnet ci kołodzieje, kowale, garbarze, woskoboje, porzucali spokojne zajęcie i przedewszystkiem poczynali pić na śmierć we wszystkich szynkach ukraińskich.

Przepiwszy wszystko, pili dalej na borg, „ne na to, szczo je, ale na to, szczo bude.” Przyszłe łupy miały zapłacić hulatykę.

Zjawisko owo powtarzało się tak stale, że później doświadczeni ludzie ukraińscy zwykli mawiać: „oho! trzęsą się szynki od niżowców — w Ukrainie coś się gotuje.”

I starostowie wzmacniali zaraz załogi w zamkach, pilnie dając na wszystko baczenie, panowie ściągali poczty—szlachta wysyłała żony i dzieci do miast.

Owóz wiosny tej, kozacy poczęli pić, jak nigdy, trwonić na ślepo wszelakie zapracowane dobro i to nie w jednym powiecie, nie w jednym województwie, ale na całej Rusi, jak długa i szeroka.

Coś się więc gotowało naprawdę, chociaż sami niżowcy nie wiedzieli zgoła, co takiego. Zaczęto mówić o Chmielnickim, o jego na Sicz ucieczce, i o ogro-



dowych z Czerkas, Bogusławia, Korsunia i innych miast, zbiegłych za nim — ale powiadano też i co innego. Od lat całych krążyły już wieści o wielkiej wojnie z pogany, której król chciał, by dobrym mołojcom łupu przysporzyć, ale lachy nie chcieli — a teraz te wszystkie wieści pomieszały się ze sobą i zrodziły w głowach ludzkich niepokój i oczekiwanie czegoś nadzwyczajnego.

Niepokój ów przedarł się i za mury łubniańskie. Na te wszystkie oznaki niepodobna było oczu zamykać, a zwłaszcza nie miał tego zwyczaju książę Jeremi. W jego państwie niepokój nie przeszedł wprawdzie we wrzenie — strach trzymał w ryzie wszystkich, ale po jakimś czasie z Ukrainy zaczęły dolatywać słuchy, że tu i owdzie chłopci zaczynają dawać opór szlachcie, że mordują żydów, że chcą się gwałtem zaciągać do rejestru na wojnę z pogany i że liczba zbiegów na Sicz coraz się powiększa.

Porozysłał więc książę posłańców: do pana Krakowskiego, do p. Kalinowskiego, do Łobody w Perejasławiu, — a sam ścigał stada ze stepów i wojsko z pałanek. Tymczasem przyszły wieści uspokajające. Pan hetman wielki donosił wszystko, co wiedział o Chmielnickim, nie uważał jednak, aby jaka zawierucha mogła z tej sprawy wynikać; p. hetman polny pisał, że „hultajstwo zwykle jako roje burzy się na wiosnę.” Jeden stary chorąży Zaćwilichowski przesłał list zaklinający księcia, żeby niczego nie lekceważyć, bo wielka burza idzie od Dzikich pól. O Chmielnickim donosił, że z Siczy do Krymu pognał, by chana o pomoc prosić. „A jako mnie z Siczy przyjaciele donoszą — pisał — iż tam koszowy ze wszystkich ługów i rzeczek piesze i konne wojsko ściga, nie mówiąc

nikomu dlaczego to czyni, mniemam przeto, iż ta burza na nas się zwali, co jeżeli z pomocą tatarską się stanie, daj Boże, by zguby wszystkim ziemiom ruskim nie przyniosło.”

Książę ufał Zaćwilichowskiemu więcej, niż samym hetmanom, bo wiedział, iż nikt na całej Rusi nie zna tak kozaków i ich fortelów, postanowił więc jaknajwięcej wojsk ściągnąć, a jednocześnie do gruntu prawdy dotrzeć.

Pewnego więc rana kazał przywołać do siebie pana Bychowca, porucznika chorągwi wołoskiej, i rzekł mu:

— Pojedziesz waś odemnie w poselstwie na Sicz, do pana atamana koszowego, i oddasz mu ten list z moją hospodyńską pieczęcią. Ale żebyś wiedział, czego się trzymać, to ci powiem tak: list jest pozór, a zaś waga cała poselstwa w waszmościny rozumie spoczywa, abys na wszystko patrzył, co się tam dzieje, ile wojska zwołali i czy jeszcze zwołują. To szczególnie polecam, byś sobie jakich ludzi skaptował i o Chmielnickim mi się wszystkiego dobrze wywie-dział, gdzie jest i jeżeli prawda, że do Krymu pojechał tatarów o pomoc prosić. Rozumiesz waś?

— Jakoby mi kto na dłoni wypisał.

— Pojedziesz na Czehryn, po drodze nie wytechniesz dłużej, jak noc jedną. Przybywszy, udasz się do chorążego Zaćwilichowskiego, by cię w listy do swoich przyjaciół w Siczy opatrzył, które sekretnie im oddasz. Oni wszystko ci opowiedzą. Z Czehryna ruszysz bajdakiem do Kudaku, pokłonisz się odemnie panu Grodzickiemu i to pismo mu wręczysz. On cię przez Porohy każe przeprowadzić i przewoźników potrzebnych

dostarszy. W Siczy też nie baw, patrz, słuchaj i wracaj, jeśli żyw będziesz, bo to ekspedycya nie łatwa.

— Wasza książęca mość jest szafarzem krwi mojej. Ludzi siła mam wziąć?

— Weźmiesz czterdziestu pocztowych. Ruszysz dziś pod wieczór, a przed wieczorem przyjdiesz jeszcze po instrukcye. Ważną to misyą waszmości powierzam.

Pan Bychowiec wyszedł uradowany; w przedpokoju spotkał Skrzetuskiego z kilkoma oficerami z artyleryi.

— A co tam?—spyтали go.

— Dziś ruszam w drogę.

— Gdzie, gdzie?

— Do Czehryna; a ztamtąd dalej.

— To chodź-że ze mną—rzekł Skrzetuski.

I zaprowadziwszy go do kwatery, nuż molestować, by mu tę funkcją odstąpił:

— Jakeś przyjaciel—rzecze—żądaj czego chcesz, konia tureckiego, dzianeta, dam, niczego nie będę żałował, bym jeno mógł jechać, bo się we mnie dusza w tamtą stronę rwie! Chcesz pieniędzy, pozwolę, byleś ustąpił. Sławy-ć to nie przyniesie, bo tu pierwej wojna, jeśli ma być, to się rozpocznie—a zginąć możesz. Wiem także, że ci Anusia miła, jako i innym—pojedziesz, to ci ją zbałamucą.

Ten ostatni argument lepiej od innych trafił do myśli pana Bychowca, ale jednak opierał się. Coby książę powiedział, gdyby ustąpił; czyby mu nie miał za złe? Toć to jest fawor książęcy, taka funkcya.

Usłyszawszy to, Skrzetuski poleciał do księcia i natychmiast kazał się przez pazia meldować.

Po chwili paż powrócił z oznajmieniem, iż ksiązę wejść pozwała.

Namiestnikowi biło serce jak młotem z obawy, że usłyszy krótkie: „nie!” po którym nie zostawało nic innego, jak wszystkiego póniechać.

— A co powiesz?—rzekł ksiązę, ujrzawszy namiestnika.

Skrzetuski schylił mu się do nóg.

— Mości ksiązę, przyszedłem błagać najpokorniej, by mnie ekspedycya na Sicz była powierzona. Bychowiec możeby ustąpił, bo mi jest przyjacielem, a mnie tak właśnie na niej, jak na samem życiu zależy — boi się tylko Bychowiec, czy Wasza Książęca Mość krzyw za to nie będziesz.

— Na Boga! — rzekł ksiązę—toż jabym nikogo innego jak ciebie nie wysłał, ale rozumiałem, że niechętnie ruszysz, niedawno taką długą drogę odbywszy.

— Mości ksiązę, choćbym też i codzień był wysyłany, zawsze libenter w tamtą stronę jeździć będę.

Książę popatrzył na niego przeciągle swemi czarnemi oczyma i po chwili spytał:

— Co ty tam masz?

Namiestnik stał zmieszany, jak winowajca, nie mogąc znieść badawczego spojrzenia.

— Już widzę, że muszę prawdę mówić — rzekł— gdyż przed rozumem W. Ks. Mości żadne arcana ostać się nie mogą, jedno nie wiem, znajdę-li łaskę w uszach W. Ks. Mości.

I tu zaczął opowiadać, jak poznał córkę kniazia Wasila, jak się w niej rozkochał i pragnąłby teraz ją odwiedzić, a za powrotem z Siczy do Łubniów ją sprowadzić, by przed zawieruchą kozacką i natarczy-

wością Bohuna ją uchronić. Zamilczał tylko o machi-  
nacyach starej kniahini, gdyż w tem był słowem zwią-  
zany. Natomiast tak począł błagać księcia, iżby mu  
funkcyą Bychowca powierzył, iż ksiązę rzekł:

— Jabym ci i tak jechać pozwolił i ludzi dał,  
ale gdyś tak wszystko mądrze ułożył by, własny afekt  
z oną funkcyą pogodzić, tedy muszę już to dla ciebie  
uczynić!

To rzekłszy, w ręce klasnął i kazał paziowi  
przywołać pana Bychowca.

Namiestnik ucałował z radością rękę księcia, ten  
zaś za głowę go ścisnął i spokojnym być rozkazał.  
Lubił on niezmiernie Skrzetuskiego, jako dzielnego  
żołnierza i oficera, na którego we wszystkim można  
się było spuścić. Prócz tego był między nimi ten  
związek, jaki wytwarza się między podwładnym, uwiel-  
biającym z całej duszy zwierzchnika, a zwierzchnikiem,  
który to czuje dobrze. Około księcia kręciło się nie-  
mało dworaków, służących i schlebiających dla wła-  
snej korzyści, ale orli umysł Jeremiego wiedział do-  
brze, co o kim trzymać. Wiedział, że Skrzetuski był  
człowiek jak iza—cenił go więc i był mu wdzięczny  
za uczucie.

Z radością dowiedział się także, że jego ulubie-  
niec pokochał córkę Wasila Kurcewicza, starego sługi  
Wiśniowieckich, którego pamięć była tem droższą księ-  
ciu, im była żałośniejszą.

— Nie z niewdzięczności to przeciw kniaziowi—  
rzekł—nie dowiadywałem się o dziewczynę, ale gdy  
opiekunowie nie zaglądali do Łubniów i żadnych skarg  
na nich nie odbierałem, sądziłem, iż są poczciwi. Sko-

roś mi jednak teraz ją przypomniiał, będę o niej jak o rodzonej pamiętał.

Skrzetuski, słysząc to, nie mógł się nadziwić dobroci tego pana, który zdawał się sobie samemu robić wyrzuty, że w obec nawału spraw rozlicznych, nie zajął się losami dziecka dawnego żołnierza i dworzanina.

Tymczasem nadszedł pan Bychowiec.

— Mosanie—rzekł mu książę—słowo się rzekło: jeśli zechcesz, pojedziesz, aleć proszę, uczyn to dla mnie i ustąp funkcyi Skrzetuskiemu. Ma on swoje szczególne, słuszne racye, by jej pożądać, a ja o innej pomysle dla waści rekompensie.

— Mości książę—odparł Bychowiec—łaska to wysoka W. Ks. Mości, że mogąc rozkazać, na moję wolę to zdajesz, której łaski nie byłbym godzien, nie przyjmując jej najwdzięczniejszem sercem.

— Podziękuj-że przyjacielowi—rzekł książę, zwracając się do Skrzetuskiego — i idź gotować się do drogi.

Skrzetuski istotnie dziękował gorąco Bychowcowi, a w kilka godzin potem był gotów. W Łubniach od dawna trudno już mu było wysiedzieć, a ta ekspedycja dogadzała wszelkim jego życzeniom. Naprzód miał zobaczyć Helenę, a potem — prawda, że trzeba było się od niej na dłuższy czas oddalić, ale właśnie taki czas był potrzebny, by drogi po niezmiernych deszczach stały się dla kół możliwe do przebycia. Prędzej kniahini z Heleną nie mogły zjechać do Łubniów, musiałyby więc Skrzetuski albo w Łubniach czekać, albo w Rozłogach przesiadywać, co byłoby przeciw układowi z kniahinią—i co więcej—obudziłoby podejrzenia Bohuna. Helena prawdziwie bezpieczną przeciw jego zamachom mogła być dopiero w Łubniach, gdy więc mu-

siała koniecznie jeszcze dość długo w Rozłogach pozostawać, najlepiej wypadło Skrzetuskiemu odjechać, a zato z powrotem, już pod zasłoną siły wojskowej książęcej ją zabrać. Tak obrachowawszy, kwapił się namiestnik z wyjazdem i ułatwiwszy wszystko, wziął listy i instrukcyę od księcia, a pieniądze na ekspedycyą od skarbnika, dobrze jeszcze przed nocą puścił się w drogę, mając ze sobą Rzędziana i czterdziestu semenów z kozackiej książęcej chorągwi.

---

## ROZDZIAŁ VII.

Było to już w drugiej połowie marca. Trawy puściły się bujno; perekotypola zakwitły, step zawrzał życiem. Rankiem namiestnik, jadąc na czele swych ludzi, jechał jakby morzem, którego falą ruchliwą była kołysana wiatrem trawa. A wszędy pełno wesołości i głosów wiosennych, krzyków, świergotu, pogwizdywań, kłaskań, trzepotania skrzydeł, radosnego brzęczenia owadów: step brzmiący jak lira, na której gra ręka Boża. Nad głowami jeźdźców jastrzębie, tkwiące nieruchomie w błękicie, naksztalt pozawieszanych krzyżków, trójkąty dzikich gęsi, sznury żurawiane; na ziemi gony żdziczałych tabunów: ot, leci stado koni stepowych, widać je, jak porą trawy piersią, idą jak burza i stają jak wryte, otaczając jeźdźców półkolem; grzywy ich rozwiane, chrapy rozdęte, oczy zdziwione! Rzekłbyś, chcą roztratować nieproszonych gości. Ale chwila jeszcze i pierchają nagle, i nikną równie szybko jak przybiegły—jeno trawy szumią, jeno kwiaty migocą! Tętent ucichł, znowu słyhać tylko granie ptactwa. Niby wesoło, a jakiś smutek środ tej radości, niby gwarno, a pusto—o! a szeroko, a przestronno! Konie nie zgonić, myślą nie zgonić... chyba te smutki, tę



pustoszą, te stopy pokochać i tęskną duszą krążyć nad niemi, na ich mogiłach spoczywać, głosu ich słuchać i odpowiadać.

Ranek był. Wielkie krople błyszczały na bylicach i burzanach, rzeźwe powiewy wiatru suszyły ziemię, na której po deszczach stały szerokie kałuże, jakoby jeziora rozlane, w słońcu świecące. Poczet namiestnikowy posuwał się zwolna, bo trudno było pośpieszyć, gdy konie zapadały czasem po kolana w miękkiej ziemi. Ale namiestnik mało im dawał wytchnienia po wzgórkach mogilnych, bo śpieszył zarazem witać i żegnać. Jakoż drugiego dnia o południu, przejechawszy szmat lasu, dojrzał już wiatraki w Rozłogach, rozrzucone po wzgórzach i pobliskich mogiłach. Serce mu biło, jak młotem. Nikt go się tam nie spodziewa, nikt nie wie, że przyjedzie; co też ona powie, gdy go ujrzy? O, oto już i chaty pidsusidków, poukrywane w młodych sadach wiśniowych—dalej wieś rozrzucona dworzyszczowych, a jeszcze dalej widnieje i żóraw studzienny na dworskim majdanie. Namiestnik wspiał konia i kopnął się cwałem, a za nim pocztowi, lecieli tak przez wieś z brzękiem i gwarem. Tu i owdzie chłop wypadł z chaty, popatrzył, przeżegnał się: czorty, nie czorty? tatarzy, nie tatarzy? Błoto tak pryska z pod kopyt, że i nie poznasz, kto leci. A oni tymczasem dolecieli do majdanu i stanęli przed bramą zawartą.

— Hej tam! kto żyw, otwieraj!

Gwar, stukanie i ujadania psów wywołały ludzi ze dworu. Przypadli tedy do bramy wystraszeni, myśląc, że chyba najazd.

— Kto jedzie?

— Otwieraj!

— Kniaziów niema w domu.

— Otwieraj-że, pogański synu! My od księcia z Lubniów.

Czeladź poznała wreszcie Skrzetuskiego.

— A, to wasza miłość! Zaraz, zaraz!

Otworzono bramę, a wtem i sama kniahini wyszła przed sień, i przykrywszy oczy ręką, patrzyła na przybyłych.

Skrzetuski zeskoczył z konia i zbliżywszy się do niej, rzekł:

— Jejmość nie poznajesz mnie?

— Ach! to waszmość, panie namiestniku. Rozumiałam, że napad tatarski. Kłaniam i proszę do komnat.

— Dziwisz się zapewne waćpani — rzekł Skrzetuski, gdy weszli już do środka — widząc mnie w Rozłogach, a przeciem słowa nie złamał, gdyż to sam książę do Czehryna i dalej mnie posyła. Kazał mi przytem w Rozłogach się zatrzymać i o wasze zdrowie zapytać.

— Wdzięcznam jego książęcej mości, jako łaskawemu panu i dobrodziejowi. Prędkoż nas myśli z Rozłogów rugować?

— Nie myśli on o tem wcale, gdyż nie wie, że trzeba was rugować, a jam co powiedział, to będzie. Zostaniecie w Rozłogach; mam ja swego chleba dosyć.

Usłyszawszy to, kniahini zaraz rozpogodziła się i rzekła:

— Siadaj-że waszmość i bądź sobie rad, jakom ja ci rada.

— A kniaziówna zdrowa? gdzie jest?

— Wiem ci ja, żeś nie do mnie przyjechał, mój kawalerze. Zdrowa ona, zdrowa; jeszcze dziewczka od tych amatorów potłuściła. Ale wraz ci jej zawołam, a i sama się trochę ogarnę, bo mi wstyd tak gości przyjmować.

Jakoż kniahini miała na sobie suknię ze splewiałego cycu, kozuch na wierzchu i jałowicze buty na nogach.

W tej chwili jednak Helena, choć i niewołana, wbiegła do komnaty, bo się od tataru Czechły dowiedziała, kto przyjechał. Wbiegłszy zdyszana i kraśna jak wiśnia, tchu prawie złapać nie mogła i tylko oczy śmiały się jej szczęściem i weselem. Skrzetuski skończył jej ręce całować, a gdy kniahini dyskretnie wyszła, całował i usta, bo był człowiek porywczy. Ona też nie bronila się bardzo, czując, że niemoc opanowuje ją ze zbytku szczęścia i radości.

— A ja się waćpana nie spodziewałam—szeptała, mrużąc swe śliczne oczy—ale już tak nie całuj, bo nie przystoi.

— Jak nie mam całować—odpowiedział rycerz—gdy mi miód nie tak słodki, jako usta twoje? Myślałem też, że już mi uschnąć przyjdzie bez ciebie, aż mnie sam ksiązę tu wyprawił.

— To ksiązę wie?

— Powiedziałem mu wszystko. A on jeszcze rad był, na kniazia Wasila wspomniawszy. Ej, chybaś ty mi co zadała, dziewczyno, że już i świata za tobą nie widzę.

— Łaska to Boża takie zaślepienie twoje.

— A pamiętasz jeno ten omen, który raróg uczynił, gdy nam ręce ku sobie ciągnął? Znać było już przeznaczenie.

— Pamiętam...

— Jakem też od tęskności chodził w Łubniach na Solonice, tom cię tak prawie jako żywą widywał, a com wyciągnął ręce, toś nikła. Ale mi więcej nie umkniesz, gdyż tak myślę, że nie nam już nie stanie na wstrecie.

— Jeśli co stanie, to nie wola moja.

— Powiedz-że mi jeszcze raz, że mnie miłujesz.

Helena spuściła oczy, ale odrzekła z powagą i wyraźnie:

— Jako nikogo w świecie.

— Żeby mnie kto złotem i dostojęstwem obsypał, wolałbym takie słowa twoje, bo czuję, że prawdę mówisz, choć sam nie wiem, czem na takowe dobrodziejstwo od ciebie zarobić mogłem.

— Boś miał litość dla mnie, boś mnie przygar-  
nął i ujmował się za mną, i takimi słowy do mnie mówił, jakich wprzód nigdy nie słyszałam.

Helena zamilkła ze wzruszenia, a porucznik począł nanowo całować ręce.

— Panią mi będziesz, nie żoną—rzekł.

I przez chwilę milczeli, tylko on wzroku z niej nie spuszczał, chcąc sobie długie niewidzenie nagrodzić. Wydała mu się jeszcze piękniejszą, niż dawniej. Jakoż w tej ciemnawej świetlicy, w grze promieni słonecznych, rozłamujących się w tęczę na szklanych gomółkach okien, wyglądała jak owe obrazy świętych dziewic w mrocznych kościelnych kaplicach. A jednocześnie biło od niej takie ciepło i życie, tyle rozkosznych niewieścich ponęt i uroków malowało się w twarzy i całej postaci, że można było głowę stracić, rozkochać się na śmierć, a kochać na wieczność.

— Od twojej gładkości chyba mi oslepnąć przyjdzie!—rzekł namiestnik.

Białe ząbki kniaziówny wesoło błysnęły w uśmiechu.

— Pewnie panna Anna Borzobohata odemnie stokroć gładsza!

— Tak jej do ciebie, jako właśnie cynowej misie do miesiāca.

— A mnie imć Rzędzian co innego powiadał.

— Imć Rzędzian wart w gębę. Co mnie tam po onej pannie! Niech inne pszczoły z tego kwiatu miód biorą, a jest ich tam niemało.

Dalszą rozmowę przerwało wejście starego Czechły, który przyszedł witać namiestnika. Uważał go on już za swego przysłego pana, więc kłaniał mu się od proga, oddając mu wschodnim obyczajem salamy.

— No, stary Czechły, wezmę i ciebie z panienką. Już też jej służ do śmierci.

— Niedługo jej czekać, wasza miłość, ale póki życia, póty służby. Bóg jeden!

— Za jaki miesiąc, gdy z Siczy wrócę, ruszemy do Łubniów—rzekł namiestnik, zwracając się do Heleny—a tam ksiądz Muchowiecki ze stulą czeka.

Helena przestraszyła się:

— To ty na Sicz jedziesz?

— Książę posyła z listami. Aleć się nie bój. Osoba posła i u pogan święta. Ciebie zaś z kniahinią wyprawilibym choć zaraz do Łubniów, jeno drogi straszne. Sam widziałem—i koniem niebardzo przejedzie.

— A długo w Rozłogach zostaniesz?

— Dziś jeszcze na wieczór do Czehryna ruszam. Prędeż pożegnani, prędeż powitani. Zresztą służba książęca: nie mój czas, nie moja wola.

— Proszę na posiłek, jeśli amatorów i gruchania dosyc — rzekła, wchodząc, kniabinini. — Ho! ho! policzki ma dziewczyna czerwone, snać nie próżnowałeś, panie kawalerze! No, ale się wam nie dziwię.

To rzekłszy, poklepała laskawie Helenę po ramieniu i poszli na obiad. Kniahini była w doskonałym humorze. Bohuna odżałowała już dawno, a teraz wszystko składało się tak, dzięki hojności namiestnika, że Rozłogi „cum boris, lasis, graniciebus et coloniis” mogła już uważać za swoje i swoich synów.

A były to przecie dobra niemałe.

Namiestnik wypytywał o kniaziów, czy prędko wrócą.

— Lada dzień się już ich spodziewam. Gniewno im było z początku na waćpana, ale potem, zważywszy twoje postęпки, bardzo cię, jako przyszłego krewniaka, polubili, bo prawią, że takiej fantazyi kawalera trudno już w dzisiejszych miękkich czasach znaleźć.

Po skończonym obiedzie namiestnik z Heleną wyszli do sadu wiśniowego, który tuż do fosy za majdaniem przytykał. Sad był jako śniegiem wczesnem kwieciami obsypany, za sadem czerniała dąbrowa, w której kukała kukułka.

— Na szczęśliwą to nam wróżbę — rzekł pan Skrzetuski — ale trzeba się popytać.

I zwróciwszy się ku dąbrowie, pytał:

— Zazulu nieboże, a ile lat będziem żyć w stadle z tą oto panną?

Kukułka poczęła kukać i kukać. Naliczyli pięćdziesiąt i więcej.

— Dajże tak Boże!

*Ogniem i mieczem T. I.*

— Zazule zawsze prawdę mówią — zauważyła Helena.

— A kiedy tak, to jeszcze będę pytał! — rzekł rozochocony namiestnik.

I pytał:

— Zazulu nieboże, a siła mieć będziem chłopczy-sków?

Kukułka, jakby zamówiona, zaraz poczęła odpo-wiadać i wykukała, ni mniej ni więcej, jak dwanaście.

Pan Skrzetuski nie posiadał się z radości.

— Ot, starostą zostanę, jak mnie Bóg miły! Sły-szałaś waćpanna? he?

— Zgoła nie słyszałam—odpowiedziała czerwona jak wiśnia Helena—nawet nie wiem, o coś pytał.

— To może powtórzyć?

— I tego nie trzeba.

Na takich rozmowach i zabawach zeszedł im dzień jak sen. Wieczorem nadeszła chwila czulego, dłu-giego pożegnania—i namiestnik ruszył ku Czehrynowi.

## ROZDZIAŁ VIII.

---

W Czehrynie zastał pan Skrzetuski starego Zaćwilichowskiego w wielkiem wzruszeniu i gorączce; wyglądał on niecierpliwie książęcego posłańca, bo z Sicy coraz groźniejsze dochodziły wieści. Nie ulegało już wątpliwości, że Chmielnicki gotował się zbrojną ręką swoich krzywd i dawnych kozackich przywilejów dochodzić. Zaćwilichowski miał o nim wiadomości, iż w Krymie bawił u chana, zebrząc pomocy tatarskiej, z którą już lada dzień był w Sicy spodziewany. Gotowała się tedy walnia z Niżu do Rzeczypospolitej wyprawa, która przy pomocy tatarskiej mogła być zgubną. Burza rysowała się coraz bliżej, wyraźniej, straszniej. Już nie głuche, nieokreślone trwogi przebiegały Ukrainę, ale poprostu pewność rzezi i wojny. Hetman wielki, który z początku niewiele sobie z całej sprawy robił, przysunął się teraz z wojskiem do Czerkas; wysunięte placówki wojsk koronnych dochodziły aż do Czehryna, a to głównie, by zbiegowstwo powstrzymać, kozacy bowiem grodowi i czerń masami poczęli na Sicz uciekać. Szlachta kupiła się po miastach. Mó-wiono, że pospolite ruszenie ma być w południowych województwach ogłoszone. Niektórzy też i nie czeka-



jąc na wici odsyłali żony i dzieci do zamków, a sami ciągnęli pod Czerkasy. Nieszczęsna Ukraina rozdzieliła się na dwie połowy; jedna spieszyła na Sicz, druga do obozu koronnego; jedna opowiadała się przy istniejącym porządku rzeczy, druga przy dzikiej swobodzie; jedna pragnęła zachować to, co było owocem wiekowej pracy, druga pragnęła jej owo dobro odjąć. Obie wkrótce miały bratnie ręce we własnych wnętrznościach ubroczyć. Straszliwy zatarg, zanim wyszukał sobie hasel religijnych, które dla Niżu obce były zupełnie, zrywał się jako wojna socyalna.

Ale jakkolwiek czarne chmury skłębiły się na widnokregu ukraińskim, jakkolwiek padała od nich noc złowroga, jakkolwiek we wnętrzu ich kłębiło się i huczało, a grzmoty przewalały się z końca w koniec, ludzie nie zdawali sobie jeszcze sprawy, do jakiego stopnia burza się rozpęta. Może nie zdawał sobie z tego sprawy i sam Chmielnicki, który tymczasem słał listy do pana Krakowskiego, do komisarza kozackiego i do chorążego koronnego, pełne skarg i biadań, a zarazem zaklęć wierności dla Władysława IV i Rzplitej. Chciał-li zyskać na czasie, czy też przypuszczał, że jaki układ może jeszcze koniec zatargowi położyć? różni różnie sądzili—dwóch tylko ludzi nie łudziło się ani przez jedną godzinę.

Ludźmi tymi byli Zaćwilichowski i stary Barabas.

Stary pułkownik odebrał również list od Chmielnickiego. List był szyderyczy, groźny i pełen obelg. „Zacniemy z całym wojskiem zaporozkiem — pisał Chmielnicki — gorąco prosić i apelować, by stało się zadość onym przywilejom, które wasza miłość u siebie taileś. A żeś je taił dla własnych korzyści i pożytków,

przeto całe wojsko zaporozkie czyni cię godnym pułkownikować owcom, albo świniom, nie ludziom. Ja zaś proszę o przebaczenie waszej miłości, jeżeli w czym mu nie wygodziłem w ubogim domu moim w Czehrynie, na prazniku św. Mikołaja — i zem odjechał na Zaporozie bez wiadomości i pozwolenia.”

— Patrzcie waszmościowie — mówił do Zaćwilichowskiego i Skrzetuskiego Barabasza—jak to naigrawa się ze mnie, a przecież jam to go wojny uczył i prawie ojcem mu byłem.

— Zapowiada tedy, że z całym wojskiem zaporozkiem upominać się o przywileje będzie—rzekł Zaćwilichowski. — Wojna to jest poprostu domowa, od wszystkich wojen straszniejsza.

Na to Skrzetuski:

— Widzę, że mi się trzeba śpieszyć; dajcie mi waszmościowie listy do tych, z którymi w komitywę wejść mi przyjdzie.

— Do atamana koszowego masz waść?

— Mam od samego księcia.

— Dam ci tedy do jednego kurzeniowego, a imię Barabasza ma tam też krewniaka Barabasza; od nich dowiesz się wszystkiego. Ale kto wie, czy to już nie zapóźno na takową ekspedycją. Chce ksiązę wiedzieć, co tam naprawdę słyhać?—krótka odpowiedź: źle słyhać! a chce wiedzieć, czego się trzymać?—krótka rada: zebrać jaknajwięcej wojska i z hetmany się połączyć.

— To pchnijcie do księcia gońca z odpowiedzią i radą—rzekł pan Skrzetuski.—Ja muszę jechać, bom tam posłan i decyzji ksiązęcej zmieniać nie mogę.

— A czy wiesz waść, że to okrutnie niebezpieczna wyprawa?—rzekł Zaćwilichowski. — Tu już lud

tak wzburzony, że osiedzieć się trudno. Gdyby nie bliskość koronnego wojska, czerń rzuciłaby się na nas. A cóż dopiero tam! Leziesz jakoby smokowi w gardło.

— Mości chorąży! Jonasz był już w brzuchu wielorybim, nie w gardle, a za pomocą Bożą wylał zdrowo.

— Jedź tedy. Chwałę twoją rezolucją. Do Kudaku możesz wać dojechać bezpiecznie, tam się rozpatrzysz, co ci dalej czynić przystoi. Grodzicki stary żołnierz, on najlepsze da ci instrukcye. A do księcia ja sam pewnie ruszę; jeśli się mam bić na swoje stare lata, to wolę pod nim, niż pod kim innym. Tymczasem bajdak albo dombazę i przewoźników dla waści przygotuję, którzy cię do Kudaku zawiozą.

Skrzetuski wyszedł i udał się prosto do swojej kwatery na rynek, do domu księcia, by ostatnie poczynić przygotowania. Mimo niebezpieczeństw tej podróży, o których mu prawił Zaćwilichowski, namiestnik nie bez pewnego ukontentowania myślał o niej. Miał zobaczyć Dniepr w całej niemal długości, aż do Niżu, i porohy, a była to dla ówczesnego rycerstwa ziemia jakby zaczarowana, tajemnicza, do której ciągnął wszelki duch przygód chciwy. Niejeden całe życie na Ukrainie strawił, a nie mógł się pochwalić, by Sicz widział — chyba żeby chciał zapisać się do bractwa, a do tego mniej już między szlachtą było ochotników. Czasy Samka Zborowskiego przeszły i nie miały wrócić więcej. Rozbrat między Siczą a Rzeczpospolitą, który powstał za czasów Nalewajki i Pawluka, nie tylko nie ustawał, ale zwiększał się coraz bardziej i napływ na Sicz herbowego ludu, nie tylko polskiego ale i ruskiego, nieróżniącego się od niżowców ni mową

ni wiara, znacznie był mniejszy. Tacy Bułyhowie Kurcewiczowie nie wielu znajdowali naśladowców; w ogóle na Niż, do bractwa, gnało teraz szlachtę chyba nieszczęście, banicya, słowem winy do odpokutowania niepodobne.

To też jakaś tajemnica nieprzenikniona, jako mgły dnieprowe, otoczyła drapieżną niżową rzeczpospolitą. Opowiadano o niej cuda, które pan Skrzetuski własnemi oczyma ciekaw był oglądać.

Nie spodziewał się też, co prawda, ztamtąd nie wrócić. Co poseł, to poseł, zwłaszcza od księcia Jeremiego.

Tak rozmyślając, wyglądał przez okno ze swej kwatery na rynek. Tymczasem upłynęła jedna godzina i druga, gdy nagle Skrzetuskiemu wydało się, że spostrzega dwie jakieś znane postacie, zmierzające ku Dzwonieckiemu kątowi, gdzie był sklep wołocha Dopuły.

Przypatrzył się pilniej: był-to pan Zagłoba z Bohunem.

Szli, trzymając się pod ręce, i wkrótce znikli w ciemnych drzwiach, nad którymi sterczała wiecha, oznaczająca szynk i winiarnię.

Namiestnika zdziwiła i bytność Bohuna w Czehrynie i przyjaźń jego z panem Zagłobą.

— Rzędzian! sam tu!—zawołał na pachółka.

Pacholek ukazał się we drzwiach przyległej izby.

— Słuchaj-no, Rzędzian, pójdziesz do winiarni, ot tam pod wiechę; znajdziesz tam grubego szlachcica z dziurą w czele i powiesz mu, że ktoś, co ma pilną do niego sprawę, chce go widzieć. A jeśliby pytał kto, nie mów.

Rzędzian skoczył i po jakimś czasie namiestnik ujrzał go wracającego w towarzystwie pana Zagłoby.

— Witaj waszmość — rzekł pan Skrzetuski, gdy szlachcic ukazał się we drzwiach izby—czy mnie sobie przypominasz?

— Czy sobie przypominam? Niechże mnie tatarzy na łój przetopią i świece ze mnie do meczetów porobią, jeśli zapomniiał. Waść to kilka miesięcy temu otworzyłeś drzwi u Dopuła Czaplińskim, co mnie szczególnie do smaku przypadło, gdyż takim samym sposobem uwolniłem się raz z więzienia w Stambule. A co porabia pan Powsinoga herbu Zerwipludry, razem ze swoją innocencyą i mieczem? Czy zawsze mu wróble na głowie siadają, biorąc go za uschłe drzewo?

— Pan Podbipięta zdrow i kazał się kłaniać waszmości.

— Wielce to jest bogaty szlachcic, ale srodze głupi. Jeśli zetnie takie trzy głowy, jak jego własna, to mu to uczyni dopiero półtorej, bo zetnie trzech półgłówek. Tfu! jakie gorąco, choć to dopiero marzec. Język w gardle zasycha.

— Mam ja trojniak bardzo przedni, może waść kusztyczek pozwoli?

— Kiep odmawia, gdy nie kiep prosi. Właśnie mi cyrulik miód pić zalecił, żeby mi melankolią od głowy odciągnęło. Ciężkie-bo to czasy na szlachtę się zbliżają: *dies irae et calamitatis*. Czapliński zdechł ze strachu, do Dopuła nie chodzi, bo tam starszyzna kozacka pije. Ja jeden stawiam mężnie czoło niebezpieczeństwu i dotrzymuję onym pułkownikom kompanii, choć ich pułkownictwo dziegiem śmierdzi. Dobry miód! istotnie bardzo przedni! Zkąd go waść masz?

— Z Łubniów. To dużo starszyny tu jest?

— Kogo tu niema? Fedor Jakubowicz jest, stary Filon Dziedziała jest, Daniel Neczaj jest, a z nimi ich oczko w głowie, Bohun, który stał mi się przyjacielem od czasu, jakem go przepił i obiecałem go adoptować. Wszyscy oni śmierdzą teraz w Czehrynie i patrzą, w którą stronę się obrócić, bo nie śmiają jeszcze otwarcie przy Chmielnickim się opowiedzieć. Ale jeśli się nie opowiedzą, to będzie moja zasługa.

— A to jakim sposobem?

— Bo pijąc z nimi, dla Rzeczypospolitej ich kaptuję i do wierności namawiam. Jeśli król nie da mnie za to starostwa, to wierzaj waćpan, niema justycyi w tej Rzeczypospolitej, ani rekompensy dla zasług, i lepiej pono kury sadzać, niż głowę *pro publico bono* narażać.

— Lepiejbyś waćpan narażał bijąc się z nimi, ale widzi mi się, że pieniądze tylko próżno wyrzucasz na traktamenty, bo tą drogą ich nie skaptujesz.

— Ja pieniądze wyrzucam? Za kogo mnie waszmość masz? To niedość, że pospolituję się z chamami, żebym jeszcze za nich miał płacić? Za fawor to uważam, że im pozwalam płacić za siebie.

— A ów-że Bohun, co tu porabia?

— On? Nadstawia ucha, co od Siczy słyhać, jak i inni. Poto tu przybył. To kochanek wszystkich kozaków. Wdzięczą się oni do niego nakształt małpów, bo to jest pewna, że Perejasławski pułk za nim, nie za Łobodą pójdzie. A kto wie także, za kim rejestrowi Krzczowskiego pociągną? Brat Bohun niżowcom, jak trzeba iść na turka lub tatarą, ale teraz bardzo kalkuluje, bo mi po pijanemu wyznał, iż się w szlachciance kocha i chce się z nią żenić, przeto nie wypada mu

w wigilią ślubu z chłopą się bratać. Toć on chce, bym go adoptował i do herbu przypuścił. Bardzo przedni ten waszmościów trojniak!

— Wypij-że waść jeszcze.

— Wypiję, wypiję. Nie pod wiechami to taki trojniak przedają.

— Nie pytałeś się też wasze, jak się nazywa owa szlachcianka, z którą Bohun chce się żenić?

— Mospanie, a co mnie obchodzi jej nazwisko? Wiem tylko, że jak Bohunowi rogi przypawię, to się będzie nazywać pani jeleniowa.

Namiestnik uczuł nagle wielką ochotę trzepnąć w ucho pana Zagłobę, ten zaś, nie spostrzegłszy się na niczem, mówił dalej:

— Za młodych lat był ze mnie gładysz nielada. Żebym tylko waści opowiedział, za co palmę w Galacie otrzymałem! Widzisz tę dziurę na mojem czele? Dość gdy ci powiem, że mi ją rzezańcy w seraju tamiecznego baszy wybili.

— A mówiłeś, że kula rozbójnicka?

— Mówiłem? Tom dobrze mówił! każdy tureczyn rozbójnik—tak mnie panie Boże dopomóż!

Dalszą rozmowę przerwało wejście Zaćwilichowskiego.

— No, mości namiestniku—rzekł stary chorąży—bajdaki gotowe, przewoźników masz ludzi pewnych: ruszaj-że w imię Boże, choćby i zaraz. A oto listy.

— To każę ludziom zaraz ruszać na brzeg.

— A gdzie waść się wybierasz — spytał pan Zagłoba.

— Do Kudaku.

— Gorąco tam ci będzie.

Alę namiestnik nie słyszał już przepowiedni, bo wyszedł z izby na podwórzec, gdzie przy koniach stali semenowie, prawie już gotowi do podróży.

— Na koń i na brzeg! — zakomenderował p. Skrzetuski. — Konie wprowadzać na statki i czekać na mnie!

Tymczasem w izbie stary chorąży rzekł do Zagłoby:

— Słyszałem, że podobno waść teraz pułkownikom kozackim dworujesz i z nimi pijesz.

— *Pro publico bono*, mości chorąży.

— Obrotny masz waść dowcip i podobno od wstydu większy. Chcesz sobie kozaków *in poculis* skoninkować, by przyjaciołmi ci byli w razie zwycięstwa.

— Choćbym też, będąc męczennikiem tureckim, nie chciał zostać i kozackim, nie byłoby nic dziwnego, bo dwa grzyby mogą najlepszy barszcz popsować. A co do wstydu, nikogo nie zapraszam, by go pił ze mną — sam go wypiję, i da Bóg, że mi nie będzie gorzej od tego miodu smakował. Zasługa, jako olej, musi na wierzch wypłynąć.

W tej chwili wrócił Skrzetuski.

— Ludzie już ruszają — rzekł.

Zaćwilichowski nalał miarkę:

— Za szczęśliwą podróż!

— I zdrowy powrót! — dodał pan Zagłoba.

— Będzie się wam dobrze jechało, bo woda ogromna.

— Siadajcie waszmościowie, wypijem resztę. Nie wielki to antałek.

Siedli i pili.

— Ciekawy kraj waść zobaczysz — mówił Zaćwilichowski. — A kłaniaj się panu Grodziekiemu w Kuda.



ku! Ej, żołnierz-to, żołnierz! Na końcu świata siedzi, daleko od hetmańskich oczu, a porządek u niego taki, że daj Boże w całej Rzeczypospolitej podobny. Znam ja dobrze Kudak i porohy. Za dawnych lat częściej się tam jeździło, i aż duszy smutno, gdy się pomyśli, że to przeszło, minęło, a teraz...

Tu chorąży wsparł mleczną głowę na rękę i zadumał się głęboko. Nastąpiła chwila ciszy, słychać było tylko tupot koński w bramie, bo ostatek ludzi pana Skrzetuskiego wyjeżdżał na brzeg ku bajdakom.

— Mój Boże—mówił, ocknąwszy się z zadumy, Zaćwilichowski—a jednak dawniej, choć i wśród rozterek, lepsze bywały czasy. Ot pamiętam jak dziś, pod Chocimiem, dwadzieścia siedem lat temu! Gdy husaryja szła pod Lubomirskim do ataku na janczarów, to mołojcy w swoim okopie rzucali czapki w górę i krzyczeli, aż ziemia drżała, do Sahajdacznego: „puskaj bat'ku z lachami umiraty!” A dziś co? Dziś Niż, który winien być przedmurzem chrześcijaństwa, puszcza tatarów w granice Rzeczypospolitej, by się na nich rzucić dopiero wtedy, gdy z łupem będą wracać. Dziś gorzej: bo oto Chmielnicki łączy się wprost z tatarami, z którymi chrześcijan będzie do kompanii mordował...

— Wypijmy na ten smutek! — przerwał Zagłoba.—Co to za trojniak!

— Dajże Boże jaknajprędzej mogiłę, by na wojnę domową nie patrzeć—mówił dalej stary chorąży.—Wspólne winy mają się we krwi obmywać, aleć nie będzie to krew odkupienia, boć tu i brat brata będzie mordował. Kto na Nizu? rusini, a kto w wojsku księcia Jaremy? Kto w pocztach pańskich? rusini. A małż ich w obozie koronnym? A ja sam, kto taki? Hej, nie-

szczęsna Ukraino! krymscy poganie włożą ci łańcuch na szyję i na galerach tureckich wiosłować będziesz!

— Nie biadajcież tak, mości chorąży! — rzecze pan Skrzetuski—bo już chyba śluzę z oczu nam pójdą. Może też jeszcze pogodne słońce nam zaświeci!

Ale słońce zachodziło właśnie, a ostatnie jego promienie padały czerwonym blaskiem na białe włosy chorążego.

W mieście dzwöniono na anioł pański i na pochwalnię.

Wyszli. Pan Skrzetuski poszedł do kościoła, pan Zaćwilichowski do cerkwi, a pan Zagłoba do Dopuły w Dzwoniecki kąt.

Ciemno już było, gdy się znowu zesli nad brzegiem taśminowej przystani. Ludzie pana Skrzetuskiego siedzieli już w bajdakach. Przewoźnicy wnosili jeszcze ładunki. Zimny wiatr ciągnął od poblizkiego ujścia do Dniepru i noc obiecywała być nie zbyt pogodna. Przy świetle ognia, palącego się nad brzegiem, woda rzeki połyskiwała krwawo i zdawała się z niezmierną chyżością uciekać gdzieś w nieznaną ciemność.

— No, szczęśliwej drogi! — mówił chorąży, ścisnąc serdecznie dłoń młodzieńca. — A pilnuj się waść!

— Nie zaniecham niczego. Bóg da, że niedługo się zobaczymy.

— Chyba w Łubniach, albo w obozie książęcym.

— To waszmość już koniecznie do księcia?

Zaćwilichowski podniósł ramiona w górę.

— A co mnie? kiedy wojna, to wojna!

— Zostawajże waszmość w dobrem zdrowiu, mości chorąży.

— Niechże cię Bóg strzeże!

— *Vive, valeque!*— wołał Zagłoba. — A jeśli woda aż do Stambułu waści zaniesie, to kłaniaj się sultanowi Albo też: jechał go sęk! Bardzo to zacny był trojniak! Brr! jak tu zimno!

— Do widziska!

— Do obaczyska!

— Niech Bóg prowadził!

Zaskrzypiały wiosła i plusnęły o wodę, bajdaki popłynęły. Ogień palący się na brzegu począł oddać się szybko. Przez długi czas Skrzetuski widział jeszcze sędziwą postać chorążego, oświeconą płomieniem stosu, i jakiś smutek ścisnął mu nagle serce. Niesie go ta woda, niesie, ale oddala od serc życzliwych i od ukochanej, od krain znanych; niesie go nieubłaganie, jak przeznaczenie, ale w dzikie strony, w ciemność...

Wyłynęli z ujścia taśminowego na Dniepr.

Wiatr świstał, wiosła wydawały plusk jednostajny a smutny. Przewoźnicy zaczęli śpiewać:

„Oj to te pili, pilili,  
Ne tumany, ustawili.”

Skrzetuski obwinął się w burkę i położył na posłaniu, które umościli dla niego żołnierze. Począł myśleć o Helenie, o tem, że ona dotąd nie w Łubniach, że Bohun został, a on odjeżdża. Obawa, złe przeczucia, troski obsiadły go, jak kruki. Począł mocować się z niemi, aż się znużył, myśli mu się mąciły, zmieszaly jakoś dziwnie z poświstem wiatru, z pluskiem wiosła, z pieśniami rybaków—i usnął.

## ROZDZIAŁ IX.

---

Nazajutrz zbudził się świeży, zdrów i z weselszą myślą. Pogoda była cudna. Szeroko rozlane wody marszczyły się w drobne zmarszczki od lekkiego i ciepłego powiewu.

Brzegi były w tumanie i zlewały się z płaszczyzną wód w jedną nieprzejrzaną równinę. Rzędzian, zbudziwszy się i przetarłszy oczy, aż się przestraszył. Spojrzał zdziwionemi oczyma dookoła, a nie widząc nigdzie brzegu, rzekł:

— O dla Boga! mój jegomość, to my już chyba na morzu jesteście..,

— Rzeka to tak potężna, nie morze—odpowiedział Skrzetuski—a brzegi zobaczysz, gdy mgła opadnie.

— Myślę, że niedługo już nam i na turecką wędrować przyjdzie.

— Powędrujemy, jeśli nam każą; widzisz zresztą, że nie sami płyniemy.

Jakoż w promieniu oka widać było kilkanaście bajdaków, dombaz czyli tumbasów—i wąskich, czarnych czółen kozackich, obszytych sitowiem, a zwanych popolicie czajkami. Jedne z tych statków płynęły z wodą, unoszone bystrym prądem, inne piły się pracowicie

w górę rzeki, wspomagane wiosłami i żaglem. Wiozły one rybę, wosk, sól i suszone wiśnie do miast brzegowych, lub też wracały z okolic zamieszkałych, obładowane zapasami, żywności dla Kudaku i towarem, który chętny znajdował pokup na Kramnym bazarze w Siczy. Brzegi dniewprowe były już od ujścia Pszoły zupełną pustynią, na której gdzieniegdzie tylko bieleły kozackie zimowniki, ale rzeka stanowiła gościniec, łączący Sicz z resztą świata, więc też i ruch bywał na niej dość znaczny, zwłaszcza, gdy przybór wody ułatwiał żeglugę i gdy nawet Porohy, prócz Nienasytca, stawały się dla statków idących w dół rzeki możliwe do przebycia.

Namiestnik przypatrywał się z ciekawością temu życiu rzecznemu, a tymczasem bajdaki jego mknęły szybko ku Kudakowi. Mgła opadła, brzegi zarysowały się wyraźnie. Nad głowami płynących ulatywały miliony ptactwa wodnego, pelikanów, dzikich gęsi, żorawi, kaczek i czajek, kulonów i rybitew; w oczeretach przybrzeżnych słychać było taki gwar, takie kotłowanie się wody i szum skrzydeł, że rzekłbyś, iż odbywają się tam sejmy lub wojny ptasie

Brzegi za Krzemieńczugiem stały się niższe i otwarte.

— Patrz-żo jegomość! — wykrzyknął nagle Rzędzian — dyć to niby to słońce piecze, a śnieg leży na polach.

Skrzetuski spojrział: istotnie, jak okiem sięgnął, jakiś biały pokład błyszczał w promieniach słońca po obu stronach rzeki.

— Hej, starszy! a co to się tam bieli? — spytał rotmana.

— Wiszni, pane! — odpowiedział starszy.

Były to istotnie lasy wiśniowe, złożone z karłowatych drzew, któremi oba brzegi szeroko były za ujęciem Pszoły porośnięte. Owoc ich słodki i wielki dostarczał jesienią pożywienia ptactwu, zwierzętom i ludziom zbłąkanym w pustyni, a zarazem stanowił przedmiot handlu, który wożono bajdakami aż do Kijowa i dalej. Teraz lasy osypane były kwieciami. Gdy zbliżyli się do brzegu, by ludziom wioślującym dać wypoczynek, namiestnik z Rzędzianem wysiedli, chcąc się bliżej owym gajom przypatrzeć. Ogarnął ich tak upajający zapach, iż zaledwie mogli oddychać. Mnóstwo płatków leżało już na ziemi. Miejscami drzewka stanowiły gąszcz nieprzenikniony. Między wiśniami rosły także obficie dzikie karłowate migdały, okryte kwieciami różowem, wydającym jeszcze silniejszy zapach. Miliony trzmiełów, pszczoł i barwnych motylów unosiły się nad owym pstrem morzem kwiatów, którego końca nie można było dojrzeć.

— Cuda to, panie, cuda — mówił Rzędzian. — I czemu tu ludzie nie mieszkają? Zwierza tu także widzę dostatek.

Jakoż między krzakami wiśniowemi zmykały zające szare, białe i niezliczone stada wielkich, błękitnonych przepiórek, których kilka Rzędzian z guldynki ustrzelił, ale ku wielkiemu umartwieniu dowiedział się potem od starszego, że mięso ich jest trucizną.

Na miękkiej ziemi widać też było ślady jeleni i suhaków, a zdala dochodziły odgłosy podobne do rechtania dzikich świń.

Podróżnicy, napatrzywszy się i odpocząwszy, ruszyli dalej. Brzegi, to wznosiły się, to stawały się

plaskie, odkrywając widok na śliczne dąbrowy, lasy, uroczyska, mogiły i rozłożyste stopy. Okolica wydawała się tak przepyszna, że Skrzetuski mimo woli powtarzał sobie pytanie Rzędziana: czemu tu ludzie nie mieszkają? Ale na to trzeba było, by jaki drugi Jeremi Wiśniowiecki objął te pustynie, urządził i bronił od napadów tatarów i niżowych. Miejscami rzeka tworzyła łachy, zakręty, zalewała jary, biła spienioną falą o skały brzeżne i wypełniała wodą ciemne jaskinie skalne. W takich to jaskiniach i zakrętach bywały kryjówki i schowania kozacze. Ujścia rzek, pokryte lasem sitowia, oczeretów i szuwarów, aż czerniły się od mnogości ptactwa, słowem: świat dziki, przepaścisty, miejscami zapadły a puisty i tajemniczy, roztoczył się przed oczyma naszych wędrowców.

Żegluga stała się przykrą, bo z powodu ciepłego dnia pokazywały się roje zjadliwych komarów i rozmaitych nieznanych na suchym stepie insektów, a niektóre z nich na palec grube, ciurkiem krew po ukąszeniu puszczały.

Wieczorem przybyli do wyspy Romanówki, której ognie zdaleka było widać, i zatrzymali się na nocleg. Rybacy, którzy przybiegli popatrzeć na poczet namiestnika, mieli koszule, twarz i ręce całkiem pomazane dziegciem dla obrony od ukąszeń. Byli to ludzie grubych obyczajów i dzicy: na wiosnę zjeżdżali się tu tłumnie dla połowu i wędzenia ryb, które potem rozwozili do Czernihyna, Czerkas, Perejasławia i Kijowa. Rzemiosło ich było trudne, ale zyskowne z powodu obfitości ryb, które latem stawały się nawet klęską tych okolic, zdychając howielem dla braku wody po łachach i tak zwanych „cichych kątach,” zarażały zgnilizną powietrze.

Dowiedział się od rybaków namiestnik, że wszyscy niżowcy, którzy również zajmowali się tu połowem, od kilku dni opuścili wyspę i udali się na Niż, wezwani przez atamana koszowego. Co noc też widywano z wyspy ognie, które palili na stepie zbiegowie, na Sicz podążający. Rybacy wiedzieli, że gotuje się wyprawa „na lachiw,” i wcale nie ukrywali się z tem przed namiestnikiem. Widział tedy pan Skrzetuski, że jego ekspedycya może istotnie jest spóźnioną, może nim dojedzie do Siczy, pułki mołojców ruszą już na północ, ale kazano mu jechać, więc jako prawy żołnierz nie rozumował i postanowił dotrzeć choćby w środek zaporożkiego obozu.

Nazajutrz rano wyruszyli w dalszą drogę. Pominęli cudny Tareński róg, Suchą górę i Koński ostróg, sławny ze swoich bagien i mnóstwa gadzin, które go niezdatnym do mieszkania czyniły. Wszystko tu już, i dzikość okolicy, i zwiększony pęd wód, zwiastowało bliskość porohów. Aż wreszcie wieża kudacka zarysowała się na widnokręgu — pierwsza część podróży była skończona.

Namiestnik jednak nie dostał się tego wieczora do zamku, bo pan Grodzicki zaprowadził taki porządek, że gdy przed zachodem słońca wybito hasło, nie wpuszczano nikogo z zamku i do zamku, i gdyby nawet sam król przyjechał, musiałby nocować w Słobódce, stojącej pod wałami fortecy.

Tak też uczynił i namiestnik. Nocleg to był niezbyt wygodny, bo chaty w Słobódce, których znajdowało się ze sześćdziesiąt, ulepione z gliny, tak były szczupłe, iż do niektórych okrakiem trzeba było wlaźć. Innych też nie opłacało się budować, bo je forteca



za każdym napadem tatarskim w perzynę obracała, a to dlatego, by nie dawały napastnikom zasłony i bezpiecznego do wałów przystępu. Mieszkali w onej Słobódce ludzie „zachozi,” to jest przybłędowie z Polski, Rusi, Krymu i Wołoszy. Każdy tu był niemal innej wiary, ale tam o to nikt nie pytał. Gruntów nie wyrabiali dla niebezpieczeństwa od Ordy, żywili się rybą i zbożem dostawianem z Ukrainy, pili palankę z prosa, a trudnili się rzemiosłami, dla których w zamku ich ceniono.

Namiestnik oka prawie zmrzyć nie mógł dla nieznośnego zapachu końskich skór, z których rzemienie w Słobódce wyprawiano. Nazajutrz, świtaniem, jak tylko wydzwoniono i na trąbach wygrano „rozbudzenie,” dał znać do zamku, iż poseł książęcy przybył i prosi o przyjęcie. Grodzicki, który świeżo miał w pamięci wizytę książęcą, sam na jego spotkanie wyszedł. Był to człowiek pięćdziesięcioletni, jednooki, jak cyklop, posepny, bo siedząc w pustyni na końcu świata i nie widując ludzi, zdziczał, a sprawując nieograniczoną władzę, nabrał powagi i surowości. Twarz mu przytem zeszcpeciła ospa, a ozdobiły nacięcia szabel i blizny od strzał tatarskich, podobne do białych piętn na ciemnej skórze. Był to jednak żołnierz szczery, czujny, jak zóraw, który ustawicznie oczy miał w stronę tatarów i kozaków wyteżone. Pijał tylko wodę, nie sypiał jak siedm godzin na dobę, częstokroć zrywał się w nocy, by obaczyć, czy strażę dobrze wałów pilnują, i za najmniejsze niedbalstwo porywał na śmierć żołnierzy. Dla kozaków wyrozumiały, choć groźny, zyskał sobie ich szacunek. Gdy zimą głodno bywało na Siczy, zbożem ich wspomagał. Był to rusin, pokroju tych, którzy swego

czasu z Przeclawem Lanckorońskim i Samkiem Zborowskim w stepy chodzili.

— To tedy waszmość na Sicz jedziesz? — pytał Skrzetuskiego, wprowadziwszy go poprzednio do zamku i ucztowawszy gościnnie.

— Na Sicz. Jakie waszmość, mości komendancie, masz ztamtąd nowiny?

— Wojna! Ataman koszowy ze wszystkich ługów, rzeczek i wysp ściąga kozaków. Zbiegi z Ukrainy idą, którym przeszkadzam, jak mogę. Wojska tam już jest na trzydzieści tysięcy, albo i więcej. Gdy na Ukrainę ruszą, gdy się z nimi grodowi kozacy i czerń połączą, będzie ich sto tysięcy.

— A Chmielnicki?

— Lada dzień z Krymu z tatarami spodziewany. Może już jest; prawdę rzec, niepotrzebnie waszmość do Siczy chcesz jechać, bo wkrótce tu ich się doczekasz; że zaś Kudaku nie miną, ani go za sobą nie zostawią, to pewno.

— A obronisz się waszmość?

Grodzicki popatrzył na namiestnika posepnie i odrzekł dobitnym, spokojnym głosem:

— A ja się nie obronię...

— Jakto?

— Bo prochów nie mam. Mało dwadzieścia czółen posłałem, by mi choć trochę przysłano — i nie przysłano. Nie wiem-li: przejęto gońców — czy sami nie mają — wiem, że dotąd nie przysłano. Mam na dwa tygodnie — na dłużej nie. Gdybym miał dosyć, pierwejbym Kudak i siebie w powietrze wysadził, nimby tu noga kozacza postąpiła. Kazano mi tu leżeć — leżę, kazano czuwać — czuwam, kazano zęby wyszczerzać — wyszczerzam, a gdy zginąć przyjdzie — raz maty rodyła — i to potrafię.

— A samże waszmość nie możesz prochów robić?

— Od dwóch już miesięcy zaporożcy saletry mi nie puszczaają, którą od Czarnego morza przywozić trzeba. Wszystko jedno. Zginę!

— Uczyć się nam od was starych żołnierów. A gdybyś sam waszmość po prochy ruszył?

— Mosanie, ja Kudaku nie zostawię i zostawić nie mogę; tu mi było życie, tu niech śmierć będzie. Waść nie myśl także, że na bankiety i wspaniałe recepcye jedziesz, jakimi gdzieindziej posłów witają, albo że cię tam godność poselska osłoni. Toż oni własnych atamanów mordują, i od czasu, jak tu siedzę, nie pamiętam, by który zczelz swoją śmiercią. Zginiesz i ty.

Skrzetuski milczał.

— Widzę, że duch w waćpanu gaśnie. To lepiej nie jedź.

— Mój mości komendancie — rzekł na to z gniewem namiestnik — wymyśl że co lepszego, by mnie przstraszyć, bo to, co mi powiadasz, jużem słyszał z dziecięć razy, a kiedy mi radzisz nie jechać, to widzę, sambyś na mojem miejscu nie jechał — zważ przeto, czy ci nietylko prochów, ale i fantazyi do obrony Kudaku nie zbraknie.

Grodzicki, zamiast się rozgniewać, spojrział jaśniej na namiestnika.

— Zubastaja szczuka! — mruknął po rusińsku. — Przebacz mi waszmość. Z odpowiedzi twojej miarkuję, że potrafisz dignitatem księcia i stanu szlacheckiego utrzymać. Dam ci tedy parę czajek, bo bajdakami porohów nie przejedziesz.

— O to też przybyłem prosić waszmości.

— Koło Nienasytca każesz je łądem ciągnąć, bo choć woda duża, ale tam nigdy przejechać nie można. Ledwie się jakie małe czółenko przemknie. A gdy już będziesz na niskich wodach, tedy się pilnuj, by cię nie zaskoczono, i pamiętaj, że żelazo a ołów od słów wymowniejsze. Tam tylko śmiałych ludzi cenia. Czajki będą na jutro gotowe, każę tylko drugie rudle poprzyprawiać, bo jednego na porohach mało.

To rzekłszy, Grodzicki wyprowadził z izby namiestnika, by mu zamek i jego porządki pokazać. Wszędy panował wzorowy ład i karność. Straże dniem i nocą gęsto czuwały na wałach, które jeńcy tatarscy musieli bez przestanku wzmacniać i poprawiać.

— Corok na łokieć wyżej wału sypię — rzekł pan Grodzicki — to też tak już urósł, że gdybym miał prochów dostatek, i we sto tysięcy nicby mi nie zrobili; ale bez strzelby nie obronię, gdy przemoc przyjdzie.

Forteca była istotnie nie do zdobycia, bo prócz armat, broniły jej dniewprowe przepaście i niedostępne skały, pionowo zeskakujące w wodę; nie potrzebowała nawet wielkiej załogi. To też w zamku nie stało więcej nad sześćset ludzi, ale zato co najprzebrańszego żołnierza, uzbrojonego w muszkiety i samopaly. Dniepr, płynąc w tem miejscu ściśniętem korytem, tak był wązki, że rzucona z wałów strzała przelatywała daleko na drugi brzeg. Działa zamkowe panowały nad oboma brzegami i nad całą okolicą. Prócz tego o pół mili od zamku stała wysoka wieża, z której ośm mil w około widać było, a w niej stu żołnierzy, do których pan Grodzicki każdego dnia zaglądał. Ci, spostrzegłszy w okolicy lud jaki, dawali natychmiast znać do zamku, a wówczas bito w dzwony i cała załoga wnet stawała pod bronią.

— Prawie tygodnia niema—mówił p. Grodzicki— bez jakowegoś alarmu, bo tatarzy, jak wilki stadami, często po kilka tysięcy tu się włóczą, których z dział strychujemy jak można, a częstokroć tabuny dzikich koni strażę biorą za tatarów.

— I nie przykrzy się waszmości siedzieć na takim bezludziu? — pytał pan Skrzetuski.

— Choćby mi też na pokojach królewskich miejsce dano, tobym tu wolał. Więcej ja ztąd świata widzę, niżeli król ze swego okna w Warszawie.

Jakoż istotnie z wałów widać było niezmierną przestrzeń stepów, które teraz wydawały się jednym morzem zieloności; na północ ujście Samary, a na południe cały bieg dniewowy, skały, przepaście, lasy, aż do pian drugiego porohu, Surskiego.

Pod wieczór zwiedzili jeszcze wieżę, gdyż Skrzetuski, pierwszy raz widząc tę zaginioną w stepach fortecę, wszystkiego był ciekawy. Tymczasem przygotowywano dla niego w Słobódce czajki, które opatrzone rudlami po obu końcach, stawały się zwrotniejsze. Nazajutrz rankiem miał wyruszyć. Ale przez noc nie kładł się prawie wcale spać, rozmyślając, co mu czynić przystoi w obec niechybnej zguby, którą mu groziło posłowanie do straszliwej Siczy. Życie uśmiechało mu się wprawdzie, bo był młody, i kochał, i miał żyć obok ukochanej: wszelako od życia więcej honor i sławę kochał. Ale przyszło mu do głowy, że wojna bliska, że Helena, czekając na niego w Rozłogach, może być ogarnięta najokropniejszym pożarem, wystawiona na zapędy, nietylko Bohuna, ale rozpętanej i dzikiej czerni, więc duszę porywała mu trwoga o nią i ból. Stepy musiały już podeschnąć, możnaby już pewno do Łu-

bniów z Rozłogów jechać, a tymczasem on sam kazał Helenie i kniahini na swój powrót czekać, bo nie spodziewał się, by burza mogła wybuchnąć tak prędko, nie wiedział, czem grozi jazda do Siczy. Chodził więc teraz szybkimi krokami po zamkowej izbie, brodę targał i ręce łamał. Co miał począć, jak postąpić? W myśli widział już Rozłogi w ogniu, otoczone wyjąca czernią, więcej do szatanów, niż do ludzi podobną. Własne jego kroki odbijały się posępny echem pod sklepieniem zamkowem, a jemu wydało się, że to już złe moce po Helenę idą. Na wałach trąbiono gaszenie światła, a jemu zdało się, że to odgłos Bohunowego rogu, i zębami zgrzytał i za głównię szabli imał. Ach! czemuż-to on naparł się tej ekspedycyi i Bychowca jej pozbawił!

Zauważył tę alteracyą pana Rzędzian, śpiący w progu, więc wstał, oczy przetaił, objaśnił pochodnie palące się w żelaznych obręczach i począł kręcić się po komnacie, chcąc zwrócić uwagę pana.

Ale namiestnik utonął całkowicie w swoich bolesnych myślach i chodził dalej, budząc krokami uspięone echa.

— Jegomość! hej jegomość!... — rzekł Rzędzian.

Skrzetuski popatrzył na niego szklanym wzrokiem. Nagle zbudził się z zamyślenia.

— Rzędzian, boisz ty się śmierci? — spytał.

— Kogo? jakto śmierci? co jegomość mówi?

— Bo kto na Sicz jedzie, ten nie wraca.

— A to czemu jegomość jedzie?

— Moja wola, ty się w to nie wtrącaj, ale ciebie mi żal, boś dzieciuch, a chociażś frant, tam się frantostwem nie wykręcisz. Wracaj do Czebryna, a potem do Łubniów.

Rzędzian zaczął się drapać w głowę.

— Mój jegomość, juści śmierci się boję, bo ktoby się jej nie bał, toby się Boga nie bał, gdyż Jego-to wola żywić kogoś, albo umorzyć; ale skoro jegomość dobrowolnie na śmierć leziesz, to już jegomościem będziesz grzech, jako pana, nie mój, jako sługi, przeto ja jegomości nie opuszczę, bom też nie chłop żaden, jeno szlachcic, choć ubogi, ale też nie bez ambicyjey.

— Wiedziałem, żeś dobry pacholek, powiem ci jednak: nie chcesz po dobrej woli jechać, pojedziesz z rozkazu, bo już inaczej nie może być.

— Choćby mnie jegomość zabił, nie pojedę. Co to jegomość sobie myśli, że jest Judasz jaki, czy co, żebym jegomości miał na śmierć wydawać?

Tu Rzędzian podniósł ręce do oczu i począł buczeć głośno, widział więc pan Skrzetuski, że tą drogą do niego nie trafi, a rozkazywać groźnie nie chciał, bo mu było chłopca żal.

— Słuchaj — rzekł do niego — pomocy mi żadnej nie dasz, ja przecie także dobrowolnie głowy pod miecz kłaść nie będę, a do Rozłogów listy zawieszysz, na których mnie więcej, niż na samym żywocie zależy. Powiesz tam jejmości i kniaziom, by zaraz, bez najmniejszej zwłoki, panienkę do Łubniów odwieźli, bo ich inaczej rebelia zaskoczy — sam też dopilnujesz, by się to stało. Ważną ci funkcją powierzam, przyjaciela godną, nie sługi.

— To niech jegomość kogo innego wyszle; z listem każdy pojedzie.

— A kogo ja tu mam zaufanego? czyś zgłupiał! To ci powtarzam: uratuj mi podwakroć życie, a jeszcze mi takowej przysługi nie oddasz, gdyż w mece żyję.

mysząc, co może się stać, i od boleści skóra na mnie potnieje.

— O dla Boga! widzę, że muszę jechać, ale mi tak jegomości żal, że choćbyś mi jegomość ten kropiasty pas darował, zgołabym się nie pocieszył.

— Będiesz pas miał, jeno spraw się dobrze.

— Nie chcę i pasa, byleś mi jegomość jechać ze sobą dozwolił.

— Jutro wrócisz czajką, którą pan Grodzicki do Czehryna wysłał, dalej bez zwłoki ni odpoczynku ruszysz prosto do Rozłogów. Tam kniabinie nic nie mów, czy mi co grozi, ani panience, proś tylko, by zaraz choćby konno do Łubniów jechały, choćby bez tobołów żadnych. Oto masz trzos na drogę, listy zaraz ci napiszę.

Rzędzian padł do nóg namiestnika.

— Panie mój, zali nie mam cię ujrzeć więcej?

— Jak Bóg da, jak Bóg da!—odparł, podnosząc go, namiestnik — ale w Rozłogach wesołą twarz pokazuj. Teraz idź spać.

Reszta nocy zesła Skrzetuskiemu na pisaniu listów i żarliwej modlitwie, pó której zaraz przyleciał do niego anioł uspokojenia. Tymczasem noc zbladła i świt ubielił wazkie okienka od wschodu. Dniało — aż i różowe blaski wkradły się do komnaty. Na wieży i zamku poczęto grać poranne „wstawaj.” Wkrótce potem Grodzicki pojawił się w komnacie.

— Mości namiestniku, czajki gotowe.

— I jam też gotów — rzekł spokojnie Skrzetuski.



## ROZDZIAŁ X.



Lotne czajki mknęły z wodą jak jaskółki, niosąc młodego rycerza i jego losy. Z powodu wysokich wód, porohy nie przedstawiały wielkiego niebezpieczeństwa. Minęli Surski, Łochanny, szczęśliwa fala przerzuciła ich przez Woronową zaporę, zgrzytnęły trochę czółna na Kniażym i Strzelczym, ale jeno się otarły, nie rozbiły, aż wreszcie w oddali ujrzeli piany i wiry straszego Nienasytca. Tu już trzeba było wysiadać i czółna łodem ciągnąć. Praca długa i ciężka, zwykle zabierająca dzień cały. Na szczęście widocznie po dawnych przeprawach na całym brzegu leżało mnóstwo kłoców, które podkładano pod czółna, dla łatwiejszego toczenia ich po ziemi. W całej okolicy i na stepach nie było widać żywego ducha, na rzece ani jednej czajki, bo już nie mogły płynąć do Siczy inne, jak te jedynie, które pan Grodzicki przez Kudak przepuścił, a pan Grodzicki umyślnie odciął Zaporozie od reszty świata. Ciszę przerywał więc tylko huk fali o skały Nienasytca. Przez czas, gdy ludzie toczyli czółna, pan Skrzetuski przypatrywał się temu dziwowisku natury. Straszny widok uderzył jego oczy. Przez całą szerokość rzeki biegło w poprzek siedm grobel skalistych,

sterczących nad wodą, czarnych, poszarpanych przez fale, które powylały w nich jakoby bramy i przejścia. Rzeka całym ciężarem wód tłukła o owe groble i odbijała się o nie, więc rozszalała, wściekła, zbita na białą, spienioną miazgę, usiłowała je przeskoczyć, jak rumak rozhukany. Ale odparta raz jeszcze, nim mogła lunąć przez otwory, rzekłbyś, gryzła zębem skały, skręcała się w bezsilnym gniewie w potworne wiry, wybuchała słupami w górę, wrzała jak ukrop, ziała ze zmęczenia, jak dziki zwierz. A potem znów huk, jakby stu dział, wycie całych stad wilków, chrapanie, wysilenia i przy każdej grobli też sama walka, tenże sam zamęt. Nad otchłanią wrzask ptactwa, jakby przerażonego tym widokiem, między groblami posępne cienie skał, drgające na kołbani, nakształt złych duchów.

Ludzie ciągnący czółna, lubo przyzwyczajeni, żegnali się pobożnie, przestrzegając namiestnika, by się zbyt nie zbliżał do brzegu. Były bowiem podania, że kto zbyt długo patrzył na Nienasytec, ten w końcu ujrzał coś takiego, od czego rozum mu się mieszał; twierdzono również, że czasem z wirów wynurzały się czarne, długie ręce i chwyciły nieostrożnych, którzy zanadto się zbliżyli, a wtedy straszne śmiechy rozlegały się w przepaściach. Nocami nawet zaporożcy nie śmieli czółen przeciągać.

Do bractwa na Niżu nikt nie mógł być jako towarzysz przyjęty, kto porohów samotnie czółnem nie przebył, ale dla Nienasytea czyniono wyjątek, gdyż skały jego nigdy nie bywały zalewane. O jednym Bohunie ślepcy śpiewali, jakoby i przez Nienasytec się przekradł, wszelako nie dawano temu wiary.

Przeciąganie czółen zajęło blisko dzień czasu i słońce poczęło zachodzić, gdy namiestnik wsiadł znów do łodzi. Zato następne porohy przebyli z łatwością, bo całkiem były pokryte, i wreszcie wpłynęli na „ciche wody niżowe.”

Po drodze widział p. Skrzetuski na uroczyszczu kuczkasów olbrzymią mogiłę z białych kamieni, którą książę na pamiątkę swego pobytu kazał usypać, a o której pan Bogusław Maszkiewicz w Łubniach mu opowiadał. Do Siczy ztąd nie było już daleko, ale że namiestnik nie chciał nocą wjeżdżać w czartomelicki labirynt, postanowił więc zanocować na Chortycy.

Chciał także spotkać jaką żywą duszę zaporozką i dać uprzednio znać o sobie, by wiadano, iż posel, a nie kto inny przyjeżdża. Chortycyca jednak zdawała się być pustą, co niemało zdziwiło namiestnika, wiedział bowiem od Grodzickiego, że tam zawsze stawała załoga kozacka od inkursyi tatarskiej. Puścił się nawet sam z kilkoma ludźmi dość daleko od brzegu na zwiady, ale całej wyspy przejść nie mógł, miała bowiem przeszło milę długości, a noc zapadała już ciemna i niezbyt pogodna, wrócił więc do czajek, które tymczasem powyciągano na piasek i porozpalano ognie na nocleg od komarów.

Większa część nocy zeszła spokojnie. Semenowie i przewodnicy pośpili się przy ogniach — czuwały tylko strażę, a z nimi i namiestnik, którego od wyjazdu z Kudaku dręczyła straszna bezsenność. Czuł także, że trawi go gorączka. Chwilami zdawało mu się, że słyszy zbliżające się kroki z głębi wyspy, to znów jakieś dziwne odgłosy, podobne do odległego beczenia kóz. Ale myślał, że ucho go zwodzi.

Nagle, dobrze już ku świtanu, stanęła przed nim jakaś ciemna postać.

Był to czeladnik ze straży.

— Panie, idą! — rzekł pośpiesznie.

— Kto taki?

— Pewnie Niżowi: idzie ich ze czterdziestu.

— Dobrze. To nie wielu. Zbudź ludzi! Ognia podpalić!

Semenowie wnet porwali się na nogi. Podsycony płomień buchnął w górę i oświecił czajki i garść żołnierzy namiestnika. Inni strażnicy przybiegli również do koła.

Tymczasem nieregularne kroki gromady ludzi dawały się już rozróżnić wyraźnie, kroki te zatrzymały się w pewnym oddaleniu; natomiast jakiś głos spytał z akcentem groźby:

— A kto na brzegu?

— A wy kto? — odparł wachmistrz.

— Odpowiadaj, wraży synu, a nie, to z samopału zapytam!

— Jego wysokość pan poseł od J. O. księcia Jeremiego Wiśniowieckiego do atamana kozowego — wygłosił donośnie wachmistrz.

Głosy w gromadzie umilkły; widocznie trwała tam krótka narada.

— A chodź jeno sam tu! — zawołał wachmistrz; — nie bój się. Posłów nie biją, ale i posły nie biją!

Kroki znów ozwały się i po chwili kilkadziesiąt postaci wynurzyło się z cienia. Po śniadej cerze, niskim wzroście i kożuchach wełną do góry, namiestnik od pierwszego wejrzenia poznał, że po większej części byli to tatarzy; kozaków znajdowało się tylko kilkunastu.

Przez głowę pana Skrzetuskiego przeleciała jak błyskawica myśl, że skoro tatarzy są na Chortycy, więc Chmielnicki musiał już wrócić z Krymu.

Na czele gromady stał stary zaporoziec olbrzymiego wzrostu, o twarzy dzikiej i okrutnej. Ten, zbliżywszy się do ogniska, spytał:

— A który tu poseł?

Silny zapach gorzałki rozszedł się dookoła — zaporoziec był widocznie pijany.

— Który tu poseł? — powtórzył.

— Jam jest — rzekł dumnie pan Skrzetuski.

— Ty?

— A cóżem ci brat, że mnie „ty” mówisz?

— Znaj grubijanie politykę — poderwał wachmistrz — mówi się: Jaśnie wielmożny pan poseł!

— Na pohybel-że wam, czortowy syny! szczech was Sierpiahowa smert! jasno wielmożny syny. A wy poco do atamana?

— Nie twoja sprawa! wiedz jeno, że szyja twoja w tem, bym się do atamana najprędzej dostał.

W tej chwili drugi zaporoziec wysunął się z gromady.

— My tu z woli atamana — rzekł — pilnujem, by się nikt od „lachiw” nie zbliżał, a kto się zbliży, mamy wiązać i dostawiać, co też uczynim.

— Kto dobrowolnie jedzie, tego nie będziesz wiązał.

— Budu, bo takij nakaz.

— A wiesz, chłopie, co to osoba posła? a wiesz, kogo tu przedstawiam?

Wtem stary olbrzym przerwał:

— Zawedem posła, ale za borodu — ot tak!

To rzekłszy, sięgnął ręką do brody namiestnika. Ale w tej chwili jęknął i, jakby gromem rażony, zwałił się na ziemię.

Namiestnik roztrzaskał mu głowę czekanem.

— Koli, koli!—zawyły wściekle głosy w gromadzie. Semenowie książęcy sypnęli się na ratunek swego wodza, huknęły samopały, wrzaski: „koli! koli!” zwały się ze szczękiem żelaza. Wszczęła się bitwa bezładna. Zdeptane w zamieszaniu ogniska zgasły i ciemność ogarnęła walczących. Wkrótce jedni i drudzy zwarli się tak, że zbrakło miejsca do cięcia, a noże, pięści i zęby zastąpiły szable.

Nagle z głębi wyspy ozwały się liczne, nowe nawoływania i krzyki; napastnikom nadchodziła pomoc.

Chwila jeszcze, a byłaby przyszła zapóźno, gdyż karni semenowie brali już górę nad ciżbą.

— Do czółen!—krzyknął grzmiącym głosem namiestnik.

Pocztowi wykonali rozkaz w mgnieniu oka. Na nieszczęście czajki, zbyt silnie wciągnięte na piasek, nie dawały się teraz zepchnąć w wodę.

Tymczasem nieprzyjaciel skoczył z furją ku brzegowi.

— Ognia!—skomenderował pan Skrzetuski.

Salwa z muszkietów wnet powstrzymała napastników, którzy zmieszali się, skłębili i cofnęli w nieładzie, zostawiając kilkanaście ciał rozciągniętych na piasku; niektóre z tych ciał rzucały się konwulsyjnie, nakształt ryb wyłowionych z wody i porzuconych na brzegu.

Jednocześnie przewoźnicy, wspomagani przez kilkunastu semenów, wsparłszy wiosła o ziemię, doby-

wali ostatnich sił, by zepchnąć statki na wodę — ale napróżno.

Nieprzyjaciel rozpoczął atak zdaleka. Pluskanie kul po wodzie zmieszało się ze świstem strzał i jękami rannych.

Tatarzy, ałlachując coraz przeraźliwiej, zachęcali się wzajemnie; odpowiadały im krzyki kozaków: „koli! koli!” i spokojny głos pana Skrzetuskiego, powtarzający coraz częściej komendę:

— Ognia!

Pierwszy brzask oświecił bladym światłem walkę. Od strony lądu widać było ciżbę kozacką i tatarów, jednych z twarzami przy kolbach *piszczeli*, drugich przegiętych w tył i ciągnących ciężki łuków — od strony wody dwie czajki dymiące i świecące ustawicznymi salwami wystrzałów. W środku leżały ciała, spokojnie już poroziągane po piasku.

W jednym z członów stał pan Skrzetuski, wyższy nad innych, dumny, spokojny, z porucznikowskim buzdyanem w rękę i z gołą głową, bo mu strzała tatarska zerwała czapkę.

Wachmistrz zbliżył się ku niemu i szepnął:

— Panie, nie wytrzymamy—kupa zawielka!

Ale namiestnikowi chodziło już o to tylko, by poselstwo swoje krwią przypieczętować, pohańbienia godności nie dopuścić i zginać nie bez sławy. Dlatego też, podczas gdy semenowie poczynili sobie z worów z żywnością rodzaj zasłon, z poza których razili nieprzyjaciela, on stał widny i na pociski wystawiony.

— Dobrze!—rzekł—wyginiem do ostatniego.

— Wyginiem, bat'ku!—krzyknęli semenowie.

— Ognia!

Czajki znów zadymily. Z głębi wyspy poczęły napływać nowe tłumy zbrojne w spisy i kosy. Napastnicy rozdzielili się na dwie kupy. Jedna podtrzymywała ogień, druga, złożona z dwustu przeszło młojców i tatarów czekała tylko chwili stosownej do ręcznego ataku. Jednocześnie z szuwarów wyspy wysunęły się cztery czółna, które miały uderzyć na namiestnika z tyłu i z obu boków.

Zrobiło się już widno zupełnie. Dymy tylko porozciągały się długimi pasmami w spokojnem powietrzu i przesłaniały pobjowisko.

Namiestnik kazał zwrócić się dwudziestu semenom ku atakującym statkom, które, gnane wiosłami, pędziły z chyżością ptactwa po spokojnej wodzie rzecznej. Ogień, kierowany ku tatarom i kozakom, idącym z głębi wyspy, osłabł przez to znacznie.

Tego też zdawali się czekać.

Wachmistrz znów zbliżył się ku namiestnikowi.

— Panie! tatarzy biorą handzary w zęby; zaraz rzucą się na nas.

Jakoż trzystu blisko ordyńców z szablami w rękę, z nożami w zębach, gotowało się do ataku. Towarzystwo im kilkudziesięciu zaporózców zbrojnych w kosy.

Atak miał się rozpocząć ze wszystkich stron, bo napastnicze czółna przyplęły już na strzał. Boki ich zakwitły dymami. Kule jak grad poczęły się sypać na ludzi namiestnika. Obie czajki napelniły się jękami. Po upływie kilkunastu minut, połowa semenów poległa, reszta broniła się jeszcze rozpaczliwie. Twarze ich były zczerniałe od dymu, ręce ustawały, wzrok mącił się, krew zalewała oczy, rury muszkietów poczynaly parzyć dłonie. Większa część była rannych.



W tej chwili wrzask straszny i wycie rozdarło powietrze. To ordyńcy ruszyli do ataku.

Dymy, spędzone ruchem masy ciał, rozproszyły się nagle i odsłoniły oczom dwie czajki namiestnika, pokryte czarniawym tłumem tatarów, niby dwa trupy końskie, rozdierane przez stada wilków. Tłum ten parł, kotłował się, wylł, wspinał, zdawał się walczyć sam ze sobą i ginał. Kilkunastu semenów dawało jeszcze odpór, a pod masztem stał pan Skrzetuski, z zakrwawioną twarzą, ze strzałą utkwioną aż po brzechwę w lewem ramieniu, i bronił się z wściekłością. Postać jego wydawała się olbrzymią wśród otaczającego go tłumu, szabla migotała, jak błyskawica. Uderzeniom odpowiadały jęki i wycie. Wachmistrz z drugim semenem pilnowali mu obu boków i tłum cofał się chwilami z przerażeniem przed tą trójką, ale pchany z tyłu, pchał się sam i marł pod ciosami szabel.

— Żywych brać do atamana — wrzeszczały głosy w tłumie.—Poddaj się!

Ale pan Skrzetuski poddawał się już tylko Bogu, bo oto pobladł nagle, zachwiał się i runął na dno statku.

— Proszczaj bat'ku!—ryknął z rozpaczą wachmistrz.

Ale po chwili padł także. Ruchliwa masa napastników pokryła czajki zupełnie.

## ROZDZIAŁ XI.



W chacie kantarzeja <sup>1)</sup> wojskowego, na przedmieściu Hassan Basza w Siczy, siedziało przy stole dwóch zaporozców, pokrzepiając się palanką z prosa, którą czerpali ustawicznie z drewnianego szaflika, stojącego na środku stołu. Jeden, stary, już prawie zgrzybiały, był to Fyłyp Zachar, sam kantarzej, drugi Anton Tatarczuk, ataman czehryńskiego kurzenia, człowiek około lat czterdziestu, wysoki, silny, z dzikim wyrazem twarzy i skośnymi tatarskimi oczyma. Obaj mówili z sobą z cicha, jakby w obawie, żeby ich kto nie podsłuchał.

— Więc to dziś?—spytał kantarzej.

— Ledwie nie zaraz—odpowiedział Tatarczuk.—  
Czekają tylko na kozowego i Tuhaj-beja, który z samym Chmielem pojechał na Bazawłuk, bo tam stoi orda. Towarzystwo zebrało się już na majdanie, a kurzenio-  
wi jeszcze przed wieczorem zbiorą się na radę. Nim noc nastanie, będzie wszystko wiadomo.

---

<sup>1)</sup> Urzędnik wojskowy na Zaporozu, czuwający nad miarami i wagami w kramach, znajdujących się na tak zwanym Kra-  
mnym Bazarze w Siczy.

— Hm! może być źle! — mruknął stary Fylyp Zachar.

— Słysz, kantarzeju, a ty widział, że było pismo i do mnie?

— Juści widziałem, bom sam listy odnosił do koszowego, a jam człowiek piśmienny. Znaleźli przy lachu trzy pisma; jedno do samego koszowego, drugie do ciebie, trzecie do młodego Barabasza. Wszyscy już w Siczy wiedzą o tem.

— A kto pisał? nie wiesz?

— Do koszowego pisał ksiązę, bo na liście była pieczęć; kto do was, niewiadomo.

— Sochroni Bih!

— Jeźlić cię tam jawnie przyjacielem lachów nie nazywają, to nic nie będzie.

— Sochroni Bih!—powtórzył Tatarczuk.

— Widać się poczuwasz.

— Tfu! Do niczego się nie poczuwam.

— Może też koszowy wszystkie listy skreści, bo mu i o własny łeb chodzi. Było tak dobrze do niego pismo, jak do was.

— A może.

— Ale jeźli się poczuwasz, to...

Tu stary kantarzej zniżył głos jeszcze bardziej:

— Uchodź!

— Ale jak? i gdzie?—pytał niespokojnie Tatarczuk.—Koszowy na wszystkich ostrowach straż postawił, żeby się nikt do lachów nie wymknął i nie dał znać, co się dzieje. Na Bazawłuku pilnują tatarzy. Byba się nie przecisnie, ptak nie przeleci.

— To się skryj w samej Siczy, gdzie możesz.

— Znajdą. Chyba ty mnie schowasz między beczkami w bazarze? ty mój krewniak!

— I brata rodzonego nie schowałbym. Boisz się śmierci, to się upij; pijany ani poczujesz.

— A może w listach nic niema?

— Może...

— Ot bieda! ot bieda! — rzekł Tatarczuk. — Nie poczuwam się do niczego. Ja dobry mołojec, lachom wróg. Ale choćby i nic w liście nie było, czort wie, co lach powie przed radą? Może mnie zgubić.

— To serdyty lach; on nic nie powie!

— Byłeś dziś u niego?

— Byłem. Pomazałem mu rany dziegiem; nalałem gorzałki z popiołem w gardło. Będzie zdrów. To serdyty lach! Mówią, że tatarów narznął na Chortycy, nim go wzięli, jak świń. Ty o lacha bądź spokojny.

Ponury odgłos kotłów, w które bito na koszowym majdanie, przerwał dalszą rozmowę. Tatarczuk, usłyszawszy ten odgłos, drgnął i zerwał się na równe nogi. Nadzwyczajny niepokój malował się w jego twarzy i ruchach.

— Biją wezwanie na radę — rzekł, łowiąc ustami oddech. — Sochroni Bih! Ty, Fylyp, nie mów, o czym ja z tobą tu gadał. Sochroni Bih!

To rzekłszy, Tatarczuk chwycił szaflik z palanką, przechylił go obiema rękami do ust i pił, pił, jakby chciał się na śmierć zapieć.

— Chodźmy! — rzekł kantarzej.

Odgłos kotłów huczał coraz donośniej.

Wyszli. Przedmieście Hassan Basza oddzielone było od majdanu tylko wałem, opasującym kosz właściwy i bramą z wysoką basztą, na której widać by-

ło paszcze zatoczonych dział. W środku przedmieścia stał dom kantarzeja i chaty atamanów kramnych, naokół zaś dość obszernego placu szopy, w których mieściły się kramy. Były to w ogóle nędzne budowle, klecone z bierwion dębowych, których w obfitości dostarczała Chortyca, a poszyte gałęziami i oczeretem. Same chaty, nie wyłączając kantarzejowej, podobniejsze były do szałasów, bo tylko dachy ich wznosiły się nad ziemią. Dachy te były czarne i zakopcone, gdyż jeżeli w chacie palono ogień, dym wydobywał się nie tylko górnym otworem dachu, ale i przez całe poszycie, a wówczas można było mniemać, że to nie chata, jeno kupa gałęzi i oczeretów, w której wytapiają smołę. W chatach panowała wieczna ciemność, dlatego podtrzymywano w nich ustawicznie ogień z łuczywa i ze skarp dębowych. Szop kramnych było kilkadziesiąt i dzieliły się na kurzeniowe, to jest stanowiące własność pojedynczych kurzeniów, i gościnne, w których w chwilach spokoju handlowali niekiedy tatarzy i wołosi, jedni skórami, tkaninami wschodnimi, bronią i wszelkiego rodzaju zdobyczą, inni przeważnie winem. Ale gościnne kramy rzadko były zajęte, gdyż kupno zmieniało się najczęściej w tem dzikim gnieździe na rabunek, od którego kantarzej, ani kramni atamanowie, nie mogli tłumów powstrzymać. Między szopami stało także trzydzieści ośm szynków kurzeniowych, a przed nimi leżeli zawsze srod śmieci, wiórów, kłód dębowych i kup końskiego nawozu, półmartwi z przepicia się zaporożcy, jedni w kamiennym śnie pogrążeni, drudzy z pianą na ustach, w konwulsjach lub atakach delirium. Inni półpijani, wyjąc kozackie pieśni, spluwając, bijąc się lub całując, przeklinając kozaczy los, lub płacząc

na kozaczą biedę, deptali po głowach i piersiach leżących. Dopiero z chwilą, gdy wyruszała jaka wyprawa na tatarów lub Ruś, nakazywano trzeźwość i wówczas należących do wyprawy śmiercią karano za pijaństwo. Ale w zwykłych czasach, zwłaszcza na Kramnym bazarze, prawie wszyscy byli pijani: kantarzej i atamanowie kramni, sprzedający i kupujący. Kwaśny zapach nieszumowanej wódki, w połączeniu z zapachem smoły, ryb, dymu i końskich skór, nasyczał wiecznie powietrze na całym przedmieściu, które w ogóle pstrocizną kramów przypominało jakąś mieścinę turecką lub tatarską. Sprzedawano w nich wszystko, co się gdziekolwiek w Krymie, na Wołoszczyźnie lub wybrzeżach anatolskich dało zrabować. Więc jaskrawe tkaniny wschodnie, lamy, altembasy, złotogłowia, sukno, cyc, drelich i płótno, potrzebne działa spiżowe i żelazne, skóry, futra, suszoną rybę, wiśnie i bakalie tureckie, naczynia kościelne, mosiężne półksiężycy złupione z minaretów i pozłacane krzyże, zdarte z cerkwi <sup>1)</sup>, proch i broń sieczną, kije do spis i siodła. A między tą mieszaniną przedmiotów i barw kręcili się ludzie, poprzebierani w szczałki najrozmaitszej odzieży, latem półnaczy, zawsze półdzicy, okopceni od dymu, czarni, uwalani w błocie, pełni ciekących ran od ukąszeń olbrzymich komarów, których miryady unosiły się nad Czertomelikiem, i jako się rzekło wyżej: wiecznie pijani!

---

<sup>1)</sup> Zaporozcy w czasie swych napadów nie oszczędzali nikogo i niczego. Do czasów Chmielnickiego nie było wcale cerkwi w Sicy. Pierwszą właśnie Chmielnicki wystawił; nie pytano tam również nikogo o wyznanie i to, co opowiadają o religijnym nastroju Niżowców, jest bajką.

W tej chwili całe Hassan Basza jeszcze pełniejsze było ludzi, niż zwykle; zamykano kramy i szynki, wszyscy zaś śpieszyli na majdan siczowy, na którym miała się odbywać rada. Fyłyp Zachar i Anton Tarczuk szli z innymi, ale ten ostatni ociągał się, siedł leniwo i pozwalał się wyprzedzać tłumom. Coraz żywszy niepokój malował się w jego twarzy. Tymczasem przeszli przez most na fosie, następnie przez bramę i znaleźli się na obszernym obronnym majdanie, otoczonym przez trzydzieści ośm wielkich drewnianych budynków. Były to kurzenie, a raczej domy kurzeniowe, rodzaj koszar wojskowych, w których mieszkali kozacy. Kurzenie owe, jednej wielkości i miary, niczem nie różniły się od siebie, chyba nazwami, przybranymi od rozmaitych miast ukraińskich, od których brały nazwę także i pułki. W jednym kącie majdanu wznosił się dom radny; zasiadali w nim atamani pod wodzą koszowego, tłumy zaś, czyli tak zwane „towarzystwo“ obradowało pod gołym niebem, wysyłając co chwila deputacye do starszyzny, a czasem wdzierając się gwałtem do radnego domu i terroryzując obrady.

Na majdanie ciżba już była ogromna, poprzednio bowiem ataman koszowy pościagał do Siczy wszystkie wojska rozproszone po wyspach, rzeczkach i „ługach,” *towarzystwo* zatem było liczniejsze, niż zwykle. Słońce kłoniło się ku zachodowi, więc wcześniej zapalono kilkanaście beczek ze smołą; tu i owdzie stały także beczki z wódką, które każdy kurzeń dla siebie wytaczał, a które niemało dodawały energii obradom. Porządku między kurzeniami pilnowali esaulowie, zbrojni w tęgie kije dębowe, dla hamowania obradujących, i w pisto-

lety, dla obrony własnego życia, które często bywało w niebezpieczeństwie.

Fylyp Zachar i Tatarczuk weszli prosto do domu obrad, gdyż jeden jako kantarzej, drugi jako ataman kurzeniowy, mieli prawo zasiadać między starszyzną. W izbie radnej był tylko jeden mały stół, przed którym siedział pisarz wojskowy. Atamanowie i koszowy mieli swoje miejsca na skórach pod ścianami. Ale w tej chwili miejsca nie były jeszcze zajęte. Koszowy chodził wielkimi krokami po izbie, kurzeniowi zaś, zebrani w małe gromadki, rozmawiali z cicha, przerywając sobie kiedy niekiedy głośniejszemi klątwami. Tatarczuk zauważył, że znajomi nawet i przyjaciele udają, iż go nie widzą, zbliżył się przeto zaraz do młodego Barabasa, który mniej więcej w takim samym był położeniu. Inni spoglądali na nich z podełbów, z czego młody Barabasz niewiele sobie robił, nie rozumiejąc dobrze, o co idzie. Był-to człowiek wielkiej piękności i nadzwyczajnej siły, której jedynie zawdzięczał swój stopień kurzeniowego atamana, bo zresztą słynął w całej Siczy ze swej głupoty. Zjednała mu ona przydomek Durnego atamana i przywilej budzenia śmiechów każdym słowem między starszyzną.

— Poczekawszy trochę, taj może i pójdziem z kamieniem u szyi w wodę! — szepnął mu Tatarczuk.

— A poco? — spytał Barabasz.

— A to nie wiesz o listach?

— Trastia joho maty mordowała! Czy to ja pisałem jakie listy?

— Obacz, jak spoglądają na nas z podełbów.

— Kołyb ja kotroho w łob, toby nie patrzył, boby mu ślepie wypłynęły.



Tymczasem krzyki z zewnątrz dały znać, że coś zaszło. Jakoż drzwi izby radnej otwarły się szeroko i wszedł Chmielnicki z Tuhaj-bejem. Ich-to witano tak radośnie. Kilka miesięcy temu, Tuhaj-bej, jako najwaleczniejszy z murzów i postrach niżowców, był przedmiotem strasznej nienawiści w Siczy — teraz „towarzystwo” rzucało czapki w górę na jego widok, uważając go jako dobrego przyjaciela Chmielnickiego i zaporoźców.

Tuhaj-bej wszedł naprzód, a za nim Chmielnicki z buławą w ręku, jako hetman wojsk zaporozkich. Godność tę piastował od czasu, jak wrócił z Krymu, z wyjednaniami od chana posiłkami. Tłumy porwały go wówczas na ręce i odbiwszy skarbnicę wojskową, przyniosły mu buławę, chorągiew i pieczęć, które zwykle przed hetmanem noszono. To też zmienił się niemało. Widać było, że nosił w sobie straszną siłę całego Zaporozża. Nie był-to już Chmielnicki pokrzywdzony, uciekający na Sicz przez Dzikie pola, ale Chmielnicki hetman, krwawy duch, olbrzym, mściciel własnej krzywdy na milionach.

A jednak nie zerwał łańcuchów, włożył tylko nowe, cięższe. Widać to było z jego stosunku z Tuhaj-bejem. Ten hetman Zaporozża w sercu Zaporozża brał drugie miejsce za tatarom, znosił w pokorze jego dumę i pogardliwe nad wszelki wyraz obejście. Był-to stosunek lennika do zwierzchniego pana. Ale tak musiało być. Chmielnicki cały swój kredyt u kozaków zawdzięczał tatarom i sance chanowej, której przedstawicielem był dziki i wściekły Tuhaj-bej. Ale Chmielnicki umiał godzić dumę rozsądzającą mu pierś z pokorą, tak dobrze jak odwagę z chytrnością. Był to lew i lis, orzeł i wąż. Pierwszy

to raz od początku kozaczyzny tatar poczynał sobie jak pan w środku Siczy — ale takie czasy przysły. „Towarzystwo” rzuciło przecie czapki w górę na widok pohańca. Takie czasy nadeszły.

Narada się rozpoczęła. Tuhaj-bej zasiadł w środku, na grubszym pęku skór, i podwinąwszy nogi, począł gryźć suszone ziarenka słoneczników i wypluwać żółte skorupki przed siebie na środek izby. Po prawej jego stronie zasiadł Chmielnicki z buławą, po lewej kozowy, a ataman i deputacya od „towarzystwa” dalej, pod ścianami. Uciszyły się rozmowy, z zewnątrz tylko przychodził gwar i głuchy szum tłuszczy, obradującej pod gołym niebem, podobny do szumu fal. Chmielnicki począł mówić: <sup>1)</sup>

— Moście panowie! Z łaski, przychylności, i „dyskrecyi” najjaśniejszego carza krymskiego, pana wielu ludów, pokrewnego ciałom niebieskim, z pozwolenia miłościwego króla polskiego Władysława, naszego pana, i dobrej ochoty odważnych wojsk zaporozkich, ufni w naszą niewinność i sprawiedliwość Bożą, idziemy pomścić strasznych i okrutnych krzywd naszych, które po chrześcijańsku cierpieliśmy, pókiśmy mogli, od nieszczerych lachów, komisarzy, starostów i ekonomów, całej szlachty i żydów. Nad którymi krzywdami jużście moście-panowie i całe wojsko zaporozkie wiele łez wyleli i mnie dlatego buławę dali, abym się za niewinność naszą i całych wojsk snadniej mógł upominać. Co ja uważając za wielką łaskę moście-panów

---

<sup>1)</sup> Sposób obradowania na Siczy opisany jest w dyaryuszu Eryka Lassoty, posła cesarskiego na Zaporozże w r. 1594.

dobrodziei moich, najjaśniejszego carza o pomoc prosić jechałem, którą nam ofiarował. Ale będąc w gotowości i ochocie, niemalom się zasmucił, słysząc, iż mogą być między nami zdrajcy, którzy z nieszczerymi lachami w komitywę wchodzą i o naszej gotowości im donoszą — co jeśliby tak było, tedy ukarani być mają, wedle woli i dyszkrecyi moście-panów. A my prosim, abyście listów wysłuchali, które tu poseł od *niedruga* naszego, księcia Wiśniowieckiego przywiózł, nie posłem, ale szpiegiem będąc i gotowość naszą i dobrą ochotę Tuhaj-beja, naszego przyjaciela, chcąc podpatrzeć i przed lachami zdradzić. Co abyście także osądzili, jeśli ma być ukarany, jak i ci, do których listy przywiózł, a o których koszowy, jako wierny przyjaciel mój, Tuhaj-beja i całego wojska, zaraz nas uwiadomił.

Chmielnicki umilkł; gwar za oknami powiększał się coraz bardziej, więc pisarz wojskowy wstał i zaczął czytać naprzód pismo książęce do koszowego atamana, zaczynające się od słów: „My po Bożej myłości, książ i hospodyn na Łubniach, Chorolu, Przyłuce, Hadziaczu etc., wojewoda ruski etc., starosta etc.” Pismo było czysto urzędowe. Książę, zasłyszawszy, iż wojska z „Ługów” są ściągane, pytał atamana, czyby to była prawda, i wzywał go zarazem, aby tego dla spokojności krajów chrześcijańskich zaniechał. Chmielnickiego zaś, jeśliby Sicz podburzał, aby komisarzom wydał, którzy sami się o to upomną. Drugi list był pana Grodzickiego, również do wielkiego atamana, trzeci i czwarty Zaćwilichowskiego i starego pułkownika czerkaskiego do Tatarczuka i Barabasza. We wszystkich nie znajdowało się nic, coby mogło poda-

wać w podejrzenie osoby, do których były adresowane. Zaćwilichowski prosił jedynie Tatarczuka, aby zaopiekował się oddawcą listu i aby ułatwił mu wszystko, czegoby poseł zażądał.

Tatarczuk odetchnął.

— Co mówicie, moście panowie, o tych pismach?— spytał Chmielnicki.

Kozacy milczeli. Wszelkie obrady, dopóki wódka nie rozgrzała głów, zaczynały się zawsze w ten sposób, iż żaden z atamanów nie chciał pierwszy głosu zabrać. Jako ludzie prości a chytry, czynili to głównie z obawy wyrwania się z głupstwem, któreby mogło wnioskodawcę na śmiech narazić, lub zjednać mu na całe życie szydery przydomek. Bo tak i bywało w Sicz, gdzie wśród największego prostactwa, zmysł do przedrwiwania niesłychanie był rozwinięty, również jak obawa przed szyderstwem.

Kozacy tedy milczeli. Chmielnicki znowu głos zabrał:

— Ataman koszowy brat nasz i szczerzy przyjaciel. Ja atamanowi tak wierzę, jak duszy własnej, a ktoby co innego powiadał, tenby sam zdradę zamyslał. Ataman stary druh i żołnierz.

To rzekłszy, wstał i ucałował koszowego.

— Moście panowie!— rzekł na to koszowy — ja wojska ściagam, a hetman niech prowadzi; co do posła, kiedy go do mnie przysłali, to on mój, a kiedy mój, to wam go daruję.

— Wy, moście panowie deputacya, pokłońcie się atamanowi — rzekł Chmielnicki—bo on sprawiedliwy człowiek, i idźcie powiedzieć „towarzystwu,” że jeśli to jest zdrajca, to nie on zdrajca; on pierwszy strażę

postawił, on sam kazał łapać zdrajców, coby do lachów szli. Wy, panowie deputacya, powiedzcie, że nie on zdrajca, że on najlepszy z nas wszystkich.

Panowie-deputacya pokłonili się w pas naprzód Tuhaj-bejowi, który przez cały czas z największą obojętnością żuł swoje ziarnka słoneczników, następnie Chmielnickiemu, koszowemu—i wyszli z izby.

Po chwili wrzaski radosne za oknami dały znać, że deputacya spełniła polecenie.

— Niech żyje nasz koszowy! niech żyje koszowy!—wołały chrapliwe głosy z taką siłą, że aż ściany izby zdawały się drżeć w posadach.

Jednocześnie huknęły wystrzały z samopałów i piszczeli.

Deputacya wróciła i znowu zasiadła w kącie izby.

— Moście panowie!—rzekł Chmielnicki, gdy uciszyło się cokolwiek za oknami. Już wy mądrze osądzili, że koszowy ataman człowiek sprawiedliwy. Ale jeśli ataman nie zdrajca, to kto zdrajca? Kto ma przyjaciół między lachami, z kim oni w konszachy wchodzą, do kogo listy pisują? komu osobę posła zlecają? kto zdrajca?

To mówiąc, Chmielnicki podnosił głos coraz wyżej i strzygł złowrogo oczyma w stronę Tatarczuka i młodego Barabasza, jakby chciał ich wskazać wyraźnie. W izbie powstał szmer, kilka głosów zaczęło wołać: „Barabasza i Tatarczuk!” Niektórzy kurzeniowi powstali z miejsc, między deputacyą dały się słyszeć wołania: „na pohybel!”

Tatarczuk zbladł, a młody Barabasza zaczął spoglądać zdumionemi oczyma po obecnych. Leniwa myśl

jego siliła się przez niejaki czas odgadnąć, za co go oskarżają, nakoniec rzekł:

— Ne bude sobaka miasa isty!

To rzekłszy, wybuchnął śmiechem idioty, a za nim i inni. I nagle większa część kurzeniowych poczęła się śmiać dziko, sama nie wiedząc dlaczego.

Z za okna dochodziły krzyki coraz głośniejsze: widać tam wódka poczęła rozgrzewać już głowy. Szum fali ludzkiej potęgował z każdą chwilą.

Ale Anton Tatarczuk wstał i zwróciwszy się do Chmielnickiego, począł mówić:

— Co ja wam zrobił, mości hetmanie zaporozki, że na śmierć moję nastajecie? W czym ja wam winien? Pisał do mnie komisar Zaćwilichowski list — taj co? To i kniaź pisał do kozowego. A czy ja odebrał list? Nie! A jakby odebrał, tak coby zrobił? Ot poszedłby do *pysara* i kazałby sobie przeczytać, *bo ni pysaty, ni czytaty ne umiju*. I wyby zawsze wiedzieli, co w liście. A lacha ja i na oczy nie widział. Tak czy ja zdrajca? Hej, bracia zaporozcy, Tatarczuk chodził z wami do Krymu, a jak chodzili na Wołoszę, to chodził na Wołoszę; jak chodzili pod Smoleńsk, to chodził pod Smoleńsk, bił się z wami, dobrymi mołojcami, żył z wami, dobrymi mołojcami—i krew przelewał z wami, dobrymi mołojcami — i głodem marł z wami, dobrymi mołojcami, tak on nie lach, nie zdrajca, ale kozak, wasz brat, a jeśli pan hetman na śmierć jego nastaje, to niech powie, czemu nastaje! Co ja mu zrobił, w czym nieszczerość okazał?—a wy, bracia, pomilujcie i sądzcie sprawiedliwie!

— Tatarczuk dobry mołojec! Tatarczuk sprawiedliwy człowiek!—ozwało się kilka głosów.

— Ty Tatarczuk dobry mołojec—rzekł Chmielnicki — i ja na ciebie nie nastaję, boś ty mój druh i nie lach, ale kozak, nasz brat. Bo gdyby lach był zdrajca, to jabym się nie smucił i nie płakał, ale jeśli dobry mołojec zdrajca, mój druh zdrajca, to mnie ciężko na sercu i żal dobrego mołojca. A skoroś w Krymie, i na Wołoszy, i pod Smoleńskiem bywał, to jeszcze większy twój grzech, żeś teraz nieszczerze chciał gotowość i ochotę wojsk zaporozkich przed lachem zdradzić! Tobie pisali, byś ty mu ułatwił, czego by zażądał, a powiedzcie, moście panowie atamani, czego by lach mógł żądać? Czy nie śmierci mojej i mojego życzliwego przyjaciela Tuhaj-beja? Czy nie zguby wojsk zaporozkich? Tak ty Tatarczuk winien i już niczego innego nie dokążesz. A do Barabasza pisał stryj jego, pułkownik czerkaski, Czaplinskiemu druh i lachom druh, który przywileje u siebie chował, by ich wojsko zaporozkie nie dostało, co gdy tak jest, a knę się Bogiem, że nie inaczej jest, więc wy oba winni i proście pomilowania atamanów, a ja z wami prosić będę, chociaż ciężka wasza wina i zdrada jawna.

Tymczasem z za okna dochodził już nie szum i gwar, ale jakby łoskot jaki burzy. Towarzystwo chciało wiedzieć, co się dzieje w izbie radnej i wysłało nową deputacyą.

Tatarczuk poczuł, że jest zgubiony. Teraz przypomniał sobie, że tydzień temu przemawiał wśród atamanów przeciw oddaniu buławy Chmielnickiemu i przymierzu z tatarami. Zimne krople potu wystąpiły mu na czoło: zrozumiał, że już niema ratunku. Co do młodego Barabasza, jasnym było, iż gubiąc go, Chmielnicki chciał zemścić się nad starym pułkownikiem

czerkaskim, który synowca swego kochał głęboko. Jednakże Tatarczuk nie chciał umierać. Nie bladłby on przed szablą, przed kulą, nawet przed palem — ale śmierć taka, jaka go czekała, przerażała go do szpiku kości, więc korzystając z chwili ciszy, która zapanowała po słowach Chmielnickiego, krzyknął przeraźliwie:

— Na imię Chrysta! bracia atamany, druhy serdeczne, nie gubcie niewinnego, toż ja lacha nie widział, nie gadał z nim! Pomilujcie, bracia! Nie wiem, czegooby lach odemnie chciał, spytajcie go sami! Ja klnę się Chrystem, Spasem, Świętą Przczystą, Świętym Mikołajem cudotwórcą, świętym Michałem Archaniołem, że duszę niewinną zgubicie!

— Przeprowadzić lacha! — zawołał starszy kantarzej.

— Lacha tu, lacha! — wołali kurzeniowi.

Wszczęło się zamieszanie; jedni rzucili się do przyległej izby, w której więzień był zamknięty, by przywieść go przed radę, inni zbliżali się groźnie do Tatarczuka i Barabasza. Pierwszy Hładki, ataman mirgorodzkiego kurzenia, krzyknął: „na pohybel!” Deputacya powtórzyła okrzyk, Czarnota zaś skoczył ku drzwiom i otworzywszy je, wołał do zgromadzonego tłumu:

— Moście panowie towarzystwo, Tatarczuk zdrajca i Barabasz zdrajca — na pohybel im!

Tłuszcza odpowiedziała wyciem straszliwem. W izbie wszczęło się zamieszanie. Wszyscy kurzeniowi powstali ze swych miejsc. Jedni wołali: „lacha! lacha!” inni starali się rozruch uciszyć, a wtem drzwi pod naciskiem tłumu roztworzyły się na oścież i do środka wpadła tłuszcza, obradująca na dworze. Straszliwe



postacie, upojone wściekłością, napełniły izbę, wrzeszcząc, wywijając rękoma, zgrzytając zębami i zionąc zapach gorzałki: „Śmert Tatarczuku! i Barabasz na pohybel! Dawajcie zdrajców! na majdan z nimi!“ krzyczały pijane głosy. „Bij! ubij!” i setki rąk wyciągnęły się w tej chwili po nieszczęsne ofiary. Tatarczuk nie stawiał oporu, jęczał tylko przeraźliwie, ale młody Barabasz począł bronić się ze straszną siłą. Zrozumiał nakoniec, że go chcą zamordować; strach, rozpacz i wściekłość odbiły się na jego twarzy; piana okryła mu wargi, z piersi wydobył się ryk zwierzęcy. Podwakroć wrywał się z rąk oprawców i po dwakroć ręce ich chwytaly go za ramiona, za piersi, za brodę i oseledec; on szamotał się, kąsał, ryczał, upadał na ziemię i znów podnosił się okrwawiony, straszny. Podarto na nim ubranie, wyrwano mu oseledec z głowy, wybito oko, nakoniec przygniecionemu do ściany złamano rękę. Wówczas padł. Oprawcy porwali go za nogi i wraz z Tatarczukiem wywlekli na majdan. Tam dopiero, przy blasku smolistych beczek i stosów ognia, rozpoczęła się doraźna egzekucya. Kilka tysięcy ludzi rzuciło się na skazanych i darło ich w sztuki, wyjąc i walcząc ze sobą o przystęp do ofiar. Deptano ich nogami, wrywano kawały ciała; ciżba tłoczyła się koło nich tym strasznym, konwulsyjnym ruchem rozszalałych mas. Chwilowo krwawe ręce podnosiły w górę dwie bezkształtne, niepodobne już do ludzkich postaci bryły, to znówu ciskano je na ziemię. Dalej stojący wrzeszczeli w niebogłosy, jedni, żeby wrzucić ofiary w wodę, drudzy, by je wtłoczyć w beczki palącej się smoły. Pijani rozpoczęli bójkę ze sobą. Z szaleństwa zapalono dwie kufy z wódką, które oświeciły tę piekielną sce-

nę drgającym błękitnem światłem. Z nieba patrzył na nią także księżyc cichy, jasny, pogodny.

Tak „towarzystwo“ karało swoich zdrajców.

A w izbie radnej, z chwilą jak kozactwo wywlekło za drzwi Tatarczuka i młodego Barabasza, ucieczyło się znowu i atamani zajęli dawne miejsca pod ścianami, bo z przyległego alkierza przyproawdzono więźnia.

Cień padał na jego twarz, gdyż i ogień na kominie przygasł—i w pół-szwietle widać było tylko wyniosłą postać, trzymającą się prosto i dumnie, choć ręce jej związane były łykiem. Ale Hładki dorzucił wiązkę łuczywa, po chwili bujny płomień strzelił w górę i oblał jasnem światłem oblicze więźnia, który zwrócił się ku Chmielnickiemu.

Ujrawszy go, Chmielnicki drgnął.

Więzień—był to pan Skrzetuski.

Tuhaj-boj wypluł łuskwiny słoneczników i mruknął po rusińsku:

— Ja toho lacha znaju—en buw u Krymu.

— Na pohybel mu!—zawołał Hładki.

— Na pohybel!—powtórzył Czarnota.

Chmielnicki opanował już wrażenie. Powiódł tylko oczyma po Hładkim i Czarnocie, którzy pod wpływem tego wzroku umilkli, następnie, zwróciwszy się do koszowego, rzekł:

— I ja jeho znaju.

— Ty zkad?—spytał koszowy Skrzetuskiego.

— W poselstwie jechał do ciebie, atamanie koszowy, gdy mnie zbójcy na Chortycy napadli i wbrew obyczajom, obserwowanym u najdzikszych narodów, ludzi mi wybili, a mnie, nie bacząc na godność mą poselską i urodzenie, zranili, znieważyli i jako jehca tu

przywiedli, o co pan mój J. O. książę Jeremi Wiśniowiecki będzie się umiał u ciebie, atamanie koszowy, upomnieć.

— A czego ty nieszczerosć swoją okazał? czemu ty dobrego mołojca obuchem rozszczył? czemu ty ludzi nabił, we czworo tyle, ile was wszystkich było? A tu z listem do mnie jechał, by na gotowość naszą spoglądać i lachom o niej donosić? Wiemy także, że ty i do zdrajców wojska zaporozkiego miał listy, aby z nimi zgubę wszystkiego wojska knować, zaczem nie jako poseł, ale jako zdrajca będziesz przyjęty i sprawiedliwie ukarany.

— Mylisz się, atamanie koszowy, i ty, mości hetmanie samozwańczy—rzekł namiestnik, zwracając się do Chmielnickiego. — Jeślim listy miał, to czyni tak każdy poseł, który w obce strony jedzie, że od znajomych do znajomych listy bierze, by i sam miał przez to komitywę. A jam tu jechał z pismem książęcem, nie zgubę waszę knować, ale od takowych was postępków powstrzymać, które nieznośny paroksyzm na Rzeczpospolitą, a na was i na całe wojsko zaporozkie ostatnią zagładę ściagną. Na kogóż to bowiem bezbożną rękę podnosicie? Przeciw komu, wy, co się obrońcami chrześcijaństwa nazywacie, z pogany przymierze czynicie? Przeciw królowi, przeciw stanowi szlacheckiemu i całej Rzeczypospolitej. Wy przeto, nie ja, zdrajcami jesteście i to wam powiadam, iż jeśli pokorą i posłuszeństwem nie zgładzicie win waszych, tedy biada wam! Zaliż dawne to czasy Pawluka i Nalewajki? Zali wyszła już wam z pamięci ich kara? Pomnijcie tedy, że patientia Rzeczypospolitej już wyczerpana i miecz wisi nad głowami waszemi.

— Łajesz, wraży synu, by się wykreścić i śmierci ujść! — zawołał koszowy — aleć ci nie pomoże ni groźba, ni wasza łacina lacka.

Inni też atamanowie poczęli zębami zgrzytać i trzaskać w szable, a pan Skrzetuski podniósł głowę jeszcze wyżej i tak mówił:

— Nie myśl, atamanie koszowy, bym się śmierci obawiał, albo żywota bronił, albo się z mej niewinności wywodził. Szlachcicem będąc, od równych tylko sobie sądzon być mogę i nie przed sędziami tu stoję, jeno przed zbrojcami; nie przed szlachtą, jeno przed chłopstwem; nie przed rycerstwem, jeno przed barbarzyństwem, i wiem dobrze, że się od śmierci nie wybiegam, którą wy też dopełnicie miary swej nieprawości. Przedemną jest śmierć i męka, ale za mną moc i zemsta całej Rzeczypospolitej, przed którą drżycie wszyscy.

Jakoż wyniosła postawa, wzniosłość mowy i imię Rzeczypospolitej, silne zrobiły wrażenie. Atamanowie spoglądali na siebie, milcząc. Przez chwilę wydało im się, że przed nimi stoi nie jeniec, ale groźny poseł potężnego narodu; Tuhaj-bej zaś mruknął:

— Serdytyj lach!

— Serdytyj lach!—powtórzył Chmielnicki.

Gwałtowne dobijanie się do drzwi przerwało dalszą ich rozmowę. Na majdanie egzekucya szczątek Tatarczuka i Barabasza była właśnie skończoną; towarzystwo wysłało nową deputacyą.

Kilkunastu kozaków okrwawionych, zziających, okrytych potem, pijanych, weszło do izby. Stanęli przy drzwiach i wyciągając ręce, jeszcze dymiące od krwi, poczęli mówić:

— Towarzystwo kłania się panom starszyźnie—  
tu pokłonili się wszyscy w pas—i prosi, żeby im wy-  
dać tego lacha, *szczob z nym poikrały, jak z Baraba-  
szom i Tatarczukom.*

— Wydać im lacha!—krzyknął Czarnota.

— Nie wydawać — wołał inny.—Niech czekają!

On poseł!

— Na pohybel mu!—ozwały się różne głosy.

Następnie ucichli wszyscy, czekając, co powiedzą  
koszowy i Chmielnicki.

— Towarzystwo prosi; a nie, to samo weźmie—  
powtórzyli deputaci.

Zdawało się, że pan Skrzetuski zgubiony jest  
bez ratunku, gdy wtem Chmielnicki pochylił się do  
ucha Tuhaj-beja.

— To twój jeniec—szepnął—jego tatarzy wzięli,  
on twój. Dasz li go sobie zabrać? To bogaty szlachcic,  
a i bez tego kniaź Jerema złotem za niego zapłaci.

— Dawajcie lacha!— wołali coraz groźniej kozacy.

Tuhaj-bej przeciągnął się na swoim siedzeniu  
i wstał. Twarz zmieniła mu się w jednej chwili, oczy  
rozszerzyły się, jak u źbika, zęby poczęły błyskać.  
Nagle skoczył jak tygrys przed mołojców, dopomina-  
jących się o jeńca.

— Precz, capy, psy niewierne! niewolnicy! swy-  
nojady!—ryknął, chwytając za brody dwóch zaporoz-  
ców i targając nimi z wściekłością — precz, pijanice,  
bydłęta nieczyste! gady plugawe! wy mnie jasyr za-  
bierać przyszli, a ot, ja wam tak! capy!—To mówiąc,  
targał za brody coraz innych mołojców, nakoniec zwa-  
liwszy jednego, począł go deptać nogami.—Na twarz,  
niewolnicy! bo was w jasyr zapędzę, bo Sicz całą no

gami tak zdepczę, jak was! z dymami puszcę, ścierwem waszem pokryję!

Deputaci cofali się przerażeni — straszliwy przyjaciel pokazał, co umie.

I dziwna rzecz: na Bazawłuku stało tylko sześć tysięcy Ordy! Prawda, że za nimi stał jeszcze chan z całą potęgą krymską, ale w samej Siczy było kilkanaście tysięcy mołojców, prócz tych, których Chmielnicki wysłał już na Tomakówkę — a jednakże, ani jeden głos protestacyi nie podniósł się przeciw Tuhaj-bejowi. Zdawaćby się mogło, że sposób, w jaki groźny murza obronił jeńca, był jedynie skuteczny, że trafił odrazu do przekonania zaporozców, którym tatarska pomoc była w tej chwili niezbędną. Deputacya wypadła na majdan, krzycząc do tłumów, że nie będą z lachem igrały, bo to jeniec Tuhaj-beja, a Tuhaj-bej, każe, rozserdywsia! „Brody nam powyrywał!“ wołali. Na majdanie też poczęto zaraz powtarzać: „Tuhaj-bej rozserdywsia! — „Rozserdywsia!“ — wołały żałośnie tłumy — „rozserdywsia! rozserdywsia!“ — a w kilka chwil jakiś przeraźliwy głos jął śpiewać koło ogniska:

Hej, hej!  
Tuhaj-bej  
Rozserdywsia duże,  
Hej, hej,  
Tuhaj-bej  
Ne serdysia druże!

Wnet tysiące głosów powtórzyło: „Hej-hej! Tuhaj-bej“ — i oto powstawała jedna z tych pieśni, które potem, rzekłbyś, wicher roznosił po całej Ukrainie i trącał niemi o struny lir i teorbanów.

Ale nagle i pieśń została przerwana, bo przez bramę, od strony Hassan-Basza, wpadło kilkunastu ludzi i przedzierając się przez tłum, krzycząc: „z drogi! z drogi!” dążyło co sił w stronę radnego domu. Atamaui zabierali się już do wyjścia, gdy nowi ci goście wpadli do izby.

— *Pyśmo* do hetmana! — wołał stary kozak.

— Zkąd wy?

— My czechryńcy. Dzień i noc z *pyśmom* jidem.

Oto jest.

Chmielnicki wziął list z rąk kozaka i począł czytać. Nagle twarz zmieniła mu się, przerwał czytanie i rzekł donośnym głosem:

— Moście panowie atamani! Hetman wielki wysła syna Stefana z wojskiem na nas. Wojna!

W izbie powstał dziwny szmer; niewiadomo, czy szmer radości, czy przerażenia. Chmielnicki wystąpił na środek izby, wsparł się pod boki, oczy jego miały błyskawice, a głos brzmiał groźnie i rozkazująco:

— Kurzeniowi do kurzeniów! Uderzyć z dział na wieży! Rozbić beczki z wódką! Jutro świtaniem ruszamy!

Od tej chwili kończyły się na Siczy obrady zbiorowe, rządy atamanów, sejmy i przewaga towarzystwa. Chmielnicki brał w ręce nieograniczoną władzę. Oto przed chwilą, z obawy aby głos jego nie został niewysłuchany przez burzliwe towarzystwo, musiał jeńca podstępem bronić i podstępem gubić niechętnych; teraz był panem życia i śmierci wszystkich. Tak zawsze bywało. Przed i po wyprawie, choćby hetman już był obrany, tłum narzucał jeszcze atamanom i koszowemu swoją wolę, której niebezpiecznie było się opierać.

Ale gdy tylko wyprawa została otrąbioną, towarzystwo stawało się wojskiem, podległem wojskowej dyscyplinie, kurzeniowi oficerami, a hetman wodzem-dyktatorem.

Dlatego też usłyszawszy rozkazy Chmielnickiego, atamanowie wypadli natychmiast do swoich kurzeniów. Narada była skończona.

Po chwili huk dział z bramy, prowadzącej z Has-san-Basza do siczowego majdanu, zatrzęsł ścianami izby i rozległ się posepnem echem po całym Czertomeliku, zwiastując wojnę.

Rozpoczął on także epokę w dziejach dwóch narodów, ale o tem nie wiedzieli, ni pijani siczowcy, ni sam hetman zaporozki.



## ROZDZIAŁ XII.



Chmielnicki ze Skrzetuskim poszli na nocleg do kozowego, a z nimi i Tuhaj-bej, któremu zapóźnie było wracać na Bazawłuk. Dziki bej traktował namiestnika jako jeńca, który miał być za wysoką cenę wykupiony, zatem nie jak niewolnika i z respektem, większym nawet może niż kozaków, bo go w swoim czasie, jako ksiąźcego posła na dworze chanowym widywał. Co widząc, kozowy zaprosił go do swej chaty i również zmienił z nim postępowanie. Stary ataman był to człowiek duszą i ciałem oddany Chmielnickiemu, który go zawojował i owładnął—owóz zauważył, że Chmielnickiemu chodziło widocznie podczas narad o ocalenie jeńca. Ale zdziwił się jeszcze bardziej, gdy, za ledwie zasiedli w chacie, Chmielnicki zwrócił się do Tuhaj-beja.

— Tuhaj-beju! — rzekł — ile myślisz wziąć wykupna za tego jeńca?

Tuhaj-bej popatrzył na Skrzetuskiego i rzekł:

— Tyś mówił, że to znaczny człowiek, a ja wiem, że to poseł straszego kniazia, a straszny kniaz kocha swych. Bismillah! jeden zapłaci i drugi zapłaci—razem...

Tu Tuhaj-bej zamyślił się:

— Dwa tysiące talerów.

Chmielnicki na to:

— Dam ci dwa tysiące talerów.

Tatar milczał przez chwilę. Jego skośne oczy zdawały się nawskróś przenikać Chmielnickiego.

— Ty dasz trzy—rzekł.

— Dlaczego mam dać trzy, gdyś sam dwa żądał?

— Bo jeśli go chcesz mieć, to tobie na tem zależy, a jeśli ci zależy, to dasz trzy.

— On mnie życie ocalił.

— Alła! to warte tysiąc więcej.

Tu Skrzetuski wtrącił się do targu.

— Tuhaj-beju!—rzekł z gniewem—z ksiązęcego skarbcza nie mogę ci nic obiecywać, ale choćbym miał fortunę własną podszarpać, to sam dam trzy. Mam też blisko tyle u księcia na prowizyi i wioskę dobrą, co starczy. A temu hetmanowi nie chcę welności i zdrowia zawdzięczać.

— A z kąd ty wiesz, co ja z tobą uczynię? — rzekł Chmielnicki. A potem, zwróciwszy się do Tuhaj-beja, mówił:

— Wojna się rozpocznie. Poślesz do kniazia, ale nim poseł wróci, dużo wody w Dnieprze upłynie, a ja ci jutro na Bazawłuk odwożę sam pieniądze.

— Daj cztery, to i nie będę z lachem gadał — odparł niecierpliwie Tuhaj.

— Dam cztery, na twoje słowo.

— Mości hetmanie — rzekł kozzowy—chcesz, to ci zaraz wyliczę. Mam tu pod ścianą, może i więcej.

— Jutro powiesz na Bazawłuk — rzekł Chmielnicki.

Tuhaj-bej przeciągnął się i ziewnął.

— Spać mi się chce — rzekł. — Jutro też przed-  
dniem na Bazawłuk muszę ruszyć. Gdzie mam spać?

Koszowy ukazał mu pęk skór owczych pod-  
ściana.

Tatar rzucił się na posłanie. Po jakimś czasie  
począł chrapać, jak koń.

Chmielnicki przeszedł się kilkakrotnie po wąskiej  
izbie i rzekł:

— Sen ucieka mnie od powiek. Nie usnę. Daj  
się czego napić, mości koszowy.

— Gorzałki, czy wina?

— Gorzałki. Nie usnę.

— Na niebie już kurki — rzekł koszowy.

— Późno! Idź i ty spać, stary druhu. Napij się  
i idź.

— Na sławę i szczęście!

— Na szczęście!

Koszowy obtarł gębę rękawem, następnie podał  
rękę Chmielnickiemu i odszedłszy w drugi koniec izby,  
zakopał się niemal w owcze skóry, krew bowiem miał  
już przez wiek ostudzoną.

Wkrótce chrapanie jego zawtórowało chrapaniu  
Tuhaj-beja.

Chmielnicki siedział za stołem, pogrążony w mil-  
czeniu.

Nagle rozbudził się, spojrzął na Skrzetuskiego  
i rzekł:

— Mości namiestniku, jesteś wolny.

— Wdzięcznym ci, mości hetmanie zaporozki, lu-  
boć nie ukrywam, że wolałbym komu innemu za wol-  
ność dziękować.

— Tedy nie dziękuj. Ocaliłeś mi życie, jam ci też dobrem odplacił, teraz kwita. A i to ci muszę jeszcze powiedzieć, iż cię zaraz nie puszcę, chyba mi słowo rycerskie dasz, iż wróciwszy, nie powiesz ni słowa ani o naszej gotowości, ani o siłach, ani o niczem, coś tu w Sieczy widział.

— Widzę jedno to, żeś mi niepotrzebnie fructum wolności dał posmakować, bo ci takiego słowa nie dam, gdyż dając je, takbym właśnie postąpił, jak ci, którzy do nieprzyjaciela przechodzą.

— Gardło moje i zdrowie całego wojska zaporozkiego w tem, aby się na nas hetman wielki ze wszystkimi siłami nie ruszył, czegoby nie omieszkał, gdybyś go o potędze naszej powiadomił, nie dziw się więc, że jeśli słowa nie chcesz dać, to cię nie puszcę, póki o siebie bezpiecznym nie będę. Wiem, na com się porwał; wiem, jako straszna jest siła przeciw mnie: obaj hetmani, twój straszny kniaź, który sam za całe wojsko stanie, a Zasławscy, a Koniecpolscy, a wszystkie owe królewęża, które na szyi kozackiej nogę trzymają! Zaprawdę, niemałom ja musiał naprawować się i listów rozpisać, nim zdołałem ich czujność uspić—toć nie mogę teraz dozwolić, byś ją rozbudził. Gdy i czerń, i kozacy grodowi, i wszyscy uciśnieni w wierze i wolności, tak się po mojej opowiedzą stronie, jako wojsko zaporozkie i miłościwy chan krymski, tuszę, że nieprzyjaciołom sprostam, bo i moja siła znaczną będzie, ale najwięcej ufam Bogu, który widział krzywdy, a patrzył na niewinność moję.

Tu Chmielnicki wychylił szklanę wódki i zaczął chodzić niespokojnie koło stołu, pan Skrzetuski zaś zmierzył go oczyma i rzekł z mocą:

— Nie bluźnij-że, hetmanie zaporozki, na Boga i Jego najwyższą opiekę się powołując, bo zaiste gniew tylko Boży i prędsze karanie na siebie ściągniesz. Tobież to godzi się Najwyższego na swą obronę wzywać, tobie, który dla swych krzywd i prywatnych zatargów, taką straszliwą burzę podnosisz, i płomień wojny domowej rozpalasz, i z pogany przeciw chrześcianom się łączysz? Cóż się bowiem stanie? Zwyciężysz-li, czy będziesz zwyciężony, morze ludzkiej krwi i łez wylejesz, gorzej szarańczy kraj spustoszysz, krew własną poganom w jasyr oddasz, Rzeczpospolitą wstrząsniesz; na majestat rękę podniesiesz, ołtarze pańskie pohabisz, a wszystko dlatego, że Czaplński futor ci zabrał, że ci po pijanemu wygrażał! Na cóż się więc nie targniesz? czego dla prywaty nie poświęcisz? Boga wzywasz?—a ja zaprawdę, choć jestem w twojej mocy, chociaż mnie żywota i wolności pozbawić możesz—powiadam ci: szatana ty, nie Boga na pomoc wzywaj, bo tylko jedno piekło sekundować ci może!

Chmielnicki sponsowiał—za rękęję się porwał i patrzył tak na namiestnika, jak lew, który wnet ma ryknąć i rzucić się na swą ofiarę—ale się pohamował. Szczęściem nie był jeszcze pijany. Może też ogarnął go jakiś niepokój, może jakieś głosy zawołały mu w duszy: zawróć z drogi! Bo nagle, jakby się chciał przed własnymi myślami bronić, lub samego siebie przekonywać, tak mówić począł:

— Od innego nie ścierpiałbym takiej mowy, ale i ty bacz, aby twa śmiałość mej cierpliwości nie pożała. Piekłem mnie straszysz, o prywatę i zdradę mnie pomawiasz, a zkądże wiesz, jeśli własne tylko krzywdy mścić idę? Gdzież-tobym znalazł pomocników,

gdzie owe tysiące, które się już za mną opowiedziały i opowiedzą, gdybym jeno własnych ucisków chciał dochodzić? Spójrz, eo się dzieje na Ukrainie? Hej! ziemia bujna, ziemia matka, ziemia rodzona, a kto w niej jutra pewien? kto w niej szczęśliw? kto wiary nie pozbawion, z wolności nie obran, kto w niej nie płacze i nie wzdycha? Sami jeno Wiśniowieccy, a Potoccy, a Zasławscy, a Kalinowscy, a Koniecpolscy i szlachty garść! Dla nich starostwa, dostojęństwa, ziemia i ludzie, dla nich szczęście i złota wolność, a reszta narodu ręce we łzach do nieba wyciąga, czekając Bożego zmiłowania, bo i królewskie nie pomoże! Ileż to szlachty nawet, nieznośnego ich ucisku wytrzymać nie mogąc, na Sicz ucieka, jako ja sam uciekłem? Nie chcę też wojny z królem, nie chcę z Rzeczpospolitą! Ona mac, on ojciec! Król miłościwy pan, ale królewicza! Z nimi nam nie żyć; ich to zdzierstwa, ich to arendy, stawszczyzny, pojemsczczyzny, suchomielszczyzny, oczkowe i rogowe; ich to tyrania i uciski przez żydów czynione o zemstę do nieba wołają. Jakiejże to wdzięczności doznało wojsko zaporożkie za tak wielkie zasługi, w licznych wojnach oddane? Gdzie przywileje kozackie? Król dał, królewicza odjęli. Nalewajko poświęrtowan! Pawluk w miedzianym wole spalon! Krew nie obeschła po ranach, które nam szabla Żółkiewskiego i Koniecpolskiego zadała! Łzy nie obeschły po pobitych, ściętych, na pal wsadzonych, — a teraz — patrz! co świeci na niebie — tu Chmielnicki wskazał przez okienko na płonącą kometa — gniew Boży! bicz Boży! — Więc jeśli ja mam nim być na ziemi — to, dziej się wola Boża! wezmę ten ciężar na barki.

To rzekłszy, ręce ku górze wyciągnął i zdawał się płonąć cały, jak wielka pochodnia zemsty, i drząc począł, a potem padł na ławę, jakby ciężarem swych przeznaczeń przygnieciony.

Nastąpiło milczenie, przerywane tylko chrapaniem Tuhaj-beja i koszowego — a w jednym kącie chaty świerszcz ów irkał żałośnie.

Namiestnik siedział ze spuszczoną głową. Rzekłbyś szukał odpowiedzi na słowa Chmielnickiego, tak ciężkie, jak bryły granitu; nakoniec tak mówić począł, głosem cichym i smutnym:

— Ach! choćby to była i prawda, ktoś ty hetmanie jest, abyś się sędzią i katem kreował? Jakież cię okrucieństwo, jaka pycha unosi? Czemu ty Bogu sądu i kary nie zostawisz? Jać złych nie bronię, krzywd nie pochwalam, ucisków prawem nie mianuję, ale wejrzyj-że i ty w siebie, hetmanie! Na ucisk od królewiat narzekasz, mówisz, że króla ni prawa słuchać nie chcą, dumę ich ganisz, a czy sam jej próżen jesteś? Czy sam nie ściągasz ręki na Rzeczpospolitą, prawo i majestat? Tyranią paniąt i szlachty widzisz, ale tego nie widzisz, że gdyby nie ich piersi, nie ich pancerze, nie ich moc, nie ich zamki, nie ich działa i hufce, tedy-by ta ziemia, mlekiem i miodem płynąca, pod stokroć cięższem jarzmem tureckiem albo tatarskiem jęczała! Kto bowiem-by jej bronił? Czyją to opieką i mocą dzieci wasze w janczarach nie służą, a niewiasty do sprośnych haremów nie są porywane? Kto osadza pustynie, zakłada wsie i miasta, wznosi świątynie boże?...

Tu głos pana Skrzetuskiego potężniał coraz bardziej, a Chmielnicki utkwiał ponuro oczy we flaszkę

z wódką, zaciśnięte pięście na stole położył i milczał, jakby się sam ze sobą pasował.

— I któż są oni? — mówił dalej pan Skrzetuski — czy to tu z Niemiec przyszli, albo od Turzech? Nie krew-że to z krwi, nie kość z kości waszej? Nie wasza-że to szlachta, nie wasi książęta? Co, gdy tak jest, tedy ci biada, hetmanie, bo ty młodszych braci na starszych uzbrajasz i parricidów z nich czynisz. O, dla Boga! choćby też i źli byli, choćby wszyscy, co przecie nie jest, deptali prawa, gwałcili przywileje — niechże ich Bóg sądzi w niebie, a sejmy na ziemi, ale nie ty, hetmanie! Możesz-li bowiem rzec, że między wami są tylko sprawiedliwi? zaliście nigdy nie przewinili, zaliście macie prawo rzucić kamieniem na cudzą zmazę? A żeś mię pytał, gdzie są przywileje kozackie, tedy ci odpowiem: nie królewęta je zdradzili, ale zaporożcy, ale Łoboda, Sasko, Nalewajko i Pawluk, o którym zmyślasz, że był w wole miedzianym usmażon, bo wiesz dobrze, że tak nie było! Zdarły je bunty wasze, zdarły niespokojności i napady, nakształt tatarskich czynione. Kto tatarów w granice Rzeczypospolitej puszczał, by dopiero na powracających i łupem obciążonych dla zysku napadać? — wy! Kto — przebóg! — lud chrześcijański własny, w jasyr oddawał? Kto największe warchoły czynił? — wy! Przed kim ni szlachcic, ni kupiec, ni kmieć nie jest bezpieczny? — przed wami! Kto wojny domowe rozpałał, z dymem puszczał wsie i miasta ukraiinne, łupił świątynie Boże, gwałcił niewiasty — wy i wy! Czego tedy chcesz? Czy aby wam przywileje na wojnę domową, rozbój i łupieztwo zostały wydane? Zaiste więcej wam przebaczone, niżli odjęto! Chciano membra



putrida leczyć, nie wycinać <sup>1)</sup>) i nie wiem — jest-li na świecie potencya, prócz Rzeczypospolitej, któraby taki wrzód we własnem łonie tolerując, tyle cierpliwości i klemencyi znalazła! A w odwet za to, jaka wdzięczność? Ot, tu śpi twój sprzymierzeniec ale Rzeczypospolitej wróg zaciekły; twój przyjaciel, ale nieprzyjaciel krzyża i chrześcijaństwa — nie królewiatko ukraińne, ale murza krymski — z nim-to pójdziesz palić własne gniazdo — z nim sądzić braci! Ale on też ci odtąd panować będzie, jemu strzeamię podawać musisz!

Chmielnicki wychylił nową szklankę wódki.

— Gdyśmy z Barabaszem czasu swego u króla miłościwego byli—odparł ponuro—i gdyśmy na krzywdy i uciski nasze płakali, pan nasz rzekł: a to nie macie samopałów i szabli przy boku?

— Gdybyś przed królem królów stanął, tenby rzekł: aza przebaczyłeś nieprzyjaciołom swoim, jakom ja swoim przebaczył?

— Z Rzeczpospolitą wojny nie chcę!

— Jeno jej miecz do gardła przykładasz!

— Idę kozaków z waszych okowów uwolnić.

— By ich w tatarskie łyka skrepować!

— Wiary chcę bronić.

— Z pohañcem w parze.

— Precz-że ty, boś nie jest głosem sumienia mego! Precz! mówię ci!

— Krew przelana ci zacieży, lzy ludzkie oskarżą, śmierć cię czeka, sąd czeka!

— Puszczyk!—zawołał z wściekłością Chmielnicki i nożem przed piersią namiestnikową błysnął.

---

<sup>1)</sup> Słowa historyczne Żółkiewskiego.

— Zabij! — rzekł pan Skrzetuski.

I znowu nastąpiła chwila ciszy, znowu słyhać było tylko chrapanie śpiących i żalosne skrzypienie świerszcza.

Chmielnicki stał przez chwilę, z nożem przy piersi Skrzetuskiego; nagle się wstrząsnął, opamiętał, nóż upuścił, a natomiast porwawszy gąsiorek z wódką, pić począł. Wypił aż do dna i siadł ciężko na ławie.

— Nie mogę go pchnąć! — mruzczał — nie mogę! Późno już... czy to już świt?... Ale i z drogi zawracać późno... Co ty mnie o sądzie i krwi mówisz?

Poprzednio wypił już wiele, teraz wódka uderzała mu do głowy; stopniowo coraz bardziej tracił przytomność.

— Jaki tam sąd? co? Chan obiecał mi posiłki, Tuhaj-bej tu śpi! Jutro mołojcy ruszą... Z nami święty Michał-zwycięzca!... A jeśliby... jeśliby... to... Ja cię wykupił u Tuhaj-beja — ty to pamiętaj i powiedz... Ot! boli coś... boli! Z drogi zawracać... późno! sąd... Nalewajko... Pawluk...

Nagle wyprostował się, oczy z przerażeniem wytrzeszczył i zakrzyknął:

— Kto tu?

— Kto tu? — powtórzył nawpół rozbudzony koszowy.

Ale Chmielnicki głowę na piersi spuścił, kiwnął się raz drugi, mruknął: jaki sąd? — i usnął.

Pan Skrzetuski od ran niedawno otrzymanych i wzruszenia rozmowy pobladł bardzo i zesłabł, więc pomyślał, że to może śmierć nadlatuje, i zaczął się modlić głośno.

## ROZDZIAŁ XIII.



Nazajutrz, rankiem, piesze i konne wojska kozackie ruszyły z Siczy. Lubo krew nie splamiła jeszcze stepów, wojna była już rozpoczęta. Pułki szły za pułkami; rzekłbyś, szarańcza, przygrzana słońcem wiosnem, wyroiła się z oczeretów Czertomeliku i leci na ukraińskie niwy. W lesie, za Bazawłukiem, czekali już gotowi do pochodu ordyńcy. Sześć tysięcy co przebrańszych wojowników, zbrojnych nierównie lepiej od zwykłych czambułowych rabusiów, stanowiło pomoc, którą chan przysłał zaporozcom i Chmielnickiemu. Mołojcy na ich widok wyrzucili czapki w górę. Za-grzmiąły rusznice i samopały. Wrzaski kozackie, pomieszane z hałlachowaniem tatarskim, uderzyły o sklepienie niebios. Chmielnicki i Tuhaj-bej, obaj pod buńczukami, skoczyli ku sobie końmi i powitali się ceremonialnie.

Sprawiono szyk pochodowy ze zwykłą tatarom i kozakom chyżością, poczem wojska ruszyły naprzód. Ordyńcy zajęli oba skrzydła kozackie, środek zawalił Chmielnicki z jazdą, za którą postępowała straszna

piechota zaporozka <sup>1)</sup>, dalej „puszkary” z armatami, dalej tabor, wozy, na nich służba obozowa, zapasy żywności, wreszcie czabanowie z zapaśnemi stadami i bydłem.

Przebywszy bazawłucki las, pułki wypłynęły na stepy. Dzień był pogodny. Stropu nieba nie plamiła żadna chmurka. Lekki wiatr podmuchiwał z północy ku morzu, słońce grało na spisach i kwiatach pustyni. Roztoczyły się przed wojskiem Dzikie pola, jako morze bez końca, a na ten widok radość ogarnęła kozackie serca. Wielka malinowa chorągiew z archaniołem zniżyła się pokilkakroć, witając step rodzimy, a za jej przykładem pochyliły się wszystkie buńczuki i pułkowe znamiona. Jeden okrzyk wyrwał się ze wszystkich piersi.

Pułki rozwinęły się swobodnie, „Dowbysze” i teorbaniści wyjechali na czoło wojska; huknęły kotły, zadźwięczały litaury i teorbandy, a do wtóru im pieśń, przez tysiące głosów śpiewana, wstrząsnęła powietrzem i stepem:

„Hej wy stepy, wy rydnyje,  
„Krasnym cwitom pysanyje,  
„Jako more szerokije!

Teorbaniści puścili cugle i przechyleni w tył na kulbakach, z oczyma utkwionemi w niebo, uderzali o struny teorbandów; litauryści, wyciągnąwszy ręce nad

---

<sup>1)</sup> Wbrew ogólnemu mniemaniu dzisiejszemu, Bauplan twierdzi, iż piechota zaporozka niezmiernie przewyższała jazdę. Wedle Bauplana, 200 polaków rozbijało z łatwością 2,000 jazdy zaporozkiej, ale natomiast 100 pieszych kozaków mogło długo bronić się z zakupu tysiącowi polaków.

głowami, bili w swoje miedziane kręgi, dowbysze grzmieli w kotły, a te wszystkie odgłosy, wraz z monotonnemi słowami pieśni i przeraźliwym, niesfornym świstem piszczałek tatarskich, zlały się w jakąś nutę ogromną, dziką, a smętną, jak sama pustynia. Upojenie ogarnęło wszystkie pułki; głowy chwiały się w takt pieśni, i wreszcie zdawało się, że cały step rozspiewany kołysze się razem z ludźmi, i końmi, i chorągwiami.

Spłoszone stada ptactwa zerwały się ze stepu i leciały przed wojskiem, jak drugie wojsko powietrzne.

Chwilami pieśń i muzyka milkły, a wówczas słychać było łopot chorągwi, tętent i parskanie koni i skrzypienie wozów taborowych, podobne do krzyku łabędzi lub żórawi.

Na czele, pod wielką chorągwią malinową i pod buńczukiem, jechał Chmielnicki, przybrany w czerwień, na białym koniu, z poźlocistą buławą w ręku.

Cały tabor poruszał się zwolna i ciągnął na północ, pokrywając jak groźna fala rzeczki, dąbrowy i mogiły, napelniając szumem i gwarem pustoszą stepową.

A od Czebryna, z północnego krańca pustyni, płynęła przeciw tej fali inna fala wojsk koronnych, pod wodzą młodego Potockiego. Tu zaporozcy i tatarzy szli jakoby na wesele, z pieśnią radosną na ustach; tam poważna husaryja postępowała w posępnem milczeniu, idąc niechętnie na tę walkę bez sławy. Tu pod malinową chorągwią stary, doświadczony wódz potrząsał groźnie buławą, jakby pewien zwycięstwa i zemsty; tam na czele jechał młodzieniec z twarzą zamyśloną, jakby świadom swych smutnych, a blizkich przeznaczeń.

Dzieliła ich jeszcze wielka przestrzeń stepu.

Chmielnicki nie śpieszył się. Liczył bowiem, że im bardziej pograży się młody Potocki w pustynię, im dalej odsunie się od obu hetmanów, tem łatwiej będzie mógł być pokonany. A tymczasem coraz nowi zbiegowie z Czehryna, Powołoczy i wszystkich brzegowych miast ukraińskich, zwiększali codziennie siły zaporozkie, przynosząc zarazem wieści z przeciwnego obozu. Dowiedział się z nich Chmielnicki, że stary hetman wysłał syna z dwoma tylko tysiącami jazdy lądem <sup>1)</sup>, a zaś sześć tysięcy semenów i tysiąc niemieckiej piechoty bajdakami, Dnieprem. Obie te siły miały rozkaz stałą ze sobą utrzymać łączność, ale rozkaz został już pierwszego dnia złamany, bo bajdaki, porwane bystrym prądem dniewym, wyprzedziły znacznie husaryą idącą brzegiem, której pochód opóźniały niezmiernie przeprawy przez wszystkie rzeczki, wpadające do Dniepru.

Chmielnicki więc, pragnąc, by ten rozdział powiększył się jeszcze bardziej, nie śpieszył się. Trzeciego dnia pochodu zaległ taborem koło Komyszej wody i odpoczywał.

Tymczasem podjazdy Tuhaj-beja sprowadziły jezyka. Było to dwóch dragonów, którzy zaraz za Czehrynem zbiegli z taboru Potockiego. Pędząc dzień i noc, zdolali znacznie wyprzedzić swój obóz. Stawiono ich natychmiast przed Chmielnickim.

Opowiadania ich potwierdziły to, co było już Chmielnickiemu wiadome o siłach młodego Stefana

---

<sup>1)</sup> Źródła rusińskie, np. Samoił Welczko, podają ilość wojsk koronnych na 22 tysiące. Cyfra to oczywiście fałszywa.

Potockiego; natomiast przynieśli mu nową wiadomość, że przywódcami semenów, płynących wraz z piechotą niemiecką na bajdakach, byli stary Barabasz i Krzeczowski.

Usłyszawszy to ostatnie nazwisko, Chmielnicki porwał się na równe nogi.

— Krzeczowski? pułkownik rejestrowych perejasławskich?

— On sam, jasnie wielmożny hetmanie! — odpowiedzieli dragoni.

Chmielnicki zwrócił się do otaczających go pułkowników:

— W pochód! — zakomenderował grzmiącym głosem.

W niespełna godzinę później, tabor ruszył naprzód, chociaż słońce już zachodziło i noc nie obiecywała być pogodną. Jakieś straszne, rude chmurzyska, porozwalały się na zachodniej stronie nieba, podobne do smoków, do lewiantanów, i zbliżały się ku sobie, jakby chcąc stoczyć walkę.

Tabor posuwał się w lewo, ku brzegowi Dniepru. Szli teraz cicho, bez pieśni, bez bicia w kotły, w litaury, i szybko, o ile pozwalały im trawy, tak bujne w tej okolicy, że pogrążone w nich pułki chwilami traciły się z oczu, a różnobarwne chorągwie zdawały się same płynąć po stepie. Jazda torowała drogę wozom i piechocie, które, postępując z trudnością, wkrótce pozostały znacznie w tyle. Tymczasem noc pokryła stepy. Ogromny czerwony księżyc wytoczył się zwolna na niebo, ale przesłaniany co chwila chmurami, rozpałał się i gasł, jak lampa, tłumiona powiewami wiatru.

Było już dobrze z północy, gdy oczom kozaków i tatarów ukazały się czarne olbrzymie masy, odrzynające się wyraźnie na ciemnym tle nieba.

Były to mury Kudaku.

Podjazdy, zakryte ciemnością, zbliżyły się pod zamek tak ostrożnie i cicho, jak wilcy lub ptactwo nocne. A nuż możnaby ubiedz niespodzianie senną fortecę!

Ale nagle błyskawica na wałach rozdarła ciemności, huk straszliwy wstrząsnął skałami Dniepru i kula ognista, zatoczywszy jaskrawy łuk na niebie, upadła w trawy stepowe.

Posepny cyklop Grodzicki dawał znać, że czuwa.

— Pies jednooki! — mruknął do Tuhaj-beja Chmielnicki — widzi w nocy.

Kozacy pominęli zamek — o którego wzięciu w chwili, gdy przeciw nim samym ciągnęły wojska koronne, nie mogli myśleć — i ruszyli dalej. Ale pan Grodzicki walił za nimi z dział, aż się mury zamkowe trzęsły, nie tyle, by im szkody przyczynić, gdyż przechodzili w znacznej odległości, ale by ostrzedz wojska nadpływające Dnieprem, które mogły znajdować się już nie daleko.

Przedewszystkiem jednak huk dział kudackich odbił się w sercu i uszach pana Skrzetuskiego. Młody rycerz, prowadzony z rozkazu Chmiela z taborem kozackim, drugiego dnia zachorował ciężko. W walce na Chortycy nie otrzymał on wprawdzie żadnej śmiertelnej rany, ale utracił tyle krwi, że niewiele w nim życia zostało. Rany jego, opatrzone po kozacku przez starego kantarzeja, otworzyły się, owładnęła nim gorączka i nocy owej leżał w pół przytomny na kozackiej



teledze, nie wiedząc o świetle Bożym. Zbudziły go dopiero działa kudackie. Roztworzył oczy, podniósł się na wozie i począł rozglądać się naokoło. Kozacki tabor przemykał się w ciemnościach, jak korowód mar, a zamek huczał i świecił różowemi dymami; kule ogni-  
ste podskakiwały po stepie, charkocząc i warezając, jak psy rozszoszone, więc na ten widok taka żalóść, taka tęsknota ogarnęły pana Skrzetuskiego, że gotów był i umrzeć zaraz, byle choć duszą ulecieć do swoich. Wojna! wojna! a oto on w obozie wrogów, bezbronny, chory, z woza niemogący się podnieść. Rzeczpospolita w niebezpieczeństwie, on zaś nie leci jej ratować! A tam, w Lubniach, wojska pewno już ruszają. Książę z błyskawicami w oczach lata przed szeregami, a w którą stronę buławą skinie, tam wnet trzysta kopij, jakby trzysta gromów uderzy. Tu rozmaite znajome twarze zaczęły namiestnikowi stawać przed oczy. Mały Wołodyjowski leci na czele draganów ze swoją cienką szabelką w rękę, ale to fehmistrz nad fehmistrze, z kim ją skrzyżuje, ten jakby leżał w mogile; tam znów pan Podbipięta wznosi swój katowski zerwikaptur! Zetnie trzy głowy, czy nie zetnie? Książdz Jaskółski ogania chorągwie i modli się z rękami do góry, lecz to dawny żołnierz, więc nie mogąc wytrzymać, huknie czasem: bij zabij! a owo pancerni kładą już glewie w pół końskiego ucha, pułki ruszają naprzód, rozpędzają się, pędzą, bitwa, zawierucha!

Nagle widzenie się zmienia. Przed namiestnikiem staje Helena, blada, z rozpuszczonym włosom, i woła: „Ratuj, bo mnie Bohun goni!” Pan Skrzetuski zrywa się z wozu, aż jakiś głos, ale już rzeczywisty, mówi do niego:

— Leż-że, *de'yno*, bo zwiążę.

To esaul taborowy, Zachar, któremu Chmielnicki kazał pilnować namiestnika, jak oka w głowie, układa go napowrót na wozie, okrywa końską skórą i pyta jeszcze:

— Szczo z toboju?

Więc pan Skrzetuski przytomnieje zupełnie. Mary pierchają. Wozy ciągną samym brzegiem dniewnym. Chłodny powiew dochodzi od rzeki i noc blednie. Ptactwo wodne rozpoczyna gwar poranny.

— Słuchaj Zachar! to my już minęli Kudak?— pyta pan Skrzetuski.

— Minęli!—odpowiada zaporozec.

— A dokąd ciągniecie?

— Ne znaju. Bitwa, każe, bude, ale ne znaju.

Na te słowa serce uderzyło radośnie w piersiach pana Skrzetuskiego. Sądził on, że Chmielnicki będzie oblegał Kudak i że od tego wojnę zacznie. Tymczasem pośpiech, z jakim kozacy szli naprzód, pozwalał wnosić, że wojska koronne były już blisko i że właśnie Chmielnicki dlatego pominął fortecę, by nie być zmuszonym do bitwy pod jej działami. „Dziś jeszcze może wolny będę,” pomyślał namiestnik i wznosił oczy dziękczynnie ku niebu.

---

## ROZDZIAŁ XIV.

---

Huk dział kudačkih słyssały również wojska, płynące bajdakami pod wodzą starego Barabasza i Krzeczowskiego.

Składały się one z sześciu tysięcy kozaków rejestrowych i jednego regimentu wybornej piechoty niemieckiej, której pułkownikował Hans Flik.

Pan Mikołaj Potocki długo się wahał, zanim kozaków przeciw Chmielnickiemu wyprawił, ale że Krzeczowski miał na nich wpływ ogromny, a Krzeczowskiemu hetman ufał bez granic, więc tylko semenom kazał przysięgę wierności złożyć — i wyprawił ich w imię Boże.

Krzeczowski, żołnierz pełen doświadczenia i wielce w poprzednich wojnach wsławiony, był klientem domu Potockich, którym wszystko zawdzięczał, i pułkownikowstwo, i szlachectwo, gdyż mu je na sejmie wyrobili, i nakoniec obszerne posiadłości, położone przy zbiegu Dniestru i Ladawy, które dożywotnio od nich trzymał.

Tyle tedy węzłów łączyło go z Rzeczpospolitą i z Potockimi, że cień nieufności nie mógł zrodzić się w duszy hetmańskiej. Był-to przytem człowiek w sile dni, bo zaledwie pięćdziesiąt lat liczący — i wielka

przyszłość otwierała się przed nim na usługach krajowi. Niektórzy chcieli w nim widzieć następcę Stefana Chmieleckiego, który, rozpoczynając zawód jako prosty rycerz stepowy, skończył go jako wojewoda kijowski i senator Rzeczypospolitej. Od Krzeczowskiego zależało pójść tą samą drogą, na którą pchało go męstwo, dzika energia i niepohamowana ambicya, głodna zarówno bogactw, jak i dostojęństw. Gwoli tejto ambicyi, silnie przed niedawnym czasem zabiegał o starostwo lityńskie, a gdy nakoniec otrzymał je pan Korbut, Krzeczowski głęboko zakopał w sercu zawód, ale prawie że odchorował z zawiści i zmartwienia. Teraz zdawał mu się los nanowo uśmiechać, gdyż otrzymawszy od hetmana w. tak ważną funkcją wojskową, śmiało mógł liczyć, że imię jego obije się o uszy królewskie. A było to rzeczą ważną, bo następnie należało tylko pokłonić się panu, aby otrzymać przywilej z miłemi duszy szlacheckiej słowami: „bił nam czołom i prosił, szczob jeho podaryty, a my, pomniawszy jeho usługi, dajem” etc. Tą drogą zdobywało się na Rusi bogactwa i dostojęstwa; tą drogą ogromne obszary pustych stepów, które przedtem należały do Boga i Rzplitej, przechodziły w ręce prywatne; tą drogą chudopacholek na pana wyrastał i mógł krzepić się nadzieją, że potomkowie jego między senatory zasiądą.

Krzeczowskiego gryzło jeno to, że w owej powierzonej mu funkcji musiał dzielić władzę z Barabaszem, ale był-to podział tylko nominalny. W rzeczywistości, stary pułkownik czerkaski, zwłaszcza w ostatnich czasach, tak się postarzał i zgrzybiał, że już ciałem jedynie do tej ziemi należał, a dusza jego i umysł pogrążone były ustawicznie w odrętwieniu i martwo-

cie, które zwykle śmierć prawdziwą poprzedzają. Z początku wyprawy rozbudził się i począł się krzątać dość raźnie, rzekłbyś na odgłos surm wojennych stara żołnierska krew poczęła w nim krążyć silniej, bo był-to przecie czasu swego wsławiony rycerz i wódz stepowy; ale zaraz po wyruszeniu, ukolysał go plusk wiosel, uspiły pieśni semenów i łagodny ruch bajdaków, więc zapomniał o świecie Bożym. Krzczowski wszystkim rządził i zawiadywał, Barabasz zaś budził się tylko do jedzenia; najadłszy się, pytał ze zwyczaju o to i owo — zbywano go ładajaką odpowiedzią, w końcu wzdychał i mawiał: „Ot radby ja z inną wojną do mogiły się kłaść, ale wola Boża!”

Tymczasem łączność z wojskiem koronnem, idącym pod wodzą Stefana Potockiego, została odrazu przerwana. Krzczowski narzekał, że husarya i dragonia zawolno idą, że nadto u przepraw marudzą, że młody syn hetmański nie ma wojskowego doświadczenia, ale z tem wszystkim kazał wiosłować i płyną naprzód.

Bajdaki płynęły więc z brzegiem dniewowym ku Kudakowi, oddalając się coraz bardziej od wojsk koronnych.

Nareszcie pewnej nocy zasłyszano huk dział.

Barabasz spał i nie obudził się—natomiast Flik, który płynął naprzód, wsiadł w podjazdkę i udał się do Krzczowskiego.

— Mości pułkowniku — rzekł — to kudackie armaty! — Co mam czynić?

— Zatrzymaj waść bajdaki. Zostaniemy przez noc w oczeretach.

— Chmielnicki widocznie zamek oblega. Mojem zdaniem należałoby pośpieszyć z odsieczą.

— Ja waści o zdanie nie pytam, jeno rozkaz daję. Przy mnie komenda.

— Mości pułkownik!...

— Stać i czekać! — rzekł Krzeczowski.

Ale widząc, że energiczny niemiec szarpie swoją żółtą brodę i ustępować bez racji nie myśli, dodał łagodniej:

— Kasztelan do jutra rana może z jazdą nadciągnąć, a fortecy przez jedną noc nie wezmą.

— A jeśli nie nadciągnie?

— Będziem czekać choćby dwa dni. Waśc nie znasz Kudaku! Połamią oni sobie zęby o jego mury, a ja bez kasztelana na odsiecz nie będę ciągnął, bo i prawa do tego nie mam. Jego to rzecz!

Wszelka słuszność zdawała się być po stronie Krzeczowskiego, więc Flik nie nalegał dłużej i oddalił się do swoich Niemców. Po chwili bajdaki poczęły zbliżać się ku prawemu brzegowi i zasuwać w oczereoty, które więcej jak na staję pokrywały szeroko w tem miejscu rozlaną rzekę. Nakoniec plusk wiosła ustał, statki skryły się całkowicie w szuwarach, a rzeka zdawała się być pustą zupełnie. Krzeczowski zakazał palenia ogni, śpiewania pieśni i rozmów, więc okolicę zaległa cisza, przerywana tylko dalekim odgłosem dział kudackich.

Wszelako na statkach nikt, prócz jednego Barabasza, nie zmrużył oka. Flik, człowiek rycerski i boju chciwy, chciałby ptakiem lecieć pod Kudak. Semenowie pytali się siebie zeicha, co też się może zdarzyć z fortecą? Wytrzyma, czy nie wytrzyma? A tymczasem huk wzmagał się coraz bardziej. Wszyscy byli przekonani, że zamek odpiera szturm gwałtowny. „Chmiel

nie żartuje, ale i Grodzicki nie żartuje!” szeptali kozacy. A co to będzie jutro?

To samo pytanie zadawał sobie prawdopodobnie Krzczowski, który, siadłszy na przedzie swego bajdaku, zamyślił się głęboko. Chmielnickiego znał on dobrze i dawno, uważał go zawsze aż dotąd za człowieka nadzwyczajnych zdolności, któremu tylko pola brakło, by wyleciał jak orzeł w górę, a teraz Krzczowski wątpił o tem. Działa grzmiały ciągle, a zatem chyba Chmielnicki naprawdę Kudak oblegał?

— Jeśli tak jest — myślał Krzczowski — to jest człowiek zgubiony!

Jakto? więc podniósłszy Zaporozę, zapewniwszy sobie pomoc chanową, zebrawszy siły, jakimi żaden z watażków dotychczas nie rozporządzał, zamiast iść co najspieszniej na Ukrainę, zamiast pobudzić czerń, przeciągnąć grodowych, zgnieść coprędzej hetmanów i opanować cały kraj, nimby na obronę jego nowe wojska nadeszły, on, Chmielnicki, on, stary żołnierz, szturmuje do niezdobytej fortecy, która przez rok może go trzymać? I pozwoli na to, by najlepsze siły jego tak rozbiły się o mury Kudaku, jak fala dniewrowa rozbija się o skały porohów? I będzie czekał pod Kudakiem, aż się hetmani wzmocnią i oblegną go, jak Nalewajkę pod Sołonicą?...

— To człowiek zgubiony! — powtórzył raz jeszcze pan Krzczowski. — Właśni kozacy go wydadzą. Nieudany szturm wywoła zniechęcenie i popłoch. Iskra buntu zagaśnie w samym zarodku, — a Chmielnicki nie będzie straszniejszy niż miecz, który się ułamał przy rękojeści.

To głupiec!

— Ergo? — pomyślał pan Krzczowski — ergo jutro wysadzę na brzeg moich semenów i niemców, a następnej nocy na osłabionego szturmami niespodziewanie uderzę, zaporoźców w pień wyrznię, a Chmielnickiego związanego pod nogi hetmańskie rzucę. Jego-to własna wina, bo mogło się zdarzyć inaczej!

Tu rozkielznana ambicya pana Krzczowskiego wzbila się na sokolich skrzydłach w górę. Wiedział on dobrze, że młody Potocki żadną miarą do jutrzejszej nocy przyciągnąć nie może, więc kto urwie głowę hydrze? Krzczowski! Kto zgasi bunt, który straszliwym pożarem mógłby ogarnąć całą Ukrainę? Krzczowski! Może stary hetman będzie krzyw trochę, że się to stanie bez udziału syna, ale się wysapie prędko, a tymczasem wszystkie promienie sławy i łaski królewskiej oświecą czoło zwycięzcy.

Nie! Trzeba się jednak będzie podzielić sławą ze starym Barabaszem i z Grodzickim! Pan Krzczowski zasepił się mocno, ale wnet wypogodził się. Wszakże tę starą kłodę, Barabasz, lada dzień zakopią w ziemię, a Grodzicki, byle mógł w Kudaku siedzieć i tatarów kiedy niekiedy z dział przepłoszyć, niczego więcej nie pragnie; pozostaje jeden Krzczowski.

Byle hetmaństwo ukraińskie mógł otrzymać!

Gwiazdy migotały na niebie, a pułkownikowi zdawało się, że to klejnoty w buławie; wiatr szumiał w oczetach, a jemu zdało się, że to szumi buńczuk hetmański.

Działa Kudaku grzmiały ciągle.

— Chmielnicki da gardło pod miecz — myślał dalej pułkownik — ale to jego własna wina! Mogło być inaczej! Gdyby poszedł odrazu na Ukrainę!... mogło być inaczej! Tam wre i huczy wszystko, tam leżą pro-



chy, czekające tylko na iskrę. Rzeczpospolita jest potężna, ale na Ukrainie sił niema, a król niemłody, schorowany.

Jedna, wygrana przez zaporozców bitwa, spowodowałaby nieobliczone skutki..

Krzeczowski ukrył twarz w dłoniach i siedział nieruchomy, a tymczasem gwiazdy staczały się niżej i niżej, i zachodziły zwolna na step. Przepiórki, ukryte w trawach, poczęły się nawoływać. Niezadługo miało zaświtać.

Nakoniec rozmyślenia pułkownika skrzepły w niewzruszony zamiar. Jutro uderzy na Chmielnickiego i zetrze go w proch. Po jego trupie dojdzie do bogactw i dostojęństw, stanie się narzędziem kary w rękę Rzeczypospolitej, jej obrońcą, w przyszłości jej dygnitarzem i senatorem. Po zwycięstwie nad Zaporozem i tatarami, nie odmówią mu niczego.

A jednak — nie dano mu starostwa lityńskiego.

Na to wspomnienie Krzeczowski ścisnął pięście. Nie dano mu starostwa, mimo potężnego wpływu jego protektorów, Potockich, mimo jego zasług wojennych, dlatego tylko, że był homo novus, a jego przeciwnik od kniaziów ród wywodził. W tej Rzeczypospolitej niedość było zostać szlachcicem, należało jeszcze czekać, by to szlachectwo pokryło się pleśnią, jak wino, by zardzewiało, jak żelazo.

Chmielnicki jeden mógł zaprowadzić nowy porządek rzeczy, któremu bodaj że i sam królby sprzyjał — ale nieszczęśnik, wolał oto rozbijać głowę o skały kudackie.

Pułkownik uspokajał się zwolna. Odmówili mu raz starostwa — cóż z tego? Tembardziej będą się starali

go wynagrodzić, zwłaszcza po zwycięstwie, po zgaszeniu buntu, po uwolnieniu od wojny domowej Ukrainy, ba! całej Rzeczypospolitej! Wówczas niczego mu nie odmówią, wówczas nie będzie potrzebował nawet i Potockich...

Senna głowa schyliła się na piersi — i usnął, marząc o starostwach, o kasztelaniach, o nadaniach królewskich i sejmowych...

Gdy się zbudził, był brzask. Na bajdakach spało jeszcze wszystko. W dali połyskiwały w bladym, rozpierschłem świetle wody dniewprowe. Naokoło panowała absolutna cisza. Ta właśnie cisza zbudziła go.

Działa kudackie przestały huczeć.

— Co to? — pomyślał Krzczowski. — Pierwszy szturm odparty, czy może Kudak wzięty?

Ale to niepodobna!

Nie! poprostu zbici kozacy leżą gdzieś zdala od zamku i rany liżą, a jednooki Grodzicki spogląda na nich przez strzelnicę, rychtując nanowo działa.

Jutro szturm powtórzą i znowu zęby połamią.

Tymczasem rozedniało. Krzczowski zbudził ludzi na swym bajdaku i posłał czółno po Flika.

Flik przybył niebawem.

— Mości pułkownik! — rzekł mu Krzczowski — jeśli do wieczora kasztelan nie nadciągnie, a z nocą szturm się powtórzy, ruszymy fortecy w pomoc.

— Moi ludzie gotowi — odparł Flik.

— Rozdaj-że im prochy i kule.

— Rozdane.

— W nocy wysiądziemy na brzeg i ruszymy jak najciszej stepem. Zejdziemy ich niespodzianie.

— Gut! sehr gut! ale czyby się nie przysunąć trochę bajdakami? Do fortecy mil ze cztery. Trochę daleko dla piechoty.

— Piechota siedzie na konie semenów.

— Sehr gut!

— Ludzie niech leżą cicho w sitowiach, na brzeg nie wychodzą i hałasów nie sprawują. Ogniów nie palić, bo dymyby nas zdradziły. Nie powinni o nas wiedzieć.

— Mgła taka, że i dymów nie ujrzą.

Rzeczywiście rzeka, łącha porośnięta oczeretem, w której stały bajdaki, i stepy były pokryte, jak okiem sięgnąć, białym nieprzeniknionym tumanem. Ale że był-to dopiero świt, więc mgły mogły jeszcze opaść i odsłonić stepowe przestrzenie.

Flik odjechał. Ludzie na bajdakach budzili się zwolna; wnet ogłoszono rozkazy Krzczowskiego, by się zachować cicho — więc zabierali się do rannego posiłku bez żołnierskiego gwaru. Ktoby przechodził brzegiem, lub płynął środkiem rzeki, aniby się domyślił, że w przyległej lasze ukrywa się kilka tysięcy ludzi. Koniom dawano jeść z ręki, by nie rżały. Bajdaki, zakryte mgłą, leżały przyczajone w lesie szuwarów. Gdzieś tam tylko przemykała się mała „pidjizdka” o dwóch wiosłach, rozwołująca suchary i rozkazy, zresztą wszędzie panowało grobowe milczenie.

Nagle w trawach, trzcinach, szuwarach i zarosłach przybrzeżnych, naokoło całej łąchy, rozległy się dziwne, a bardzo liczne głosy, wołające:

-- Pugu! pugu!...

Cisza...

— Pugu! pugu!

I znowu nastąpiło milczenie, jak gdyby owe głosy, wołające na brzegach, oczekiwały na odpowiedź.

Ale odpowiedzi nie było. Wołania zabrzmiały po raz trzeci, ale szybsze i niecierpliwsze.

— Pugu! pugu!

Wówczas od strony statków rozległ się wśród mgły głos Krzczowskiego:

— A kto taki?

— Kozak z Ługu!

Semenom ukrytym na bajdakach serca zabiły niepokojnie. Tajemnicze owo wołanie było im znane dobrze. W ten sposób zaporozcy porozumiewali się z sobą na zimowiskach, w ten także sposób wczasie wojen zapraszali na rozmowę braci kozaków rejestrowych i grodowych, między którymi bywało wielu należących sekretnie do bractwa.

Głos Krzczowskiego rozległ się znowu:

— Czego chcecie?

— Bohdan Chmielnicki, hetman zaporozki, oznajmia, że działa na łachę są obrócone.

— Powiedzcie hetmanowi zaporozkiemu, że nasze obrócone na brzegi.

— Pugu! pugu!

— Czego jeszcze chcecie?

— Bohdan Chmielnicki, hetman zaporozki, prosi na rozmowę swojego przyjaciela, pana Krzczowskiego pułkownika.

— Niech jeno da zakładników.

— Dziesięciu kurzeniowych.

— Zgoda!

W tej chwili brzegi łachy zakwitły, jakby kwieciami, zaporozcami, którzy popowstawali z pośród traw, między którymi leżeli ukryci. Zdala od stepów nadciągała ich konnica i armaty, ukazały się dziesiątki i setki chorągwi, znamion, buńczuków. Szli ze śpiewaniem i biciem w kotły. Wszystko to razem podobniej-

sze było do radosnego powitania, niż do zetknięcia się wrogich potęg.

Semenowie z bajdaków odpowiedzieli okrzykami. Tymczasem przybyły czółna, wiozące atamanów kurzeniowych. Krzeczowski wsiadł w jedno z nich i odjechał na brzeg. Tam podano mu konia i przeprowadzono natychmiast do Chmielnickiego.

Chmielnicki, ujrzawszy go, uchylił czapki, a następnie powitał go serdecznie.

— Mości pułkowniku — rzekł — stary przyjacielu mój i kumie! Gdy pan hetman koronny kazał ci mnie łapać i do obozu odstawić, tyś tego uczynić nie chciał, jeno mię ostrzegłeś, bym się ucieczką salwowałem, dla którego postępku winieniem ci wdzięczność i miłość braterską!

To mówiąc, rękę uprzejmie wyciągał, ale czar niawa twarz Krzeczowskiego pozostała jak lód zimna.

— Teraz zaś, gdyś się wyratował, mości hetmanie — rzekł — rebelią podniosłeś.

— O swoje to, twoje i całej Ukrainy krzywdy idę się upomnieć, z przywilejami królewskimi w rękę i w tej nadziei, że nasz pan miłościwy za złe mi tego nie poczyta.

Krzeczowski począł patrzeć bystro w oczy Chmielnickiemu i rzekł z przyciskiem:

— Kudak obległeś?

— Ja? Chybabym był z rozumu obran. Kudak minąłem i anim wystrzelił, choć mnie stary ślepiec armatami oznajmiał. Mnie na Ukrainę było pilno, nie do Kudaku, i do ciebie było pilno, do starego druha, dobrodzieja.

— Czego tedy odemnie chcesz?

— Jedź ze mną trochę w step, to się rozmówim.

Ruszyli końmi i pojechali. Bawili z godzinę. Po powrocie, twarz Krzczowskiego była blada i straszna. Wnet też zaczął żegnać się z Chmielnickim, który rzekł mu na drogę:

— Dwóch nas będzie na Ukrainie, a nad nami jeno król i nikt więcej.

Krzczowski wrócił do bajdaków. Stary Barabasz, Flik i starszyna oczekiwali go niecierpliwie.

— Co tam? co tam?—pytano go ze wszystkich stron.

— Wysiadać na brzeg! — odpowiedział rozkazującym głosem Krzczowski.

Barabasz podniósł senne powieki; jakiś dziwny płomień błysnął mu w oczach.

— Jakto?—rzekł.

— Wysiadać na brzeg, poddajem się!

Fala krwi buchnęła na bladą i pożółkłą twarz Barabasza. Wstał z kotła, na którym siedział, wyprostował się i nagle ten zgięty, zgrzybiały starzec zmienił się w olbrzyma, pełnego życia i siły.

— Zdrada!—ryknął.

— Zdrada!—powtórzył Flik, chwytając za rękę jeś rapira.

Ale nim go wydobył, pan Krzczowski świsnął szablą i jednym zamachem rozciągnął go na pomoście.

Następnie skoczył z bajdaku w podjazdkę tuż stojącą, w której siedziało czterech zaporoźców z wioślami w ręku—i krzyknął:

— Między bajdaki!

Czólno pomknęło jak strzała, pan Krzczowski zaś, stojąc w środku, z czapką na okrwawionej szablą, z oczyma jak płomienie, krzyczał potężnym głosem:

— Dzieci! nie będziem swoich mordować! Niech żyje Bohdan Chmielnicki, hetman zaporozcki!

— Niech żyje! — powtórzyły setne i tysiączne głosy.

— Na pohybel lachom!

— Na pohybel!

Wrzaskom z bajdaków odpowiadały okrzyki zaporozców na brzegach. Ale wielu ludzi ze statków, stojących dalej, nie wiedziało jeszcze o co chodzi, dopiero gdy wszędzie rozbiegła się wieść, że pan Krzczowski przechodzi do zaporozców, prawdziwy szal radości ogarnął semenów. Sześć tysięcy czapek wyleciało w górę, sześć tysięcy rusznic huknęło wystrzałami. Bajdaki zatrzęsły się pod stopami mołojców. Powstał tumult i zamieszanie. Wszelako radość owa musiała być krwią oblaną, bo stary Barabaszwolał ginąć, niż zdradzić chorągiew, pod którą wiek życia przesłużył. Kilkudziesięciu ludzi czerkaskich opowiedziało się przy nim i wszczęła się bitwa krótka, straszna—jak wszystkie walki, w których garść ludzi, pożądana, nie łaski, ale śmierci, broni się tłumom. Ani Krzczowski, ani nikt z kozaków nie spodziewał się takiego oporu. W starym pułkowniku rozbudził się dawny lew. Na wezwania, by broń złożył, odpowiadał strzałami—i widziano go z buławą w ręku, z rozwianymi białymi włosami, wydającego rozkazy grzmiącym głosem i z młodzieńczą energią. Statek jego otoczono ze wszystkich stron. Ludzie z tych bajdaków, które nie mogły się docisnąć, wskakiwali w wodę i płynąc lub brodząc między oczeretami, chwytając następnie za krawędź statku, wdzierali się nań z wściekłością. Opór był krótki. Wierni Barabaszwowi semenowie, skłóci, zrąbani

lub porozrywani rękami, zalegli trupem pomost—stary z szablą w ręku bronił się jeszcze.

Krzeczowski przedarł się ku niemu.

— Poddaj się!—krzyknął.

— Zdrajco! na pohybel! — odparł Barabasz i wznosił szablę do cięcia.

Krzeczowski cofnął się szybko w tłum.

— Bij!—zawołał do kozaków.

Ale zdawało się, że nikt nie chce pierwszy podnieść ręki na starca. Na nieszczęście jednak pułkownik pośliznął się we krwi i upadł.

Leżący nie wzbudzał już tego szacunku, czy też przestachu, i wnet kilkanaście ostrzów pogrzyżyło się w jego ciało. Starzec zdołał tylko wykrzyknąć: „Jezus Marya!”

Zaczęto siekać leżącego i rozsiekano w kawałki. Uciętą głowę przerzucano z bajdaku do bajdaku, bawiąc się nią, jak piłką, dopóty, dopóki po niezręcznym rzuceniu nie wpadła w wodę.

Pozostawali jeszcze Niemcy, z którymi trudniejsza była sprawa, bo regiment składał się z tysiąca staro i wyćwiczonego w różnych wojnach żołnierza.

Dzielny Flik poległ wprawdzie z ręki Krzeczowskiego, ale na czele regimentu pozostał Johan Werner, podpułkownik, weteran jeszcze z trzydziestoletniej wojny.

Krzeczowski pewny był prawie zwycięstwa, gdyż bajdaki niemieckie otoczone były ze wszystkich stron kozackimi, chciał jednak zachować dla Chmielnickiego tak znaczny zastęp niezrównanej i doskonale uzbrojonej piechoty, dlatego wołał z niemi rozpocząć układy.



Zdawało się przez jakiś czas, że Werner zgadza się na nie, gdyż rozmawiał spokojnie z Krzeczowskim i słuchał uważnie wszelkich obietnic, jakich mu prze-niewierczy pułkownik nie szczędził. Żołd, z którym Rzeczpospolita była zaległa, miał być natychmiast za ubiegły czas i za rok jeszcze z góry wypłacony. Po roku knechtowie mogli się udać, gdzieby chcieli, choćby nawet do obozu koronnego.

Werner niby namyślał się, ale tymczasem wydał cicho rozkazy, by bajdaki przysunąć do siebie, tak, aby utworzyły jedno zwarte koło. Na okręgu tego koła stanął mur piechurów, ludzi rosłych i silnych, przybranych w żółte kolety i takieżże barwy kapelusze, w zupełnym szyku bojowym, z lewą nogą wysuniętą naprzód do strzału i z muszkietami przy prawym boku.

Werner z obnażoną szpadą w rękę stał w pierwszym szeregu i namyślał się długo.

Nakoniec podniósł głowę:

— Herr Hauptman!—zgadzamy się!

— Nie straciecie na nowej służbie—zawołał z radością Krzeczowski.

— Ale pod warunkiem...

— Zgadzam się zgóry.

— Jeżeli tak, to i dobrze. Nasza służba u Rze-czypospolitej kończy się w czerwcu. Od czerwca pójdziemy do was.

Przekleństwo wyrwało się z ust Krzeczowskiego, powstrzymał jednak wybuch.

— Czy kpisz, mości lejtnancie?—spytał.

— Nie!—odparł z flegmą Werner.— Nasza cześć żołnierska każe nam układu dotrzymać. Służba kończy

się w czerwcu. Służymy za pieniądze, ale nie jesteśmy zdrajcami. Inaczej niktby nas nie najmował, a i wy sami nie ufalibyście nam, bo ktoby wam ręczył, że w pierwszej bitwie nie przejdziem znowu do hetmanów.

— Czego tedy chcecie?

— Byście nam dali odejść

— Nie będzie z tego nic, szalony człowiecze!

Każę was w pień wyciąć.

— A ilu swoich stracisz?

— Noga z was nie ujdzie.

— Połowa z was nie zostanie.

Obaj mówili prawdę, dlatego Krzeczowski, chociaż flegma Niemca wzburzyła w nim wszystką krew, a wściekłość poczynała go dławić, nie chciał jeszcze rozpoczynać bitwy.

— Nim słońce zejdzie z łąchy — zawołał — namyślcie się, poczem każę cyngłów ruszać!

I odjechał pośpiesznie w swojej podjazdce, by się z Chmielnickim naradzić.

Nastąpiła chwila oczekiwania. Bajdaki kozackie otoczyły ciaśniejším pierścieniem Niemców, którzy zachowywali chłodną postawę, jaką tylko stary i bardzo wyćwiczony żołnierz zdoła zachować w obec niebezpieczeństwa. Na groźby i obelgi, wybuchające co chwila z kozackich bajdaków, odpowiadali pogardliwym milczeniem. Był to prawdziwie imponujący widok tego spokoju wśród coraz silniejszych wybuchów wściekłości ze strony mołojców, którzy, potrzęsając groźnie spisami i „piszczelami,” zgrzytając zębem i klnąc, oczekiwali niecierpliwie hasła do boju.

Tymczasem słońce, skreślając od południa ku zachodniej stronie nieba, zdejmowało zwolna swoje

złote blaski z łąchy, która stopniowo pograżała się w cieniu.

Nakoniec pograżała się zupełnie.

Wówczas zagrała trąbka, a zaraz potem głos Krzczowskiego ozwał się zdaleka:

— Słońce zeszło! czy już namyśliliście się?

— Już! — odparł Werner. — I zwróciwszy się ku żołnierzom, machnął obnażoną szpadą.

— Feuer! — skomenderował spokojnym, flegmatycznym głosem.

Huknęło! Plusk ciał wpadających do wody, okrzyki wściekłości i gorączkowa strzelanina odpowiadały na głos niemieckich muszkietów. Armaty zatoczone na brzeg ozwały się basem i poczęły ziać kule na niemieckie bajdaki. Dymy przesłoniły łąchę zupełnie — i tylko wśród krzyków, huku, poświstu strzał tatarskich, grzechotania „piszczeli” i samopałów, regularne salwy muszkietów zwiastowały, że Niemcy bronią się ciągle.

O zachodzie słońca bitwa wrzała jeszcze, ale zdawała się słabnąć. Chmielnicki, w towarzystwie Krzczowskiego, Tuhaj-beja i kilkanastu atamanów, przyjechał na sam brzeg rekognoskować walkę. Rozdęte jego nozdrza wciągały dym z prochu, a uszy napawały się z lubością wrzaskiem tonących i mordowanych Niemców. Wszyscy trzej wodzowie patrzyli na rzeź, jakby na widowisko, które zarazem stanowiło pomyslną dla nich wróżbę.

Walka ustawała. Wystrzały umilkły, a natomiast coraz głośniejsze okrzyki kozackiego tryumfu biły o niebo.

— Tuhaj-beju! — rzekł Chmielnicki — to dzień pierwszego zwycięstwa.

— Jasyru nie ma!—odburknął murza—nie chcę takich zwycięstw!

— Weźmiesz go na Ukrainie. Cały Stambuł i Galatę napelnisz swymi jeńcami!

— Wezmę choć ciebie, jak nie będzie kogo!

To rzekłszy, dziki Tuhaj roześmiał się złowrogo—po chwili zaś dodał:

— Jednakże chętnie byłbym wziął tych „franków.”

Tymczasem bitwa ustała zupełnie. Tuhaj-bej zawrócił konia ku obozowi, a za nim i inni.

— No! teraz na Żółte wody! — zawołał Chmielnicki.

## ROZDZIAŁ XV.

---

Namiestnik, słysząc bitwę, wyczekiwał ze drżeniem jej końca, sądząc początkowo, że Chmielnicki potyka się ze wszystkimi siłami hetmanów.

Ale pod wieczór, stary Zachar wyprowadził go z błędu. Wieść o zdradzie semenów pod wodzą Krzeczowskiego i wycięciu Niemców wzburzyła do głębi duszy młodego rycerza, była bowiem zapowiedzią przeszłych zdrad, a namiestnik wiedział doskonale, że nie mała część wojsk hetmańskich składa się przeważnie z kozaków.

Udręczenia namiestnika wzrastały, a tryumf w zaporozkim obozie dorzucał do nich jeszcze goryczy. Wszystko zapowiadało się jaknajgorzej. O księciu nie było wieści – a hetmani popełnili widocznie straszliwy błąd, gdyż zamiast ruszyć wszystką potęgą ku Kudakowi, albo zresztą czekać nieprzyjaciela w warownych obozach na Ukrainie, rozdzielili siły, osłabili się dobrowolnie, dali szerokie pole wiarołomstwu i zdradzie. W obozie zaporozkim mówiono wprawdzie już poprzednio o panu Krzeczowskim i o osobnem wysłaniu wojsk pod wodzą Stefana Potockiego, ale namiestnik nie dawał wiary tym wieściom. Sądził, że to są silne podjazdy, które

w porę będą cofnięte. Tymczasem stało się inaczej. Chmielnicki wzmocnił się przez zdradę Krzeczowskiego kilkoma tysiącami ludzi, a nad młodym Potockim zawisło straszliwe niebezpieczeństwo. Pozbawionego pomocy i zabląkanego w pustyniach, łatwo teraz mógł Chmielnicki otoczyć i zgnieść zupełnie.

W bólach od ran, w niepokoju, w czasie nocy bezsennych, pocieszał się Skrzetuski tylko myślą o księciu. Gwiazda Chmielnickiego musi przecie zblednąć, gdy księżę podniesie się w swoich Łubniach. A któż może wiedzieć, czy on już nie połączył się z hetmany? Jakkolwiek znaczne były siły Chmielnickiego, jakkolwiek początki pochodu pomyślne, jakkolwiek szedł z nim Tuhaj-bej, a w razie niepowodzenia obiecał ruszyć w pomoc sam „carz” krymski, Skrzetuskiemu ani w głowie nie powstała myśl, by ta zawierucha mogła trwać długo, by jeden kozak mógł wstrząsnąć całą Rzeczpospolitą i złamać groźną jej siłę. U progów ukraińnych ta fala się rozbija—myślał namiestnik. Jakże to bowiem kończyły się wszystkie buntury kozackie? Wybuchały jak płomień i gasły po pierwszym zetknięciu się z hetmanami. Tak było aż dotąd. Gdy z jednej strony stawało do boju gniazdo drapieżników niżowych, z drugiej potęga, której brzegi oblewały dwa morza—rozwiązanie łatwym było do przewidzenia. Burza nie może być trwałą, więc przejdzie — i nastanie pogoda. Ta myśl krzepiła pana Skrzetuskiego i, można rzec, utrzymywała go na nogach, bo zresztą ciążyło na nim brzemień tak ciężkie, jakiego nigdy dotąd w życiu nie dźwigał. Burza choć przejdzie, może spustoszyć pola, zburzyć domy i naczynić szkód niepowetowanych. Oto z przyczyny tej burzy, on sam o mało życia nie stra-

cił, sił się zbawił i popadł w gorzką niewolę, właśnie wówczas, gdy mu na wolności tyle prawie, ile na samem życiu zależało. Jakże tedy od zawieruchy mogły ucierpieć istoty słabsze, nieumiejące się bronić? Co tam działo się w Rozłogach z Helena?'

Ale Helena musiała być już w Łubniach. Namiestnik widywał ją we snach otoczoną przez twarze życzliwe, przyhołubioną przez samego księcia i księżnę Gryzeldę, podziwianą przez rycerzy — a jeno tęskną za swoim usarzem, który gdzieś przepadł na Siczy. Ale przyjdzie wreszcie chwila, że usarz wróci. Oto sam Chmielnicki przyrzekł mu wolność — a zresztą fala kozacka płynie i płynie do progów Rzeczypospolitej; gdy się rozbije, będzie koniec zmartwieniom, zgryzotom i niepokojom.

Fala płynęła rzeczywiście. Chmielnicki, nie zwłócząc, ruszył obóz i ciągnął na spotkanie syna hetmańskiego. Siła jego była już rzeczywiście groźną, bo wraz z semenami Krzczowskiego i czambułem Tuhaj-beja, wiódł blisko 25 tysięcy wyćwiczonych i boju chciwych wojowników. O siłach Potockiego nie było pewnych wiadomości. Zbiegowie mówili, że prowadzi dwa tysiące ciężkiej jazdy i kilkanaście armatek. Bitwa w tej proporcji sił mogła być wątpliwą, bo jeden atak straszliwej husaryi wystarczał często do zgniecenia dziesięćkroć liczniejszych zastępów. Tak pan Chodkiewicz, hetman litewski, w trzy tysiące husarzy starł czasu swego pod Kircholmem na proch ośmnaście tysięcy wybranej piechoty i jazdy szwedzkiej; tak pod Kłuszynem jedna chorągiew pancerna w szalonej furji rozniosła kilka tysięcy angielskich i szkockich najemników. Chmielnicki pamiętał o tem, więc szedł, wedle

słów ruskiego kronikarza, zwolna i ostrożnie: „mnogimi umu swojego oczyma, jako łowiec chytry, na wszystkie strony poglądając i strażę na miłę i dalej od obozu mając”<sup>1)</sup>. Tak zbliżył się ku Żółtej wodzie. Złapano znowu dwóch języków. Ci potwierdzili szczupłość sił koronnych i donieśli, iż kasztelan przepawił się już przez Żółtą wodę. Zaskłyszawszy to, Chmielnicki stanął jak wryty na miejscu i okopał się wałami.

Serce biło mu radośnie. Jeżeli Potocki odważy się na szturm, tedy musi być pobity. Kozacy nie umiają dostać w polu pancernym, ale z za wału biją się doskonale i w tak wielkiej przewadze sił szturmę niechybnie odeprą. Chmielnicki liczył na młodość i niedoświadczenie Potockiego. Ale przy młodym kasztelanie był doświadczony żołnierz, staroście żywiecki, pan Stefan Czarniecki, pułkownik usarski. Ten spostrzegł niebezpieczeństwo i skłonił kasztelana, by cofnął się napowrót za Żółtą wodę.

Chmielnickiemu nie pozostało nic innego, jak ruszyć za nimi. Drugiego dnia, przeprawiwszy się przez topieliska żółtowodzkie, oba wojska stanęły sobie oko w oko.

Ale żaden z wodzów nie chciał uderzyć pierwszy. Nieprzyjazne obozy poczęły pośpiesznie otaczać się szanćcami. Była to sobota, dzień 5-ty maja. Cały dzień deszcz lał obficie. Chmury zawałyły tak niebo, iż od południa panował mrok, jakoby w dniu zimowym. Pod wieczór ulewa zwiększyła się jeszcze. Chmielnicki ręce zacierał z radości.

---

<sup>1)</sup> Samoit Weliczko, 62.



— Niech jeno step rozmięknie — mówił do Krzewowskiego — a nie będę się wahał wstępnym bojem i z usarją się potykać, gdyż oni w swych ciężkich zbrojach w błocie potoną.

A deszcz padał i padał, jakby samo niebo chciało Zaporozu przyjść w pomoc.

Wojska okopywały się leniwie i posepnie, wśród strug wody. Ognie nie można było rozpalić. Kilka tysięcy ordynców wyszło z obozu pilnować, aby tabor polski, korzystając z mgły, fali i nocy, nie próbował się wymknąć. Poczem zapadła cisza głęboka. Słychać było tylko szelest ulewy i szum wiatru. Zapewne też nikt nie spał w obu obozach.

Nad ranem trąby zagrały w polskim obozie długo i żałośnie, jakby na trwozę, potem bębny tu i owdzie zaczęły warczeć. Dzień wstawał smutny, ciemny, wilgotny, nawałnica ustała, ale padał jeszcze drobny deszczyk, jakoby przesiewany przez sito.

Chmielnicki kazał uderzyć z działa.

Za niem wnet ozwało się drugie, trzecie, dziesiąte i gdy z obozu do obozu zaczęła się zwykła z armat „korespondencya,” pan Skrzetuski rzekł do swego kozackiego anioła stróża:

— Zachar, wyprowadź mię na szaniec, abym zaś mógł widzieć, co się dzieje.

Zachar sam był ciekawy, więc nie stawiał oporu. Poszli na wysoki narożnik, z kąd widać było, jak na dłoni, zakłęśłą nieco dolinę stepową, topieliska żółtowodzkie i oba wojska. Ale zaledwie pan Skrzetuski spojrział, wraz się uchwycił za głowę i wykrzyknął:

— Na Boga żywego! toż to jest podjazd, nie więcej!

Rzeczywiście wały obozu kozackiego rozciągały się blisko na ćwierć mili, gdy tymczasem polski wy-

glądał w porównaniu z nim, jak szanńczyk tylko. nierówność sił była tak wielka, że zwycięstwo kozaków nie mogło być wątpliwem.

Ból ścisnął serce namiestnika. Nie nadeszła więc jeszcze godzina upadku dla pychy i buntu, a ta, co nadejdzie, ma być ncwym jego tryumfem! Tak się przynajmniej zdawało.

Harce pod ogniem dział były już rozpoczęte. Z narożnika widać było pojedynczych jeźdźców, albo gromadki ich, ścierające się ze sobą. To tatarzy harcowali z semenami Potockich, przybranymi w granatowe i żółte barwy. Jeźdźcy dopadali do siebie i odskakiwali szybko, zajeżdżali się wzajemnie z boków, godzili w siebie z pistoletów i łuków, lub włóczniami starali się chwytać wzajemnie na arkany. Utarczki owe wydawały się zdaleka raczej zabawą, i tylko konie, biegające tu i owdzie bez jeźdźców po błoniu, wskazywały, że tam przecie chodzi o śmierć i życie.

Tatarów wysypywało się coraz więcej. Wkrótce błonie zaczęło się od zbitych ich mas, wówczas też i z obozu polskiego poczęły wysuwać się coraz nowe chorągwie i ustawiać się w szyku bojowym przed okopem. Było tak blisko, że pan Skrzetuski bystrym swym wzrokiem odróżnić mógł wyraźnie znaki, buńczuki, a nawet rotmistrzów i namiestników, którzy stawali końmi trochę bokiem przy chorągwiach.

Serce poczęło w nim skakać, na bladą twarz były rumieńce i jak gdyby mógł znaleźć wdzięcznych słuchaczy w Zacharze i kozakach, stojących przy działach na narożniku, wołał z uniesieniem, w miarę jak chorągwie wysuwały się z za okopu:

— To dragonia pana Bałabana, widziałem ich w Czerkasach!

— To wołoska chorągiew; krzyż mają w znaku!

— O! ono piechota zstępuje z wałów!

Poczem jeszcze z większem uniesieniem, otworzywszy ręce:

— Usarya! usarya pana Czarnieckiego!

Istotnie ukazała się i husarya, nad nią chmura skrzydeł i sterzący w górę las włóczni, zdobnych w złotawe kitajki i w długie zielono-czarne proporce. Wyjechali szóstkami z okopu i ustawili się pod wałem, a na widok ich spokoju, powagi i sprawności, aż łyż radosne ukazały się w oczach pana Skrzetuskiego i zaćmiły mu wzrok na chwilę.

Choć siły były tak nierówne, choć naprzeciwno tych kiku chorągwi czerniała cała ława zaporoźców i tatarów, którzy jak zwykle zajęli skrzydła, choć szyki ich tak rozciągnęły się po stepie, że końca ich trudno było dojrzeć, pan Skrzetuski wierzył już w zwycięstwo. Twarz mu się śmiała, siły wróciły, oczy wytężone na błonie strzelały ogniem, jeno na miejscu ustać nie mógł.

— Hej, *detyno!* — mruknął stary Zachar — chciałyby dusza do rajy!

Tymczasem kilka luźnych oddziałów tatarskich z krzykiem i ałachowaniem rzuciło się naprzód. Z obodu odpowiedziano strzałami. Ale był-to tylko postrach. Tatarzy, nie dobiegłszy nawet do polskich chorągwi, pierzchnęli na obie strony ku swoim i znikli w tłumie.

Wtem ozwał się wielki bęben siczowy, a na jego głos wnet olbrzymi półksiężyc kozacko-tatarski ruszył z kopyta naprzód. Chmielnicki próbował widocznie, czy jednym zamachem nie zdoła zgnieść owych chorągwi i zająć obozu. W razie popłochu byłoby to możli-

wem. Wszelako nie podobnego nie okazywało się między polskimi chorągwiemi. Stały one spokojnie, rozwinięte w dość długą linią, której tył zasłaniał okop, boki zaś działa taborowe, tak, że można było na nią uderzyć tylko z frontu. Przez chwilę zdawało się, że przyjmą bitwę na miejscu, ale gdy półksiężyc przebiegł już połowę błonia, ozwały się w okopie trąbki do ataku — i nagle plot kopij, sterczących aż dotąd ku górze, zniżył się odrazu do głów końskich.

— Usarya uderza! — krzyknął pan Skrzetuski.

Jakoż pochylili się w siodłach i ruszyli naprzód, a zaraz za nimi dragońskie chorągwie i cała linia bojowa.

Uderzenie husarzy było straszne. W pierwszym impecie trafili na trzy kurzenie, dwa Steblowskie i Mirhorodzki — i starli je w mgnieniu oka. Wycie doszło aż do uszu pana Skrzetuskiego. Konie i ludzie, zwaleni z nóg olbrzymim ciężarem żelaznych jeźdźców, padli jak łan pod technieniem burzy. Opór trwał tak krótko, że Skrzetuskiemu zdało się, iż jakiś olbrzymi smok połknął jednym haustem te trzy pułki. A był-to przecie najzaciętszy żołnierz siczowy. Przerażone szumem skrzydeł konie, zaczęły roznosić popłoch w szeregach zaporozkich. Pułki Irklejewski, Kałnibołocki, Miński, Szkuryński i Titorowski zmieszały się zupełnie, a naciśkane przez masy pierzchających, jęły i same ustępować bezładnie. A tymczasem dragonia dognała husarzy i rozpoczęła wraz z nimi krwawę żniwo. Kurzeń Wasiuryński pierzchnął po zaciętym, ale krótkim oporze i gnał w dzikim popłochu aż do samych okopów kozackich. Środek sił Chmielnickiego chwiał się coraz bardziej i bity, spędzany w bezładne gromady,

cięty mieczami, party żelazną nawałą, nie mógł uchwycić chwili, by przystanąć i sprawić się na nowo.

— Czorty, ne lachy! — krzyknął stary Zachar.

Skrzetuski był jakby w obląkaniu. Chorym będąc, nie umiał panować nad sobą, więc śmiał się i płakał jednocześnie, a chwilami krzyczał słowa komendy, jakby sam chorągiew prowadził. Zachar trzymał go za poły i innych w pomoc musiał wołać.

Bitwa przybliżyła się tak do taboru kozackiego, że niemal twarze można było już rozeznąć. Z okopów bito z dział, ale kule kozackie, kładąc zarówno swoich jak nieprzyjaciół, powiększały jeszcze zamieszanie.

Husarya natknęła się na kurzeń Paszkowski, który stanowił gwardyą hetmańską i w środku którego był sam Chmielnicki. Nagle krzyk straszny rozległ się po wszystkich szeregach zaporozkich: wielka chorągiew malinowa zachwiała się i padła.

Ale w tej chwili Krzczowski na czele pięciu tysięcy swoich semenów ruszył do boju. Siedząc na bułanym ogromnym koniu, leciał w pierwszym szeregu, bez czapki, z szablą nad głową, zgarniając przed sobą rozproszonych niżowców, którzy, spostrzegłszy nadchodzącą pomoc, choć i bez ordynku, wracali do ataku. Bitwa zawrzała w środku linii nanowo.

Na obu skrzydłach szczęście również nie dopisało Chmielnickiemu. Tatarzy, po dwakroć odparci przez wołoskie chorągwie i semenów Potockich, stracili całkiem ochotę do boju. Pod Tuhaj-bejem ubito dwa konie. Zwycięstwo przechyliło się stanowczo na stronę młodego Potockiego.

Bitwa jednak nie trwała już długo. Ulewa, która od niejakiego czasu wzrastała coraz bardziej, wkrótce

zwiększyła się do tego stopnia, że przez fale dżdżowe świata nie było widać. Już nie strugi, ale potoki deszczu spadały na ziemię z otwartych upustów niebieskich. Step zmienił się w jezioro. Zrobiło się tak ciemno, że o kilka kroków człowiek człowieka nie odróżniał. Szum deszczu głużył komendę. Zamoczone muszkiety i samopały umilkły. Samo niebo położyło koniec rzezi.

Chmielnicki, przemoczoony do nitki, wściekły, wpadł do swego taboru. Nie przemówił do nikogo ani słowa. Rozbito mu namiocik ze skór wielbłądzych, pod który schroniwszy się, siedział samotny, przeżuważając gorzkie myśli.

Ogarniała go rozpacz. Teraz dopiero pojął, jakiego to jał się dzieła. Oto był pobity, odparty, niemal złamany w bitwie z tak małemi siłami, że słusznie mógł je za podjazd uważać. Wiedział on, jak wielką była siła odporna wojsk Rzeczypospolitej, i brał to w rachubę, gdy się na wojnę odważył, a przecie przeliczył się. Tak przynajmniej zdawało mu się w tej chwili, więc chwycił się za podgolony łeb i pragnął rozbić go o pierwsze spotkane działo. Cóż dopiero, gdy przyjdzie mieć sprawę z hetmanami i z całą Rzplitą?

Rozmyślenia przerwało wejście Tuhaj-beja.

Oczy tatarza pałały wściekłością, twarz była biała, a zęby błyskały z za warg nieobrosłych wąsem.

— Gdzie łupy, gdzie jeńcy, gdzie głowy wodzów, gdzie zwycięstwo?—pytał ochryłym głosem.

Chmielnicki zerwał się z miejsc.

— Tam!—odparł gromko, ukazując w stronę koronnego taboru.

— Idź-że tam! — ryknął Tuhaj-bej — a nie pójdziesz, to cię na sznurze do Krymu powiodę.

— Pójdę! — rzekł Chmielnicki — pójdę dziś jeszcze! Łupy wezmę i jeńców wezmę, ale ty zdasz sprawę chanowi, bo łupu chcesz, a boju unikasz!

— Psie! — zawył Tuhaj — ty gubisz wojsko chanowe!

I chwilę stali naprzeciw siebie, parskając nozdrzami. Ochłonął pierwszy Chmielnicki.

— Tuhaj-beju, uspokój się! — rzekł. — Fala prze-rwała bitwę, gdy Krzeczowski złamał już dragonią. Ja ich znam! Jutro już z mniejszą furją bić się będą. Step rozmięknie do reszty. Husarya ulegnie. Jutro wszyscy będą nasi.

— Rzekłeś! — burknął Tuhaj-bej.

— I dotrzymam. Tuhaj-beju, mój przyjacielu, chan mi cię na pomoc przysłał, nie na biedę.

— Przrzekałeś zwycięstwa, nie klęski.

— Wzięto trochę jeńców z dragonii, których ci oddam.

— Oddaj. Każę ich na pal powbijać.

— Nie czyn tego. Puść ich wolno. To ludzie ukraiński z pod chorągwi Bałabana, pošlem ich, by draganów na naszą stronę przeciagnęli. Będzie tak, jak z Krzeczowskim.

Tuhaj-bej udobruchał się; spojrział bystro na Chmielnickiego i mruknął:

— Wężu...

— Chytróść tyle co meztwo warta. Jeśli draganów do zdrady namówim, noga z taboru nie ujdzie — rozumiesz!

— Potockiego ja wezmę.

— Dam ci go — i Czarnieckiego także.

— Daj teraz gorzałki, bo zimno.

— Zgoda.

W tej chwili wszedł Krzeczowski. Pułkownik był ponury, jak noc. Przyszłe pożądane starostwa, kasztelanie, zamki i skarby, zasunęły się jakby mgłą po dzisiejszej bitwie. Jutro mogą zniknąć całkowicie; a może z owej mgły wynurzy się, zamiast nich, stryżek lub szubienica. Gdyby nie to, że pułkownik, wyciąwszy Niemców hetmańskich, spalił za sobą mosty—byłby z pewnością teraz rozmyślał, jak z kolei zdradzić Chmielnickiego, a przejść z semenami do obozu Potockiego.

Ale było to już niemożliwe.

Siedli tedy we trzech nad gąsiorem gorzałki i poczęli pić w milczeniu. Szum ulewy ustawał zwolna.

Zmierzchało.

Pan Skrzetuski, wyczerpany z radości, osłabły, blady, leżał nieruchomie na teledze. Zachar, który go pokochał, kazał swoim kozakom rozpiąć i nad nim wojskowy daszek. Namiestnik słuchał posępnego szumu ulewy, ale w duszy było mu widno, jasno, błogo. Oto jego husarze pokazali co umieją, oto jego Rzeczpospolita dała opór godny swego majestatu, oto pierwszy impet kozackiej burzy rozbił się już na ostrzach włóczy wojak koronnych. A przecie są jeszcze hetmani, jest książę Jeremi i tylu panów, tyle szlachty; tyle potęgi, nad tem wszystkim zaś król — primus inter pares.

Duma podnosiła piersi pana Skrzetuskiego, jak gdyby cała ta potęga była w nim teraz.

W poczuciu jej, po raz pierwszy od czasu utraty wolności na Siczy, poczuł pewną litość nad kozakami: winni są, ale i zaślepieni, gdy z motyką na słońce się porwali—pomyślał. Winni są, ale nieszczęśni, gdy dali



się porwać jednemu człowiekowi, który ich na oczywistą zgubę prowadzi.

Potem myśl jego wędrowała dalej. Nastanie spokój, a wówczas każdy o swem prywatnem szczęściu będzie miał prawo pomyśleć. Tu pamięcią i duszą zawisnął nad Rozłogami. Tam, w bliskości lwiej jamy, musi być cicho, jak makiem siał. Tam bunt nigdy gło- wy nie podniesie, a choćby podniósł—Helena już w Łubniach niezawodnie.

Nagle huk dział przerwał złote nici jego rozmyślań.

To Chmielnicki, upiwszy się, wyprowadził znowu pułki do ataku.

Ale skończyło się na grze z dział. Krzeczowski pohamował hetmana.

Nazajutrz była niedziela. Cały dzień zeszedł spokojnie i bez wystrzału. Obozy leżały naprzeciw siebie, jakby obozy dwóch wojsk sprzymierzonych.

Skrzetuski przypisywał tę ciszę zniechęceniu kozaków. Niestety! nie wiedział, że tymczasem Chmielnicki, „mnogiemi oczyma swego umu patrząc przed siebie,” pracował nad przeciagnieniem na swą stronę draganów Bałabana.

W poniedziałek bitwa zawrzała od świtu. Skrzetuski patrzył na nią, jak i pierwej, z uśmiechniętą, wesołą twarzą. I znowu pułki koronne wystąpiły przed okop, tym jednak razem nie puszczając się do ataku, dawały wstret nieprzyjacielowi z miejsca. Step rozmo- knął nietylko na powierzchni, jak pierwszego dnia bi- twy, ale do głębi. Ciężka jazda nie mogła się pra- wie poruszać, co odrazu dało przewagę lotnym chorą- gwiom zaporozkim i tatarskim. Uśmiech zwolna ginął

z ust Skrzetuskiego. Pod polskim okopem nawałnica atakujących pokryła prawie zupełnie wązkie pasmo chorągwi koronnych. Zdawało się, że lada moment łańcuch ów rozerwany zostanie i rozpocznie się atak wprost do okopów. Pan Skrzetuski nie widział ani połowy tego animuszu, tej ochoty bojowej, z jaką chorągwie walczyły dnia pierwszego. Broniły się i dziś z zaciętością, ale nie uderzały pierwsze, nie rozbijały w puch kurzeniów, nie zmiatały pola przed sobą, jak huragan. Grunt stepowy, rozmiękły nie na powierzchni tylko, ale do głębi, uniemożliwiał furją i rzeczywistość przygwoździł ciężką jazdę pod okopem. Rozpęd stanowił jej siłę i rozstrzygał o zwycięztwie, a tymczasem teraz musiała stać w miejscu. Chmielnicki zaś wprowadzał coraz nowe pułki do boju. Sam był wszędzie. Każdy kurzeń osobiście wiódł do ataku i wycofywał się dopiero tuż przed szablami nieprzyjaciół. Zapał jego udzielał się stopniowo zaporozcom, więc choć padali gęstym trupem, biegli na wyścigi pod okop, z krzykiem i wyciem. Uderzali o mur żelaznych piersi, o ostrza włóczni i rozbici, zdziesiątkowani, wracali znowu do ataku. Pod tym naporem chorągwie poczęły się kolebać, uginać, miejscami cofać, tak właśnie, jak zapaśnik chwycony w żelazne ramiona przeciwnika, to słabnie, to się znów wysila i wzmaga.

Przed południem wszystkie niemal siły zaporozkie były w ogniu i w bitwie. Walka wrzała tak zacięcie, że między dwiema liniami walczących utworzył się jakgdyby nowy wał—trupów końskich i ludzkich.

Co chwila do okopów kozackich wracały z bitwy gromady wojowników rannych, pokrwawionych, pokrytych błotem, zziajanych, upadających ze zmęczenia.

Ale wracali ze śpiewaniem na ustach. Z twarzy ich bił żar bitwy i pewność zwycięstwa. Mdlejąc, wołali jeszcze: „na pohybel!” Załoga zostawiona w obozie rwała się do boju.

Pan Skrzetuski sposepniał. Chorągwie polskie poczęły się zmykać z pola do okopów. Nie mogły już wytrzymać, a w odwrocie ich znać było gorączkowy pośpiech. Na ten widok dwadzieścia kilka tysięcy ust wrzasnęło radośnie. Impet ataku zdwoił się. Zaporozcy siedli na kark semenom Potockich, którzy zasłaniali odwrót.

Ale armaty i grad kul muszkietowych odrzuciły ich w tył. Bitwa na chwilę ustała. W obozie polskim rozległ się odgłos trąbki parlamentarskiej.

Chmielnicki jednak nie chciał już parlamentować. Dwanaście kurzeniów zsiadło z koni, by wspólnie z piechotą i tatarami rozpocząć szturm do wałów.

Krzeczowski w trzy tysiące piechoty miał im przyjść w pomoc w chwili stanowczej. Wszystkie kotły, bębny, litaury i trąby ozwały się naraz, głośniejąc okrzyki i salwy muszkietów.

Pan Skrzetuski ze drżeniem patrzył na głębokie szeregi nieznanej piechoty zaporozkiej, biegnącej ku wałom i otaczającej je coraz ciasniejszym pierścieniem. Długie smugi białego dymu wybuchły ku niej z okopów, jakby jakaś olbrzymia pierś chciała oddmuchać tę szarańczę, cisnącą się nieubłaganie ze wszystkich stron. Kule armatnie ryły w niej bruzdy, strzały samopalów stały się coraz szybsze. Huk nie ustawał ani na chwilę—mrowie topniało w oczach, skręcało się miejscami konwulsyjnie, jak olbrzymi wąż zraniony, ale szło naprzód. Już, już dobiegają! już są

pod okopem!—armaty już im szkodzić nie mogą! Pan Skrzetuski przymknął powieki.

I teraz pytania szybkie, jak błyskawice, przelały mu przez głowę: gdy otworzy oczy, czy dojrzy jeszcze polskie proporce na wałach? Dojrzy—nie dojrzy? Tam gwar coraz większy, tam wrzask jakiś niezwykły. Musiało się coś stać? Krzyki dochodzą ze środka obozu. Co to jest? Co się stało?

— Boże wszechmocny!

Okrzyk ten wyrwał się z ust pana Skrzetuskiego, gdy otworzywszy oczy, ujrzał na wałach, zamiast wielkiej złotej chorągwi koronnej, malinową z archaniołem.

Obóz był zdobyty.

Wieczorem dopiero dowiedział się od Zachara namiestnik o całym przebiegu szturm. Nie próżno Tuhajbej nazywał Chmielnickiego wężem, bo oto w chwili najzaciętszej obrony, podmówiona przez niego Bałabanowa dragonia przeszła do kozaków i rzuciwszy się z tyłu na swoje chorągwie, dopomogła do wytopienia ich ze szczętem.

Wieczorem widział namiestnik jeńców i był przy śmierci młodego Potockiego, który, mając gardło przebite strzałą, żył tylko kilka godzin po bitwie i umarł na rękę pana Stefana Czarnieckiego: „Powiedźcie ojcu—szeptał w ostatniej chwili młody kasztelan—powiedźcie ojcu — żem... jako rycerz...” i nie mógł nic więcej dodać. Dusza jego opuściła ciało i uleciała ku niebu. Skrzetuski długo potem pamiętał tę bladą twarz i te błękitne oczy, wzniesione w chwili śmierci. Pan Czarniecki ślub czynił nad stygnącym ciałem, że dali mu Bóg wolność odzyskać, a potokami krwi śmierć przyjaciela i hańbę kłęski obmyje. I ani łza nie ciekła

po surowem jego obliczu, bo to był rycerz żelazny, wielce już czynami odwagi wsławiony i człowiek żadnem nieszczęściem nieugięty. Jakoż śluby spełnił. Teraz, zamiast desperacyi się poddawać, pierwszy krzepił Skrzetuskiego, który cierpiał strasznie nad klęską i hańbą Rzeczypospolitej.—Rzeczpospolita niejedną klęskę poniosła, mówił pan Czarniecki, ale ma ona w sobie siłę niespożytą. Nie złamała jej dotąd żadna potęga, nie złamię i bunty chłopów, których sam Bóg pokarze, gdyż występując przeciw zwierzchności, jego-to woli się oponują. A co do klęski, prawda, iż jest żalostną—ale któż tę klęskę poniósł? hetmani? wojska koronne?—nie! Po odłączeniu się i zdradzie Krzeczowskiego, oddział ów, który prowadził Potocki, tylko za podjazd mógł być uważany. Bunt niechybnie rozejdzie się po całej Ukrainie, gdyż chłopstwo tam harde i do boju wprawione, aleć bunt tam, to przecie nie pierwszozna. Zgaszą go hetmani z księciem Jeremim, których siły nieporuszone dotąd stoją—im zaś potężniej wybuchnie, tem, raz zgaszony, na dłużej, a może na zawsze, ucichnie. Małej wiary i małego serca człowiekiem byłby ten, kto by mógł przypuszczać, iż jakiś watażka kozacki, na współkę z jednym murzą tatarskim, naprawdę mogą potężnemu narodowi zagrozić. Żeby było z Rzeczpospolitą, gdyby prosta zawierucha chłopska miała stanowić o jej losie, o jej egzystencji. Zaiste, z pogardą ciągnęliśmy na onę wyprawę — kończył pan Czarniecki — a choć podjazd nasz starto, mniemam, że hetmani nie mieczem, nie bronią, ale batogami mogą ten bunt przytłumić.

I gdy tak mówił, zdawało się, że to mówi nie jeniec, nie żołnierz po przegranej bitwie, ale dumny

hetman pewny jutrzejszego zwycięstwa. Ta wielkość duszy i wiara w Rzeczpospolitą spłynęły jako balsam na rany namiestnika. Patrzył on z blizką na potęgę Chmielnickiego, więc go też i oślepiła trochę, tembardziej, że aż dotąd szły za nią powodzenia. Ale pan Czarniecki musiał mieć słusność. Siły hetmanów stoją jeszcze nieporuszone, a za nimi cała potęga Rzeczypospolitej, zatem prawa władzy i woli Boskiej. Odchodził tedy namiestnik bardzo na duszy pokrzepion i weselszy, a odchodząc, spytał jeszcze pana Czarnieckiego, czyby nie chciał zaraz układów z Chmielnickim o wolność rozpocząć.

— Tuhaj-bejowym jestem jeńcem — rzekł pan Stefan — jemu też okup zapłacę, a z tym watażką nie chcę mieć do czynienia i katu go oddaję.

Zachar, który panu Skrzetuskiemu ułatwił widzenie się z więźniami, odprowadzając go do telegi, również go po drodze pocieszał: „Nie z młodym Potockim trudno, mówił, z hetmany będzie trudno. Dzieło dopiero poczęte, a jaki będzie koniec — Bóg wie! Hej, nabrali kozacy i tatarzy polskiego dobra, ale wziąć a zachować, inna rzecz. A ty się, *detyno*, nie martw, nie *sum'ij*, bo i tak wolność odzyskasz — ty ruszysz do swoich, a stary będzie już tużył po tobie. Na starość najgorzej samemu na świecie. Z hetmany będzie trudno, oj! trudno!”

Rzeczywiście, zwycięstwo, jakkolwiek świetne, nie rozstrzygało bynajmniej sprawy na korzyść Chmielnickiego. Mogło mu ono nawet wypaść na niekorzyść, bo łatwo było przewidzieć, że teraz hetman wielki, mszcząc śmierć syna, ze szczególną zawziętością na-

stawać będzie na zaporozców i niczego nie omieszka, żeby ich zgnieść odrazu. Hetman w. oto żywił pewną niechęć do księcia Jeremiego, która, choć pokrywana grzecznością, nie mniej objawiała się dość często w rozmaitych okolicznościach. Chmielnicki, wiedząc o tem doskonale, przypuszczał, że teraz niechęć ta ustanie i że teraz pan krakowski pierwszy wyciągnie rękę do zgody, która zapewni mu pomoc wsławionego wojownika i jego potężnych zastępów. A z tak połączonemi siłami, pod takim wodzem, jak książę, Chmielnicki jeszcze mierzyć się nie śmiał, bo sobie jeszcze dostatecznie nie ufał. Postanowił więc spieszyć się, by razem z wieścią o klęsce żółtowodzkiej stanąć na Ukrainie i uderzyć na hetmanów, nimby pomoc książęca nadejść mogła.

Nie dał więc wypoczynku wojskom i drugiego dnia po bitwie, świtanem, ruszono w pochód. Pochód to był tak szybki, jak gdyby hetman uciekał. Rzekłbyś, że powódź step zalewa, i pędzi naprzód, i wzbiera wszystkiemi wodami po drodze. Mijano lasy, dąbrowy, mogiły, przeprawiano się przez rzeki bez wytchnienia. Siły kozackie wzrastały po drodze, bo coraz nowe gromady chłopów, uciekających z Ukrainy, łączyły się z niemi ustawicznie. Chłopi przynosili i wieści o hetmanach — ale sprzeczne. Jedni mówili, że książę siedzi jeszcze za Dnieprem; inni, że już się połączył z wojskami koronnemi. Natomiast wszyscy twierdzili, że Ukraina już w ogniu. Chłopi nie tylko uciekali na spotkanie Chmielnickiego w dzikie pola, ale palili wsie i miasta, rzucali się na swych panów i uzbrajali powszechnie. Wojska koronne były się już od dwóch tygodni. Wycięto Steblew, pod Derenhowcami zaś

przyszło do krwawej bitwy. Kozacy grodowi gdzieś niedzie już przerzucili się na stronę czerni, a wszędzie czekali tylko hasła. Chmielnicki liczył na to wszystko i śpieszył się tem bardziej.

Nakoniec stanął u progu. Czehryn otworzył mu wrota na rozcież. Załoga kozacka przeszła natychmiast pod jego chorągiew. Zburzono dom Czaplińskiego, wyrznięto garsć szlachty, szukającej schronienia w mieście. Radosne krzyki, bicie we dzwony i procesye nie ustawały ani na chwilę. Pożar ogarnął zaraz całą okolicę. Co żyło, chwytalo za kosy, piki i łączyło się z Zaporozem. Tłumy niezmierne czerni spływały do obozu ze wszystkich stron — doszły także i radosne, bo pewne wieści, że ksiązę Jeremi ofiarował wprawdzie pomoc hetmanom, ale jeszcze się z nimi nie połączył.

Chmielnicki odetchnął.

Ruszył bez zwłoki naprzód i szedł już wśród buntu, rzezi i ognia. Świadczyły o tem zgliszcza i trupy. Szedł jak lawina, niszcząc wszystko po drodze. Kraj przed nim powstawał, za nim pustoszał. Szedł jak mściciel, jak legendowy smok. Kroki jego wyciskały krew, oddech wzniecał pożary.

W Czerkasach zatrzymał się z głównymi siłami wysławszy naprzód tatarów pod Tuhaj-bejem i dzikiego Krzywonosą, którzy dognali hetmanów pod Korsuniem i uderzyli na nich bez wahania. Ale śmiałość drogo musieli opłacić. Odparci, zdziesiątkowani, zbici na miazgę, cofnęli się w popłochu.

Chmielnicki zerwał się i szedł im w pomoc. Po drodze doszła go wieść, że pan Sieniawski w kilka chorągwi połączył się z hetmanami, którzy opuścili



Korsuń i ciągną do Bohusławia. Było to prawdą. Chmiel zajął Korsuń bez oporu i pozostawiwszy w nim wozy, zapasy żywności, słowem cały tabór, komunikiem pognął się za nimi.

Nie potrzebował gonić długo, gdyż nie uszli jeszcze daleko. Pod Krutą Bałką przednie jego stráže natknęły się na polski tabór.

Panu Skrzetuskiemu nie było danem widzieć bitwy, gdyż wraz z taborem został w Korsuniu. Zachar umieścił go w rynku, w domu pana Zabokrzyckiego, którego czerń poprzednio powiesiła — i postawił straż z niedobitków Mirhorodzkiego kurzenia, bo tłuszcza ciągle rabowała domy i mordowała każdego, kto się jej wydał lachem. Przez wybite okna widział pan Skrzetuski gromady pijanych chłopów, krwawych, z pozawijanemi rękawami u koszul, włóczących się od domu do domu, od sklepu do sklepu i przeszukujących wszystkie kąty, strychy, poddasza — od czasu do czasu wrzask straszliwy oznajmiał, że znaleziono szlachcica, żyda, mężczyznę, kobietę lub dziecię. Wyciągano ofiarę na rynek i pastwiono się nad nią w sposób najstraszliwszy. Tłuszcza biła się ze sobą o resztki ciała, obmazywała sobie z rozkoszą krwią twarze i piersi, okręcała szyje dymiącemi jeszcze trzębami. Chłopi chwyтали małe żydzięta za nogi i rozdzierali wśród szalonego śmiechu tłumów. Rzucano się i na domy otoczone strażą, w których zamknięci byli znakomitsi jeńcy, zostawieni przy życiu dlatego, że spodziewano się po nich znacznego okupu. Wówczas zaporozcy lub tatarzy, stojący na straży, odpierali tłum, grzmocąc po łbach napastników drzewcami od pik, łukami lub batami z byczej skóry. Tak było przy domu pana

Skrzetuskiego. Zachar kazał ćwiczyć chłopstwo bez miłosierdzia, a mirhorodcy spełniali z rozkoszą rozkaz, niżowi bowiem przyjmowali chętnie w czasie buntów pomoc czerni, ale pogardzali nią bez porównania więcej od szlachty. Przecie niepróżno zwali się: „szlachetne urożonemi kozakami!” Sam Chmielnicki darował potem niejednokrotnie znaczną ilość czerni tatarom, którzy gnali ją do Krymu i ztamtąd sprzedawali do Turcyi i Azyi Mniejszej.

Tłum więc szalał na rynku i dochodził do tak dzikiego opętania, że w końcu począł się wzajemnie mordować. Dzień zapadał. Zapalono całą jedną stronę rynku, cerkiew i dom parocha. Szczęściem wiatr zwiewał ogień ku polu i przeszkadzał szerzeniu się pożaru. Ale luna olbrzymia oświeciła rynek tak jasno, jak promienie słoneczne. Zrobiło się gorąco nie do wytrzymania. Zdała dochodził straszliwy huk dział — widocznie bitwa pod Krutą Bałką stawała się coraz zaciętsza.

— Gorąco tam musi być naszym! — mruczał stary Zachar. — Hetmani nie żartują. Hej! pan Potocki szczyry *żołnir*.

Potem wskazał przez okno na czern.

— No! — rzekł — oni teraz hulają, ale jeśli Chmiel będzie pobity, to i nad nimi pohulają!

W tej chwili rozległ się tętent i na rynek wpadło na spienionych koniach kilkudziesięciu jeźdźców. Twarze ich zczerniały od prochu, odzież w nieładzie i poobwiązywane szmatami głowy niektórych świadczyły, iż pędzą wprost z bitwy.

— Ludi! kto w Boha wiryt, spasajtes! Lachy bijut naszych! — krzyczeli w niebogłosy.

Podniósł się wrzask i zamieszanie. Tłum rozkołysał się jak fala, targnięta wichrem. Nagle dziki popłoch opanował wszystkich. Rzucono się do ucieczki, ale że ulice były zatłoczone wozami, a jedna część rynku w ogniu, więc nie było gdzie uciekać.

Czerń poczęła się tłoczyć, krzyczeć, bić, dusić i wyć o miłosierdzie, choć nieprzyjaciel był jeszcze daleko.

Namiestnik, zasłyszawszy co się dzieje, mało nie oszalał z radości; począł biegać po izbie, jak obłąkany, rękami bić się w piersi z całej siły i wołać:

— Wiedziałem, że tak się stanie! wiedziałem! jakom żyw! To z hetmany sprawa! to z całą Rzecząpospolitą! Godzina kary nadeszła! Co to?

Znów rozległ się tętent i tym razem do kilkuset jeźdźców, samych tatarów, pojawiło się na rynku. Uciekali widocznie na ślepo. Tłum zastępował im drogę, oni rzucili się w tłum, tratowali go, bili, rozpędzali, siekli, prąc końmi ku gościńcowi, wiodącemu do Czerkas.

— Uciekają jak wicher — zawołał Zachar.

Ledwo wymówił, przeleciał drugi oddział, za nim trzeci. Zdawało się, że ucieczka jest powszechną. Straże przy domach poczęły kręcić się i również okazywać chęć ucieczki. Zachar wypadł przed ganek

— Stać! — krzyknął na swych mirhorodców.

Dym, gorąco, zamieszanie, tętent koni, głosy trwoگی, wycie tłumów oświeconych pożarem, wszystko to zlało się w jeden piekielny obraz, na który namiestnik z okna spoglądał.

— Co tam za pogrom być musi! co tam za pogrom! — wołał do Zachara, nie zważając, iż ten radości jego nie mógł podzielać.

Tymczasem znów oddział uciekających przemknął się, jak błyskawica.

Huk dział wstrząsał posadami domów korsuńskich.

Nagle jakiś głos przeraźliwy, tuż pod domem, począł krzyczeć:

— Ratujcie się! Chmiel zabit! Krzeczowski zabit! Tuhaj-bej zabit!

Na rynku nastął prawdziwy koniec świata.

Ludzie w obłąkaniu rzucali się w płomienie. Namiestnik padł na kolana i ręce wznosił do góry:

— Boże wszechmocny! Boże wielki i sprawiedliwy — chwała Tobie na wysokościach!

Zachar przerwał mu modlitwę, wpadłszy z przed sieni do izby.

— A bywaj-no, *detyno!* — zawołał zdyszany — wyjdź i obiecuje łaskę mirhorodcom, bo chcą uchodzić — a jak ujdą, czerń tu wpadnie!

Skrzetuski wyszedł na ganek. Mirhorodcy kręcili się niespokojnie przed domem, okazując nieklamana ochotę opuścić stanowisko i pierzchnąć gościńcem, wiodącym do Czerkas. Strach opanował wszystkich w mieście. Raz wraz nowe oddziały rozbitków nadlatywały, jakby na skrzydłach, od strony Krutej Bałki. Uciekali chłopci, tatarzy, kozacy grodowi i zaporozcy w największym pomieszaniu. A jednak główne siły Chmielnickiego musiały jeszcze dawać opór, bitwa nie musiała być jeszcze zupełnie rozstrzygnięta, gdyż działa grały ze zdwojoną siłą.

Skrzetuski zwrócił się ku mirhorodcom:

— Za to, iżście strzegli wiernie osoby mojej — rzekł wyniośle — nie potrzebujecie ucieczką się ratować, gdyż obiecuję wam instancją i łaskę u hetmana.

Mirhorodcy, co do jednego, odkryli głowy, a on ujął się pod boki i spoglądał dumnie na nich i na rynek, który pustoszał coraz bardziej. Co za zmiana losu! Oto pan Skrzetuski, niedawno jeniec wleczony za kozackim taborem, stał teraz między zuchwałem kozactwem, jako pan między poddaństwem, jako szlachcic między gminem, jako husarz z pancernego znaku między obozowymi ciury. On — jeniec — łaskę teraz obiecywał — i głowy odkrywały się na jego widok, a pokorne głosy wołały tym posepnym, przeciągłym, oznaczającym przestrach i poddanie się tonem:

— Pomyłujcie, pane!

— Jakom powiedział, tak się stanie! — rzekł namiestnik.

Jakoż istotnie pewien był swej instancyi u hetmana, któremu był znajomy, bo nieraz do niego listy od księcia Jeremiego woził i względy jego umiał pozyskać. Stał tedy, trzymając się pod boki, i radość była mu z oblicza, oświeconego jasno blaskiem pożaru.

— Ot, wojna skończona! ot, fala u progu rozbita! — myślał. — Pan Czarniecki miał słuszność: niepożyta jest siła Rzeczypospolitej, niezachwiana jej potęga.

A gdy tak myślał, duma rozsadzała mu piersi; nie niska duma, płynąca ze spodziewanego nasycenia zemsty, z upokorzenia wroga, ani z odzyskania wolności, której za chwilę już się spodziewał, ani z tego, że czapkowano przed nim teraz, ale czuł się dumnym, że jest synem tej Rzeczypospolitej zwycięskiej, przepotężnej, o której bramy wszelka złość, wszelki zamach, wszelkie ciosy tak rozbijają się i kruszą, jako mocy piekielne o bramy nieba. Czuł się dumnym, jako szlachcic

patryota, że w zwątpieniu został pokrzepion, a w wierze nie zawiedzion. Zemsty już nie pragnął.

— Pogromiła jak królowa, wybaczy jak matka—myślał.

Tymczasem huk dział zmienił się w grzmot nieustający.

Kopyta końskie zaszczękały znów po pustych ulicach. Na rynek wleciał jak piorun, na nieosiódlanym koniu, kozak bez czapki, w jednej koszuli, z twarzą rozciętą mieczem i buchającą krwią. Wleciał, konia osadził, ręce rozkrzyżował i chwytając oddech otwartymi usty, krzyczeć począł:

— Chmiel bije lachiw! Pobyty jasno welmożny pany, hetmany i pułkownyki, łycari i kawalery!

To rzekłszy, zachwiał się i na ziemię runął. Mirhorodcy skoczyli mu na pomoc.

Płomień i błądź przeleciały przez oblicze pana Skrzetuskiego.

— Co on mówi? — rzekł gorączkowo do Zachara. — Co się stało? Nie może to być. Na Boga żywego! nie może to być!

Cisza! tylko płomienie syczą na przeciwległej stronie rynku, trzaskają snopy iskier, a czasem przepalone domostwo runie z łoskotem.

Aż oto nowi jacyś gońce lecą.

— Pobyty lachy! pobyty!

Za nimi ciągnie oddział tatarów — idą zwolna, bo otaczają pieszych, widocznie jeńców.

Pan Skrzetuski oczom nie wierzy. Poznaje doskonale na jeńcach barwę hetmańskiej husaryi—więc w ręce płaszcze i jakimś dziwnym, nieswoim głosem powtarza uporczywie:

— Nie może być! nie może być!

Huk armat słyhać jeszcze. Bitwa nieskończona. Przez wszystkie niepopalone ulice napływają jednak tłumy zaporożców i tatarów. Twarze ich czarne, piersi dyszą ciężko — ale wracają jakby upojeni, śpiewają pieśni!

Tak wracają żołnierze po zwycięstwie.

Namiestnik pobladł, jak trup.

— Nie może być! — powtarzał coraz chrapliwiej — nie może być... Rzeczpospolita...

Nowy przedmiot zwraca jego uwagę.

Wchodzą semenowie Krzczowskiego, niosąc całe pęki chorągwi. Przyjeżdżają na środek rynku i rzucają je na ziemię.

Niestety — polskie!

Huk armat słabnie, w oddali słyhać turkot nadchodzących wozów. Jedzie naprzód jedna, wysoka, kozacka telega, za nią szereg innych, wszystkie otoczone przez kozaków Paszkowskiego kurzenia, w złotych czapkach; przechodzą tuż koło domu, przy którym mirhorodcy. Pan Skrzetuski rękę do czoła przytknął, bo go blask pożaru oslepiął, i wpatrzył się w postacie jeńców, siedzących na pierwszym wozie.

Nagle cofnął się w tył, rękami począł bić powietrze, jak człowiek trafiony strzałą w piersi, z ust zaś wyrwał mu się krzyk straszny, nadludzki:

— Jezus, Marya! to hetmani!

I padł na ręce Zachara, oczy zaszyły mu blachmanem, a twarz steżała i zakrzepła, tak jak u ludzi umarłych.

W kilka chwil później, trzech jeźdźców na czele niezliczonych pułków wjeżdżało na rynek korsuński.

Środkowy, ubrany w czerwień, siedział na białym koniu i wspierając się pod bok pozłocistą buławą, spoglądał dumnie, jak król.

Był to Chmielnicki. Po obu jego stronach jechali Tuhaj-bej i Krzeczowski.

Rzeczpospolita leżała w prochu i krwi u nóg kozaka.



## ROZDZIAŁ XVI.

Upłynęło kilka dni. Ludziom zdawało się, że sklepienie runęło nagle na Rzeczpospolitą. Żółte wody, Korsuń, zniesienie wojsk koronnych, zawsze dotąd w walkach z kozakami zwyciężkich, wzięcie hetmanów, pożar straszliwy na całej Ukrainie, rzezie, mordy niesłychane od początku świata, wszystko to zważyło się tak nagle, że ludzie prawie wierzyć nie chcieli, aby tyle klęsk mogło przyjść na jeden kraj odrazu. Wielu też nie wierzyło, inni odrętwieli z przerażenia, inni dostali obłąkania, inni przepowiadali przyjście antychrysta i bliskość sądu ostatecznego. Przerwały się wszystkie węzły społeczne, wszelkie stosunki ludzkie i rodzinne. Ustała wszelka władza, znikły różnice między ludźmi. Piekło odczepiło z łańcuchów wszystkie zbrodnie i puściło je na świat, by pohulały: więc mord, grabież, wiarołomstwo, rozbestwienie się, gwałt, rozbój i szaleństwo zastąpiło pracę, uczciwość, wiarę i sumienie. Zdawało się, że odtąd ludzkość już nie dobrem, ale złem tylko żyć będzie; że się przeinaczyły serca i umysły i poczytują to za święte, co dawniej było bezecnem, a za bezecne, co dawniej było świętem. Słońce nie świeciło już nad ziemią, bo je zasłaniały dymy pożarów,

a nocami, zamiast gwiazd i księżyca, świeciły pożogi. Płonęły miasta, wsie, kościoły, dwory, lasy. Ludzie przestali mówić, jeno jęczeli, albo wyli, jak psy. Życie straciło wartość. Tysiące ginęły bez echa, bez wspomnienia. A z tych wszystkich klęsk, mordów, jęków, dymów i pożarów podnosił się tylko jeden człowiek coraz wyżej i wyżej, olbrzymiał coraz straszliwiej, zaciemniał już niemal światło dzienne, rzucał cień od morza do morza.

Był to Bohdan Chmielnicki.

Dwieście tysięcy ludzi, zbrojnych i upojonych zwycięstw, stało teraz gotowych na jego skinienie. Czerń powstawała wszędzie; kozacy grodowi łączyli się z nim po wszystkich miastach. Kraj od Prypeci do krańców pustyni był w ogniu. Powstanie szerzyło się w województwach ruskiem, podolskiem, wołyńskim, bractawskim, kijowskiem i czernihowskiem. Potęga hetmana rosła codziennie. Nigdy Rzeczpospolita nie wystawiła przeciw najstraszniejszemu wrogowi połowy tych sił, któremi on teraz rozporządzał. Równych nie miał w gotowości i cesarz niemiecki. Burza przeszła wszelkie oczekiwania. Sam hetman początkowo nie uznawał własnej potęgi i nie rozumiał, jak wyrósł już wysoko. Sprawiedliwością, prawem i wiernością dla Rzplitej jeszcze się osłaniał, bo nie wiedział, że te wyrazy, jako czeze wyrazy, mógł już deptać. Wszelako, wmiarę sił, wzrastał w nim i ów niezmierny, bezwiedny egoizm, któremu równego historya nie przedstawia. Pojęcia złego i dobrego, zbrodni i cnoty, gwałtu i sprawiedliwości, zlały się w duszy Chmielnickiego w jedno z pojęciami własnej krzywdy, lub własnego dobra. Ten mu był cny, kto był z nim; ten zbrodniarz, kto przeciw niemu. Gotów był biadać na słońce i poczy-

tywać to sobie za osobistą krzywdę, gdyby nie świeciło wówczas, gdy on potrzebował. Ludzi, wypadki i świat cały mierzył własnym ja. I mimo całej chytrności, całej hypokryzyi hetmana, była jakaś potworna dobra wiara w takowym jego poglądzie. Wypływały zeń wszystkie występki Chmielnickiego, ale i czyny dobre; bo jeśli nie znał miary w znęcaniu się i okrucieństwie nad wrogiem, natomiast umiał być wdzięcznym za wszystkie, choćby mimowolne usługi, które mu oddawano.

Tylko gdy był pijany, wówczas zapominał i o dobrodziejstwach, i rycząc z szaleństwa, wydawał spienionemi usty krwawe rozkazy, których żałował później. A w miarę jak rosło jego powodzenie, pijany bywał coraz częściej, bo coraz większy ogarniał go niepokój. Zdawaćby się mogło, że tryumfy zaprowadziły go na takie wyżyny, na które sam wstąpić nie chciał. Jego potęga przerażała innych, ale i jego samego. Olbrzymia rzeka buntu, porwawszy go, niosła z błyskawicową szybkością i nieubłaganie, ale dokąd? Jak się to wszystko miało skończyć? Poczynając bunt w imię krzywd własnych, mógł ten kozacki dyplomata liczyć, że po pierwszych powodzeniach, lub nawet po klęskach, rozpocznie układy, że zaofiarują mu przebaczenie, zadosyć uczynienie i nagrodę za krzywdy i szkody. Znał on dobrze Rzeczpospolitą, jej cierpliwość tak nieprzebraną, jako morze, jej miłosierdzie, nieznające granic i miary, które płynęło nietylko ze słabości, boć przecie Nalewajce, otoczonemu już i zgubionemu, jeszcze ofiarowano przebaczenie. Wszelako teraz, po zwycięstwie na Żółtych wodach, po zniesieniu hetmanów, po rozpaleniu wojny domowej we wszystkich południowych województwach, rzeczy zaszły zbyt daleko, wypadki

przerosły wszelkie` oczekiwanie—teraz walka musiała się toczyć na śmierć i życie.

A na czyją stronę miało paść zwycięztwo?

Chmielnicki pytał wróżbitów i gwiazd się radził i sam wyteęzał oczy w przyszłość—ale widział przed sobą tylko ciemność. Więc czasem straszny niepokój podnosił mu włosy na głowie, a w piersi zrywała się rozpacz, jak wicher. Co będzie, co będzie? Bo Chmielnicki, patrząc bystrzej od innych, rozumiał zarazem lepiej od wielu, że Rzeczpospolita nie umie użyć swych sił i sama o nich nie wie, ale jest potęgą olbrzymią. Gdyby jaki człowiek schwycił w ręce tę potęgę, wtedy ktoby mu się oparł? A któż mógł zgadnąć, czy straszne niebezpieczeństwo, czy bliskość przepaści i zguby nie potłumi zamieszek, niezgody wewnętrznej, prywaty, zawiści panów, warcholstwa, gadanin sejmowych, swawoli szlacheckiej, bezsilności króla? Wtedyby pół miliona samego tylko herbowego ludu mogło wyruszyć w pole i zgnieść Chmielnickiego, choćby go nietylko chan krymski, ale i sam sułtan turecki wspomagał.

O tej uspionej potędze Rzplitej wiedział prócz Chmielnickiego i zmarły król Władysław, i dlatego całe życie pracował nad tem, by z największym w świecie mocarzem rozpocząć walkę na śmierć, bo tylko w ten sposób potęga owa przywołaną do życia być mogła. Gwoli temu przekonaniu, nie wahał się król rzucać iskier, na prochy kozackie. Było-li przeznaczonem istotnie kozakom wywołać tę powódź, by w niej utonął nareszcie?

Chmielnicki rozumiał i to także, jak, mimo całej słabości, strasznym był odpór tej Rzeczypospolitej. W taką bezładną, źle powiązaną, rozdartą, swawolną, nie-

rzadną, były przecie, najgroźniejsze ze wszystkich, fale tureckie—i rozbijały się o nią, jak o skałę. Tak było pod Chocimiem, na co własnemi niemal oczyma patrzył. Jednak ta Rzeczpospolita, nawet w chwilach swej słabości, zatykała swe chorągwie na wałach obcych stolic. Jakiż tedy da odpór? czego nie dokaże przywiedziona do rozpacz, gdy będzie musiała umrzeć, albo zwyciężyć?

W obec tego każdy tryumf Chmielnickiego był nowem dla niego niebezpieczeństwem, bo zbliżał chwilę przebudzenia się lwa drzemiącego i czynił bardziej niemożliwemi układy. W każdym zwycięztwie leżała przyszła klęska, w każdym upojeniu na dzień—gorycz. Teraz na burzę kozacką miała przyjść burza Rzeczypospolitej. Chmielnickiemu wydawało się, że już sły-szy jej głuchy, daleki huk.

Oto z Wielkopolski, Prus, rojnego Mazowsza, Małopolski i Litwy nadejdą tłumy wojowników — trzeba im tylko wodza.

Chmielnicki wziął w niewolę hetmanów, ale i przez tę szczęśliwość przeglądała jakby zasadzka losu. Hetmani byli doświadczonymi wojownikami, ale żaden z nich nie był człowiekiem, jakiego wymagała ta chwila grozy, przerażenia, klęski.

Wodzem mógł być teraz jeden tylko człowiek.

Zwał się on: księżę Jeremi Wiśniowiecki.

Właśnie dlatego, że hetmani poszli w niewolę, wybór prawdopodobnie miał paść na księcia. Chmielnicki nie wątpił o tem, na równi ze wszystkimi.

A tymczasem do Korsunia, w którym hetman zaporozki zatrzymał się po bitwie dla odpoczynku, do-latywały z Zadnieprza wieści, że straszny księżę ruszył już z Łubniów, że po drodze depce bunt niemiło-

siernie, że po przejściu jego znikają wsie, słobody, futory i miasteczka, a natomiast jeżą się krwawe pale i szubienice. Przestrach dwoił i troił liczbę sił jego. Mówiono, że prowadzi piętnaście tysięcy wojowników najlepszego wojska, jakie być mogło w całej Rzeczypospolitej.

W obozie kozackim spodziewano się go lada chwila. Wkrótce po bitwie pod Krutą Bałką okrzyk: „Jarema idziel!” rozległ się między kozakami i rzucił popłoch między czerń, która poczęła ślepo uciekać. Popłoch ten zastanowił głęboko Chmielnickiego.

Miał teraz do wyboru: albo ruszyć z całą potęgą przeciw księciu i szukać go na Zadnieprzu, albo, zostawiwszy część sił na zdobywanie zamków ukraińskich, ruszyć w głąb Rzeczypospolitej.

Wyprawa na księcia była niebezpieczną. Mając do czynienia z tak wsławionym wodzem, Chmielnicki, mimo całej przewagi swych sił, mógł ponieść klęskę w walnej bitwie i wówczas wszystko byłoby straconem odrazu. Czerń, która stanowiła ogromną większość, złożyła świadectwo, że zmyka na samo imię Jaremy. Trzeba było czasu, żeby ją zmienić w wojsko, mogące stawić czoło książęcym regimentom.

Z drugiej strony książę prawdopodobnie nie przyjąłby walnej bitwy, ale poprzestał na obronie w zamkach i częściowej wojnie, która w takim razie musiałaby trwać całe miesiące, jeżeli nie lata, a przez ten czas Rzeczpospolita zebrałaby niechybnie nowe siły i ruszyła w pomoc księciu.

Chmielnicki więc postanowił pozostawić Wiśniowieckiego na Zadnieprzu, a samemu umocnić się na

Ukrainie, zorganizować swe siły i następnie, ruszywszy do Rzeczypospolitej, zmusić ją do układów. Liczył on na to, że gaszenie buntu na samem tylko Zadnieprzu zajmie na długo wszystkie siły książęce, a jemu da wolne pole. Bunt zaś na Zadnieprzu obiecywał sobie podsycać, wysyłając pojedyncze pułki w pomoc czerni.

Nakoniec sądził, że będzie można ludzi księcia układami i zwłóczyć, czekając, póki się jego siły nie wykruszą. W tym celu przypomniał sobie Skrzetuskiego.

W kilka dni tedy po Krutej Bałce, a w sam dzień popłochu między czernią, kazał przyzwać przed siebie pana Skrzetuskiego.

Przyjął go w domu starościńskim, w asystencyi jednego tylko pana Krzczowskiego, który Skrzetuskiemu był zdawna znajomy, i powitawszy łaskawie, choć nie bez wyniosłości, odpowiednej dzisiejszej jego szarzy, rzekł:

— Mości poruczniku Skrzetuski, za usługę, którą mi wyświadczyłeś, wykupiłem cię od Tuhaj-beja i obiecałem wolność. Teraz godzina nadeszła. Dam ci piernacz <sup>1)</sup>, byś mógł swobodnie przejechać, jeśliby cię wojska jakie spotkały, i strażę do obrony od czerni. Możesz wracać do swego księcia.

Skrzetuski milczał. Żaden uśmiech radości nie pojawił się na jego twarzy.

— Możesz-że ruszyć w drogę? bo widzę, że ci coś choroba z oczu przegłąda?

---

<sup>1)</sup> Buława pułkownikowska kozacka, która zastępowała między kozakami list żelazny.

Rzeczywiście pan Skrzetuski wyglądał, jak cień. Rany i ostatnie wypadki zwały z nóg tego olbrzymiego młodziana, który takie teraz miał pozory, jakby nie obiecywał jutra dożyć. Twarz mu pożółkła, a czarna broda, niestrzyżona oddawna, podnosiła jeszcze mizeryą oblicza. Pochodziło to z utrapień wewnętrznych. Rycerz omal się nie zagryzł. Wleczony za obozem kozackim, był przecie świadkiem wszystkiego, co się od wyruszenia z Siczcy zdarzyło. Widział hańbę i klęskę Rzeczypospolitej, hetmanów w niewoli; widział tryumfy kozackie, piramidy poukładane z głów odciętych poległym żołnierzom, szlachtę wieszaną za żebra, odrzynane piersi niewiast, profanacye panien, widział rozpacz odwagi, ale i nikczemność strachu—widział wszystko - przecierpiał wszystko i cierpiał tem bardziej, że mu w głowie i piersiach utkwiała nożem myśl, że to on sam pośredni sprawca, bo przecie on, nie kto inny, oderznął Chmielnickiego od powroza. Ale czy mógł się spodziewać rycerz chrześcijański, że ratunek podany bliźniemu takie wyda owoce? Więc ból jego nie miał dna.

A gdy się siebie spytał, co się dzieje z Heleną, i gdy pomyślał, co mogło się zdarzyć, jeśli złe losy zatrzymały ją w Rozłogach, to ręce ku niebu wyciągał i wołał głosem, w którym drgała bezdenne rozpacz i prawie groźba: „Boże! weź-że duszę moją, bo już tu mam więcej, niżem zasłużył!“ Potem postrzegał się, że bluźni, więc na twarz padał i prosił o ratunek, o przebaczenie, o zmiłowanie nad ojczyzną i nad onym gołębiem niewinnym, co może tam napróżno wzywał Bożej i jego pomocy. Krótko mówiąc, przebolewał tak, że go już teraz nie uradowała darowana wolność,



a ten hetman zaporozki, ten tryumfator, który chciał być wspaniałym, łaskę mu swoją okazując, nie imponował mu już zgola; w czym spostrzegłszy się, Chmielnicki zmarszczył się i rzekł:

— Śpiesz-że się korzystać z łaski, abym zaś się nie rozmyślił, gdyż enota tylko moja i ufność w do-brą sprawę czyni mnie tak nieopatrzny, że wroga sobie przysparzam, bo to wiem dobrze, że przeciw mnie walczyć będziesz.

Na to pan Skrzetuski:

— Jeśli Bóg da sił.

I spojrział tak na Chmielnickiego, że aż mu w głąb duszy zajrzał, a hetman, wzroku tego znieść nie mogąc, utkwiał oczy w ziemię i dopiero po chwili ozwał się:

— Mniejsza z tem. Zbyt potężny jestem, by mi jeden cherlak coś znaczył. Opowiesz też księciu, swojemu panu, coś tu widział, i przestrzeżesz go, by sobie mniej zuchwale poczyniał, bo gdy mnie cierpliwości nie stanie, to go odwiedzę na Zadnieprzu, a nie wiem, czyby mu była miłą moja wizyta.

Skrzetuski milczał.

— Mówiłem i powtarzam raz jeszcze — mówił dalej Chmielnicki—nie z Rzeczpospolitą, ale z panięty wojnę prowadzę, a księżę między niemi w pierwszym rzędzie. Wróg to mój i ludu ruskiego, odszczerpieniec od naszego kościoła i okrutnik. Słyszę bunt we krwi gasi, niechże baczy, by swojej nie przelał.

Tak mówiąc, podniecał się coraz bardziej, aż też krew jęła mu do twarzy uderzać, a oczy ciskały płomienie. Widno było, że go chwyta paroksyzm gnie-

wu i złości, w których tracił pamięć i przytomność całkowicie.

— Na powrozie każę go tu Krzywonosowi przywieść!—krzyczał—pod nogi go sobie zegnę, na konia po jego grzbiecie wsiadać będę!

Skrzetuski patrzył z góry na miotającego się Chmielnickiego, poczem odrzekł spokojnie:

— Zwycięż go wprzód.

— J. W. hetmanie!—rzecze Krzczowski—niechże ten zuchwały szlachcic już jedzie, bo nie wypada dla twojej godności, byś się gniewem przeciw niemu unosił, a gdy mu wolność obiecałeś, liczy on na to, że albo słowo złamiesz, albo jego inwektyw słuchać musisz.

Chmielnicki opamiętał się, posapał chwilę, poczem rzekł:

— Niech-że tedy jedzie, aby zaś wiedział, iż Chmielnicki dobrem za dobre płaci, dać mu piernacz, jakom rzekł, i sorokę tatarów, którzy go do samego obozu odprowadzą.

Poczem, zwracając się do Skrzetuskiego, dodał:

— Ty zaś wiedz, że teraz kwita. Polubiłem cię, mimo twej zuchwałości, ale gdy się jeszcze raz w moje ręce dostaniesz, nie wywiniesz się.

Skrzetuski wyszedł z Krzczowskim.

— Gdy cię hetman puszcza z całą szyją—rzekł Krzczowski—i możesz jechać gdzie chcesz, tedy ci powiem po starej znajomości, salwuj się choćby do Warszawy, nie na Zadnieprze, bo ztamtąd żywa noga wasza nie ujdzie. Wasze czasy minęły. Gdybyś miał rozum, do nasbyś przystał, ale wiem, że próżno ci to mówić. Poszedłbyś wysoko, jak my pójdziemy.

— Na szubienicę—mruknął Skrzetuski.

— Nie chcieli mnie dać starostwa lityńskiego, a teraz sam nie jedno, ale dziesięć wezmę. Wypędzimy precz panów Koniecpolskich, a Kalinowskich, a Potockich, a Lubomirskich i Wiśniowieckich, Zasławskich i wszystką szlachtę, i sami się ich majątkościami podzielimy, co też i po Bożej musi być myśli, gdy nam już dwie, tak znaczne dał wiktorye.

Skrzetuski, nie słuchając gadaniny pułkownika, zamyslił się o czem innym, ten zaś mówił dalej:

— Gdym po bitwie i naszej wiktoryi widział w Tuhajowej kwaterze w łyczkach mego pana i dobrodzieja, JW. hetmana koronnego, zaraz on mnie niewdzięcznikiem i Judaszem mianować raczył. A ja mu na to: JW. wojewodo! nie jestem ja niewdzięcznikiem, bo gdy już w twoich zamkach i dobrach zasięde — przyrzecz mi jeno, że się nie będziesz napijał—to cię podstarościm swoim zrobię. Ho! ho! obłowi się Tuhaj-bej na tych ptakach, które połapał—i dlatego ich szczedzi—gdyby nie to, inaczejbyśmy z Chmielnickim z nimi pogadali. Ale ot! wóz dla ciebie gotowy i tatory już w ordynku. Gdzie tedy życzysz jechać?

— Do Czehryna.

— Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Ordyńcy odwiada cię choćby do samych Łubniów, bo taki mają rozkaz. Staraj się jeno, żeby ich twój książę na pal nie kazał powsadzać, coby z kozakami pewno uczynił. Dlatego też i dali ci tatarów. Hetman ci i konia twego kazał oddać. Bywaj-że zdrów, a wspominaj nas dobrze i księciu kłaniaj się od naszego hetmana, a jeśli będziesz mógł, to go namów, by przyjechał Chmielnickiemu się pokłonić. Może łaskę znajdzie. Bywaj zdrów!

Skrzetuski siadł na wóz, który ordyńcy otoczyli zaraz dokoła—i ruszono w drogę. Przez rynek trudno było przejechać, bo cały zapchany był zaporoźcami i czernią. Jedni i drudzy warzyli sobie kaszę, śpiewając pieśni o zwycięstwie żółtowodzkim i korsuńskim, ułożone przez ślepców, lirników, których mnóstwo pościagało zewsząd do obozu. Między ogniami, obejmującymi kotły z kaszą, leżały tu i owdzie ciała pomordowanych kobiet, nad którymi odbywała się w nocy orgia, lub sterczały piramidki z głów, uciętych po bitwie zabitym i rannym żołnierzom. Ciała owe i głowy poczynały się już psuć i wydawać zgniły zapach, który jednakże nie zdawał się być wcale przykrym dla zgromadzonych tłumów. Miasto nosiło na sobie ślady spustoszeń i dzikiej swawoli zaporoźców, okna i drzwi były powyrywane; zdruzgotane szczątki tyśiacyjnych przedmiotów, pomieszane z kwapiem i słomą, zawałały rynek. Okapy domów przybrane były wisielcami, po większej części z żydowstwa, a tłuszcza bawiła się tu i owdzie, czepiając się nóg wisielców i huśtając się na nich.

W jednej stronie rynku czerniały zgliszcza pogorzałych domów, a między niemi farnego kościoła; od zgliszcz biło jeszcze gorąco i podnosiły się dymy. Woń spalenizny przenikała powietrze. Za spalonymi domami stał kosz, obok którego pan Skrzetuski musiał przejeżdżać, i tłumy jasyru, pilnowane przez gęste strażę tatarskie. Kto się z okolic Czehryna, Czerkas i Korsunia nie zdołał schronić, lub nie padł pod siekierą czerni, ten poszedł w łyka. Byli więc między jeńcami i żołnierze wzięci w niewolę w obu bitwach, i mieszkańcy okoliczni, którzy się dotąd nie mogli lub nie

chcieli do buntu przyłączyć, ludzie ze szlachty osiadłej lub z szlacheckiego gminu, podstarościowie oficjaliści, futornicy, drobna szlachta z zaścianków, obojej płci, i dzieci. Starców nie było, bo ich, jako niezdatnych na sprzedaż, tatarzy mordowali. Pozagarniali oni również całe wsie i osady ruskie, czemu Chmielnicki nie śmiał się sprzeciwić. W wielu miejscowościach zdarzyło się, że mężowie poszli do obozu kozackiego, a w nagrodę za to tatarzy popalili ich chaty i pobrali żony i dzieci. Ale w ogólnem rozpętaniu się i zdziczeniu dusz nikt o to nie pytał, nikt się nie upominał. Czerń, która chwytala za broń, wyrzekała się wiosek rodzinnych, żon i dzieci. Brali im żony, brali i oni—i lepsze, bo „laszki,” które, po nasyceniu się ich wdziękami, mordowali, lub odprzedawali ordyncom. Między jeńcami nie brakło też „mołodyć” ukraińskich, powiązanych po trzy, po cztery na jednym stryczku, wraz z pannami szlacheckich domów. Niewola i niedola równała stany. Widok tych istot wstrząsał do głębi duszę i budził żądzę zemsty. Poobdzierane, pół nagie, narażone na sromotne żarty pohańców, włóczących się gromadami przez ciekawość po majdanie, potrącane, bite, lub całowane ohydny usty, traciły pamięć, wolę. Niektóre szlochały, lub zawodziły głośno, inne z oczyma w słup, z obłąkaniem w twarzy i otwartymi ustami poddawały się biernie wszystkiemu, co je spotykało. Tu i owdzie zrywał się wrzask jeńca mordowanego bez litości za wybuch rozpaczego oporu. Świst bizunów z byczej skóry rozlegał się między gromadami mężczyzn i zlewał się z okrzykami bóleści i piskiem dzieci, ryczeniem bydła i rżeniem koni. Jasyr nie był jeszcze rozdzielony i ustawiony w pochodowym po-

rządku, więc wszędzie panowało największe zamieszanie. Wozy, konie, bydło rogate, wielbłądy, owce, kobiety, mężczyźni, stosy złupionych ubiorów, naczyń, makat, broni, wszystko to natłoczone w jeden ogromny tabor, oczekiwało dopiero podziału i ordynku. Raz wraz podjazdy przypędzały nowe gromady ludzi i bydła, naładowane promy płynęły przez Roś, z głównego zaś kosza przybywali coraz nowi goście, by nasycić oczy widokiem zebranych bogactw. Niektórzy, pijani kumyssem lub gorzałką, poprzebierani w dziwaczne stroje, bo w ornaty, komże, ruskie rjasy lub nawet suknie kobiece, poczynali już spory, kłótnie i jarmarczny wrzask o to, co komu będzie należało. Czabanowie tatarscy, siedząc na ziemi między stadami, zabawiali się, jedni wygwizdywaniem na piszczalkach przeraźliwych melodyj, inni grą w kości i okładaniem się wzajemnie kijami. Gromady psów, które przyciągnęły tu za swemi panami, ujadaly i wyły żałośnie.

Pan Skrzetuski minął wreszcie tę Gehennę ludzką, pełną jęków, łez niedoli i piekielnych wrzasków; myślał tedy, że już odetchnie swobodniej, aliści zaraz za taborem nowy straszny widok uderzył jego oczy. W dali szarzał kosz właściwy, od którego dochodziło ustawiczne rżenie koni, i mrowił się tysiącami tatarów, bliżej zaś, na polu tuż koło gościńca, wiodącego do Czerkas, młodzi wojownicy zabawiali się strzelaniem dla wprawy z łuków do jeńców słabszych, lub chorych, którzyby nie mogli wytrzymać długiej drogi do Krymu. Kilkadziesiąt ciał leżało wyrzuconych już na drogę i podziurawionych jak sita, niektóre z nich drgały jeszcze konwulsyjnie. Ci, do których strzelano, wisieli przywiązani za ręce do drzew przydrożnych. Były między

nimi i stare kobiety. Śmiechom zadowolenia po trafnych strzałach towarzyszyły okrzyki.

— Jaksze iegit! — Dobrze chłopcy!

— Uk jaksze koł! — Łuk w dobrych rękach.

Koło głównego kosza oprawiano tysiące bydła i koni na pokarm wojownikom. Ziemia była złana krwią. Mdłe wyziewy surowizny tłumity oddech w piersiach, a między kupami mięsa kręcili się czerwoni ordyńcy z nożami w rękę. Dzień był skwarny, słońce piekło. Ledwie po godzinie drogi wy dostał się pan Skrzetuski wraz z swoją eskortą na czyste pola, ale z oddali dochodził długo jeszcze z głównego kosza gwar i ryk bydła. Po drodze widniały ślady przejścia drapieżników. Tu i owdzie popalone sadyby, sterczące kominy futarów, potratowana ruń zbóż, drzewa połamane, sady wiśniowe przy chatach wycięte na ogień. Na gościńcu raz wraz leżały, to trupy końskie, to ludzkie, pokaleczone okropnie, sine, nabrzmiące, a na nich i nad nimi stada wron i kruków, zrywające się z wrzaskiem i szumem przed ludźmi. Krwawe dzieło Chmielnickiego rzucało się wszędy w oczy i trudno było zrozumieć, przeciw komu ten człowiek rękę podniósł, bo jego własny kraj jęczał przede wszystkim pod brzemieniem niedoli.

W Mlejowie spotkali podjazdy tatarskie, pędzące nowe tłumy jeńców. Horodyszcze było spalone do dna. Sterczała tylko murowana dzwonnica kościelna i stary dąb stojący na środku rynku, pokryty strasznym owocem, bo wisiało na nim kilkadziesiąt małych żydźiąt, powieszonych przed trzema dniami. Wymordowano tu również dużo szlachty z Konoplanki, Starosiela, Więzowka, Bałakleja i Wodaczewa. Samo miasteczko było puste, bo mężczyźni poszli do Chmielnickiego, a niewiasty,

dzieci i starcy uciekli do lasów przed spodziewanem najściem wojsk księcia Jeremiego. Z Horodyszcza jechał pan Skrzetuski na Smiłę, Zabotyn i Nowosielce do Czehryna, zatrzymując się tylko tyle po drodze, ile trzeba było na wypoczynek dla koni. Wjechali do miasta na drugi dzień z południa. Wojna oszczędziła miasto, niektóre tylko domy były zburzone, a między niemi Czaplńskiego z ziemią zrównany. W grodzie stał podpułkownik Naokoło-palec, a z nim tysiąc mołojców, ale i on, i mołojcy, i cała ludność żyła w największem przerażeniu, gdyż tu, jak i wszędzie po drodze, wszyscy byli pewni, że księżę lada chwila nadciągnie i wyrwie zemstę, o jakiej świat nie słyszał. Niewiadomo było, kto puszcza te wieści, zkąd one przychodzą; może je tworzył przestרח, dość że ustawicznie powtarzano, to, że księżę płynie już Sułą, to, że już jest nad Dnieprem, że spalił Wasiutyńce, że wyciął ludność w Borysach, i każde zbliżenie się jeźdźców, lub pieszego ludu, wywoływało popłoch bez granic. Pan Skrzetuski chwycił chciwie te wieści, bo rozumiał, że choćby nie były prawdziwe, to jednak tamowały szerzenie się buntu na Zadnieprzu, nad którem ręka książęca ciążyła bezpośrednio.

Skrzetuski chciał dowiedzieć się czegoś pewniejszego od Naokoło-palca, ale pokazało się, że podpułkownik, narównu z innymi, nie wiedział o księciu i jeszcze sam byłby rad zasięgnąć jakich wiadomości od Skrzetuskiego. A ponieważ przeciągnięto na tę stronę wszystkie bajdaki, czółna i podjazdki, więc i zbiegowie z drugiego brzegu nie przybywali do Czehryna.

Skrzetuski więc, nie bawiąc dłużej w Czehrynie, kazał się przeprawić i ruszył bez zwłoki do Rozłogów.



Pewność, że wkrótce sam przekona się, co stało się z Heleną, i nadzieja, że może jest ocalona, albo też ukryła się wraz ze stryjną i kniaziami w Łubniach, wróciła mu siły i zdrowie. Przesiadł się z wozu na koń i gnał bez litości swoich tatarów, którzy, uważając go za posła, a siebie za przystawów, oddanych pod jego komendę, nie śmieli mu stawić oporu. Lecieli tedy, jakby ich goniono, a za nimi złote kłęby kurzawy, wzbijanej kopytami bachmatów. Mijali sadyby, futory i wioski. Kraj był pusty, siedziby ludzkie wyludnione, tak że długo nie mogli spotkać żywej duszy. Prawdopodobnie też kryli się wszyscy przed nimi. Tu i owdzie kazał pan Skrzetuski szukać w sadach, pasiekach, po zapolach i strzechach stodół, ale nie mogli znaleźć nikogo.

Dopiero za Pohrebami jeden z tatarów dostrzegł jakąś postać ludzką, usiłującą skryć się między szuwarami, obrastającymi brzegi Kahamliku.

Tatarzy skoczyli ku rzece i w kilka minut później przywiedli przed pana Skrzetuskiego dwóch ludzi całkiem nagich.

Jeden z nich był-to starzec, drugi wysmukły, może piętnasto lub szesnastoletni wyrostek. Obaj kłapali zębami ze strachu i długi czas nie mogli ni słowa przemówić.

— Zkąd wy? — spytał pan Skrzetuski.

— My znikąd, panie! — odpowiedział starzec. — Po prośbie chodzim — z lirą, a ot, ten niemowa mnie prowadzi.

— Zkąd idziecie teraz, z jakiej wsi? Mów śmiało, nic ci nie będzie.

— My, panie, po wszystkich wsiach chodzili, aż nas tu jakiś czort obdarł. Buty mieli dobre, wziął — czapki mieli dobre, wziął — sukmany z litości ludzkiej dobre, wziął, i liry nie zostawił.

— Pytam się, kpie, z jakiej wsi idziesz?

— Nie znaju, pane — ja did. Ot my nadzy, nocą marzniem, we dnie szukamy litościwych, coby okryli i nakarmili, my głodni!

— Słuchaj tedy, chłopie, odpowiadaj o co pytam, bo każę powiesić.

— Ja niczoho nie znaju, pane. Kołyb ja szczo, abo szczo, abo bude szczo, to niechaj meni, oto szczo!

Widocznem było, że dziad, nie mogąc sobie zdać sprawy, coby za jeden był ten, kto go pyta, postanowił nie dawać żadnych odpowiedzi.

— A w Rozłogach byłeś, tam gdzie kniaziewie Kurcewicze mieszkają?

— Nie znaju, pane.

— Powiesić go! — krzyknął pan Skrzetuski.

— Buw, pane! — zawołał dziad, widząc, że niema żartów.

— Coś tam widział?

— My tam byli pięć dni temu, a potem w Browarkach słyszeli, że tam *lycari prijszły*.

— Jacy rycerze?

— Nie znaju, pane! Odin każe, lachy; drugi każe, kozaki.

— W konie! — krzyknął na tatarów pan Skrzetuski.

Poczet pomknął. Słońce zachodziło, zupełnie jak wówczas, gdy namiestnik po spotkaniu Heleny i kniahini na drodze jechał obok nich przy Rozwanowej ka-

rocy. Kahamlik tak samo świecił purpurą, dzień kładł się do snu jeszcze cichszy, pogodniejszy, cieplejszy. Tylko wówczas jechał pan Skrzetuski z piersią pełną szczęścia i budzących się lubych uczuć, a teraz pędził jak potępieniec, gnany wichrem niepokoju i złych przeczuć. Głos rozpaczy wołał mu w duszy: „to Bohun ją porwał! już jej nie ujrysz więcej!” a głos nadziei: „to księżę! ocalona!” I te głosy tak go rozrywały między siebie, że ledwo nie rozerwały mu serca. Pędzili resztą sił końskich. Upłynęła jedna godzina i druga. Księżyc zeszedł i wytaczając się coraz wyżej, bladł coraz bardziej. Konie pokryły się pianą i chrapały ciężko. Wpadli w las, mignął jak błyskawica; wpadli w jar, za jarem tuż Rozłogi. Chwila jeszcze, a losy rycerza się rozstrzygną. Tymczasem wiatr świszcze mu w uszach od pędu, czapka spadła mu z głowy, koń pod nim jęczy, jakby miał paść zaraz. Chwila jeszcze, skok jeszcze i jar się roztworzy. Już! już!

Nagle krzyk nieludzki, straszny, wyrwał się z piersi pana Skrzetuskiego.

Dwór, lamusy, stajnie, stodoły, częstokół i sad wiśniowy — wszystko znikło.

Blady księżyc oświecał wzgórze, a na niem kupę czarnych zgliszcz, które przestały już nawet i dymić.

Milczenia nie przerywał żaden odgłos.

Pan Skrzetuski stanął przed fosą niemy, ręce tylko do góry podniósł, patrzył, patrzył, i głową jakoś dziwnie potrząsał. Tatarzy wstrzymali konie. On zsiadł, odszukał resztek spalonego mostu, przeszedł rów po belce poprzecznej i siadł na kamieniu leżącym na środku majdanu. Siadłszy, począł się oglądać dokoła, jak czło-

wiek, który pierwszy raz na jakimś miejscu będąc, usiłuje się z nim zapoznać. Opuściła go przytomność. Nie wydał ani jęku. Po chwili ręce na kolanach wsparłszy, głowę spuścił i pozostał w nieruchomej postawie, tak, że mogło się zdawać, że usnął. Jakoż jeśli nie usnął, to odrętwiał — i przez głowę zamiast myśli, przelatywały mu tylko niejasne obrazy. Widział więc naprzód Helenę taką, jaką ją był pożegnał przed ostatnią podróżą, jeno twarz miała jakby przesłoniętą przez mgłę, tak jej rysów nie można było rozpoznać. On ją chciał z tego mglistego obłoku wydostać i nie mógł. Więc odjechał z ciężkim sercem. Potem przez głowę mignął mu rynek czechryński, stary Zaćwilichowski i bezczelna twarz Zagłoby; twarz ta ze szczególnym uporem stawała mu przed oczyma, aż wreszcie zastąpiło ją ponure oblicze Grodzickiego. Potem widział jeszcze Kudak, porohy, walkę na Chortycy, Sicz, całą podróż i wszystkie wypadki, aż do dnia ostatniego, aż do ostatniej godziny. Ale dalej już ciemność! Co się z nim teraz działo, nie rozpoznawał. Miał tylko jakieś niewyraźne przeczucie, że do Heleny, do Rozłógów jedzie, ale sił mu zbrakło, więc odpoczywa na zgliszczach. Chciałby już ot, podnieść się i jechać dalej, ale jakieś niezmierne osłabienie przykuwa go do miejsca, tak jakby mu stufuntowe kule do nóg przywiązywano.

Siedział więc i siedział. Noc upływała. Tatarzy roztasowali się na nocleg i rozłożywszy ogieniek, poczęli przypiekać przy nim kawały końskiego ścierwa, następnie nasyceni, pokładli się na ziemi.

Ale nie upłynęła i godzina, gdy zerwali się na równe nogi.

Zdala dochodził gwar podobny do odgłosów, jakie wydaje wielka liczba jazdy, idącej śpiesznym marszem.

Tatarzy zatknęli co prędzej na żerdź białą płachtę i podsycili obficie płomień, tak, aby zdala mogli być rozpoznani, jako wysłańcy pokojowi.

Tętent koni, parskanie i brzęk szabel zbliżał się coraz bardziej i wkrótce na drodze ukazał się oddział jazdy, który wnet otoczył tatarów.

Rozpoczęła się krótka rozmowa. Tatarzy wskazywali na postać siedzącą na wzgórzu, którą zresztą widać było doskonale, bo padało na nią światło miesiąca, i oświadczyli, że prowadzą posła, a od kogo, to on najlepiej powie.

Wówczas dowódca oddziału, wraz z kilkoma towarzyszami, udał się na wzgórze, ale zaledwie zbliżył się i spojrzał w twarz siedzącemu, gdy ręce rozkrzyżował i wykrzyknął:

— Skrzetuski! Na Boga żywego, to Skrzetuski! Namiestnik ani drgnął.

— Mości namiestniku, nie poznajesz-że mnie? jam jest Bychowiec. Co ci jest?

Namiestnik milczał.

— Zbudź-że się, na Boga! Hej, towarzysze, a bywajcie-no!

Istotnie był to pan Bychowiec, który siedł w awangardzie przed wszystką potęgą księcia Jeremiego.

Tymczasem nadciągnęły i inne pułki. Wieść o odnalezieniu Skrzetuskiego rozbiegła się piorunem po chorągwiach, więc wszyscy śpieszyli powitać miłego towarzysza. Mały Wołodyjowski, dwaj Sleszyńscy, Dzik, Orpiszewski, Migurski, Jakubowicz, Lenc, pan Longi-

nus Podbipięta i mnóstwo innych oficerów biegło na wyścigi na wzgórze. Ale próżno przemawiali do niego, wołali po imieniu, szarpali za ramiona, usiłowali podnieść—pan Skrzetuski patrzył na nich szeroko otwartymi oczyma i nie rozpoznawał nikogo. A raczej przeciwnie! zdawało się, że ich rozpoznaje, tylko że są mu już zupełnie obojętni. Wtedy ci, co wiedzieli o jego miłości dla Heleny, a prawie wszyscy już wiedzieli, przypomniawszy sobie w jakim-to właśnie są miejscu, spojrzawszy na czarne zgliszcze i siwe popioły, zrozumieli wszystko.

— Od boleści się zapamiętał—szeptał jeden.

— Desperacya mentem mu pomieszała.

— Zaprowadźcie go do księcia. Może jak jego zobaczy, to się ocknie!

Pan Longinus ręce łamał. Wszyscy otoczyli kołem namiestnika i poglądali na niego ze współczuciem. Niektórzy obcierali łzy rękawicami, inni wzdychali żałośnie. Aż nagle z koła wysunęła się jakaś wyniosła postać i zbliżywszy się zwolna do namiestnika, położyła mu na głowie obie ręce.

Był to ksiądz Muchowiecki.

Wszyscy umilkli i poklękali, jakby w oczekiwaniu cudu, ale ksiądz cudu nie czynił, jeno wciąż trzymając ręce na głowie Skrzetuskiego, podniósł oczy ku niebu, pełnemu blasków miesięcznych, i począł mówić głośno:

— Pater noster, qui es in coelis! sanctificetur nomen Tuum, adveniat regnum Tuum, fiat voluntas Tua...

Tu przerwał i po chwili powtórzył głośnie i uroczysiej:

— ...Fiat voluntas Tua!...

Cisza zapanowała głęboka.

— ...Fiat voluntas Tua!...—powtórzył ksiądz po raz trzeci.

Wtedy z ust Skrzetuskiego wyszedł głos niezmiernego bólu, ale i rezygnacyi:

— Sicut in coelo, et in terra!

I rycerz rzucił się na ziemię ze szlochaniem.

KONIEC <sup>4</sup>TOMU PIERWSZEGO.













